AWARIA SZAMBA
Polityka i kanalizacja: głębia powiązań

POLSKA NA BOGATO
Jak wesela stały się ważniejsze od ślubów

WIARA BEZ WIATRAKÓW
Katoliku, nie daj się zwariować – nasza propozycja

POTĘGA ZIÓŁ
To, co rośnie, może pomóc

Kraków 22 września 2019 nr 38 (3663) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

JANUSZ GAJOS

Moja życiowa forma

DODATEK MAGAZYN CONRAD

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Goście Festiwalu:

Marek Bieńczyk, Dorota Brauntsch, Wojciech Bonowicz, Tomasz Dostatni OP, Julia Fiedorczuk, Darek Foks, Olga Gitkiewicz, Magdalena Grzebałkowska, Danylo Ilnytskyi, Agata Jabłońska, Barbara Klicka, Jacek Kosiba, dr Zofia Król, Joanna Kuciel-Frydryszak, Marta Madejska, dr Paulina Małochleb, Radosław Michalski, prof. Andrzej Niewiadomski, Michał Olszewski, dr Paweł Panas, Jacek Podsiadło, Adam Robiński, Paweł Smoleński, Justyna Sobolewska, Paweł Sołtys, Filip Springer, Monika Stopczyk, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Urbanek, Robert Więckiewicz, Filip Zawada, Serhij Żadan, zespół HuRaban, przedstawiciele Inicjatywy Dzikie Karpaty

5 Festiwal im. Zygmunta Haupta

Gorlice

25–29.09.2019

5th Zygmunt Haupt Festival

Dyrektor Artystyczny: Andrzej Stasiuk

festiwalhaupta.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Wakacyjne rozmowy*

Nie wiem, jaka jest reprezentatywność moich rozmówców, oni sami czują się nie za bardzo słuchani. Szkoda, bo ich myślenie i głos z pewnością są godne uwagi, a sprawy Kościoła leżą im na sercu. Czują się zawiedzeni. Marzy im się Kościół, który nie „zamyka drzwi z obawy przed Żydami" (por. J 20, 19), ale „idzie na cały świat". Nie chcą Kościoła – oblężonej twierdzy, obronnie agresywnego, wykluczającego myślących inaczej. Boleją nad odchodzeniem ich dzieci od Kościoła, często na etapie szkolnej katechezy, która nie odpowiada na problemy i pytania tych młodych ludzi. Są rozczarowani biskupami. Zarzucają im sojusz ołtarza z tronem (tu także wymienia się Radio Maryja). Tym sojuszem tłumaczą milczenie biskupów w sprawach etyki życia publicznego. Podejrzewają, że gwałtowny atak Kościoła na LGBT+ ma służyć odwróceniu uwagi od win ludzi Kościoła.

Narzekają na brak możliwości spokojnej wymiany poglądów między świeckimi a biskupami i księżmi. Kiedy radziłem, żeby zamiast narzekać, zapraszali do Klubów „Tygodnika Powszechnego" swoich biskupów, to się śmiali. Powiedzieli mi, że hierarchowie przecież nie przyjdą, i zapewnili, że jednak spróbują. Podziwiają i kochają papieża Franciszka, ale mają wrażenie, że nie jest on ulubieńcem Kościoła w Polsce, i pytają dlaczego. Czytają ojca Wiśniewskiego. Opowiadają o poszukiwaniach (i znajdowaniu) kościołów, w których chce się słuchać kazań, bo nie ma tam powtarzania banałów, nasuwających podejrzenie, że kaznodzieja nie ma nic ważnego do powiedzenia. Dopytują o formację młodych księży i nauczanie w seminariach, widząc, jak młodzi katecheci nie potrafią prowadzić spokojnej dyskusji na trudne tematy dotyczące wiary.

Pytają też o stosunek instytucji Kościoła i duchownych do pieniędzy otrzymywanych od wiernych i nierozliczanych. O przywileje dla duchownych. I wciąż powtarza się pytanie o rzeczywistą rolę ludzi świeckich w Kościele.

Pytają, co oni mogą zrobić dla złagodzenia podziałów w Kościele.

Nie są to jacyś malkontenci, ale ludzie, dla których Kościół jest ważny... Należą do grup modlitewnych, do szkół medytacji i znajdują księży, z którymi mogą rozmawiać. Zresztą niemal każdy ma takiego księdza, o którym mówi, że „gdyby wszyscy księża byli tacy jak ten ich, to Kościół wyglądałby inaczej".

„Kościół święty", który jest przedmiotem wiary wyznawanej w *Credo*, nie jest dokładnie tym samym co znana nam instytucja. Właśnie o tym napisał papież Franciszek, stwierdzając, że „niektóre jego [Kościoła] zwyczaje nie są bezpośrednio związane z sercem Ewangelii i – choć niektóre z nich bardzo zakorzeniły się w historii – dziś nie są interpretowane tak samo, a ich przesłanie zwykle nie jest właściwie odbierane. Mogą one być piękne, ale dzisiaj nie służą już właściwemu przekazowi Ewangelii. Nie bójmy się dokonać ich rewizji. Podobnie istnieją normy lub przykazania kościelne, które mogły być bardzo skuteczne w innych epokach" (EG 43).

Dziś samo życie doprowadza do takiej rewizji. Ze zbudowanej przez Jezusa i apostołów budowli Kościoła obsypują się dobudówki i sztukaterie, którymi starali się ją „ubogacić" ludzie różnych epok i kultur. Trwający – przynajmniej od II Soboru Watykańskiego – nieodwracalny proces oczyszczania i powrotu do źródeł powoli i nie bez trudności wciąż się dokonuje.

Jaka będzie przyszłość Kościoła w Polsce, tego nie wiem. Trzymając się starej teorii etapów każdego przedsięwzięcia: „*voir*, *juger*, *agir*" (zobaczyć, ocenić, działać), myślę, że jako społeczeństwo i Kościół mamy za sobą etap pierwszy (widzimy wielostronny kryzys) i z drugiego tylko co nieco (bo wciąż w naszych osądach zbyt wiele jest gniewu, lęku i innych emocji). Bez rozeznania i oceny każde poczynanie będzie chaotycznym reagowaniem albo działaniem na oślep.

Jeśli jednak Kościół jest sprawą Boga, to na szczęście On jest mistrzem rzeczy niemożliwych, może działać cuda. Jeśli zechce. ©℗

OGŁOSZENIE

Wydawnictwo PETRUS, z siedzibą w Krakowie, oświadcza, że naruszyło dobra osobiste, majątkowe oraz prawa autorskie p. Alberta Juliusza Gorzkowskiego, prof. Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, w związku z tym, że bez jego wiedzy oraz zgody opublikowało książkę pt. *Biblia – moim życiem. Z ks. prof. Tomaszem Jelonkiem rozmawia prof. Albert Gorzkowski*. Osobną kwestią pozostaje fakt, że w wyżej wymienionej publikacji zamieszczono m.in. słowa (pytania i stwierdzenia) prof. Alberta Gorzkowskiego, których nigdy nie wypowiedział podczas udzielania wywiadu, a które – z punktu widzenia naukowego – ośmieszają go jako biblistę i badacza literatury starożytnej oraz godzą w jego autorytet. Wydawnictwo przeprasza i wyraża głębokie ubolewanie, że doszło do tego rodzaju incydentu.

TEMAT TYGODNIKA

12 Zacząć od happy endu
MAREK RABIJ
Popularności temu spektaklowi nie odbiera nawet laicyzacja: ślubu kościelnego może nie być, wesele – być musi.

17 Wesele silniejsze od ślubu
ROZMOWA Z MAGDALENĄ ZYCH I DOROTĄ MAJKOWSKĄ-SZAJER, ANTROPOLOŻKAMI KULTURY

22 Czas na pumę
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Doprawdy, trudno o wydarzenie bardziej polityczne niż awaria kanalizacji.

78 Zielicha
ANNA GOC
Ludziom, którzy do mnie przychodzą, mówię: by być w dobrej kondycji, wystarczyłoby codziennie jeść podagrycznik, mniszek lekarski i pokrzywę – mówi Hanna Świątkowska.

32 Nie walczmy z wiatrakami
Z O. PAWŁEM KOZACKIM, PROWINCJAŁEM DOMINIKANÓW, ROZMAWIA ARTUR SPORNIAK:
Kościół w Polsce jest prześladowany? Tak sądzą ludzie oderwani od rzeczywistości.

64 Nie mam nieprzespanych nocy
Z JANUSZEM GAJOSEM, AKTOREM, ROZMAWIA KALINA BŁAŻEJOWSKA:
W moim zawodzie forma jest rzeczą godną wszelkich zabiegów. Mam znaleźć odpowiednią formę i skojarzyć ją z treścią. Ale nie zawsze się udaje.

42 Zachodnia wojna domowa
DARIUSZ ROSIAK
Brexit to brytyjska odmiana konfliktu kulturowego, który trwa dziś w wielu miejscach Zachodu. Tożsamość liczy się w nim bardziej niż argumenty.

JACEK TARAN // TWITTER // GRAŻYNA MAKARA DLA „TP" // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP" // DONAT BRYKCZYŃSKI / BEW // DANIEL LEAL-OLIVAS / AFP / EAST NEWS

6 Mapa polskich krzywd
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Czas na pumę
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

26 Co się stanie po wyborach
JAROSŁAW FLIS: *Wszystko wskazuje na to, że wygra PiS. Czy uda mu się stworzyć skuteczną większość w Sejmie?*

28 Pod lawiną zarzutów
KRZYSZTOF STORY: *W ratownictwie górskim nie ma dobrych decyzji. Są tylko te, które się dobrze kończą*

WIARA

32 Nie walczmy z wiatrakami
ROZMOWA Z O. PAWŁEM KOZACKIM OP

35 Pokój kardynała DOROTA BIDZIŃSKA *o izbie pamięci kard. Franciszka Macharskiego*

38 Milenialsi w klasztorze
KAROL KLECZKA: *Poszukujący sensu 30-latkowie spędzili pół roku w żeńskim zgromadzeniu. Co przyniosło to spotkanie?*

ŚWIAT

42 Zachodnia wojna domowa
DARIUSZ ROSIAK

45 Lesbos jest zmęczone
ROZMOWA Z SONIĄ NANDZIK, AKTYWISTKĄ: *Do dziś Grekom wydaje się, że ich kraj nie może wyjść z kryzysu, bo są tu uchodźcy*

MAREK ZALEJSKI // FOTO HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

83 MAGAZYN CONRAD

Dlaczego nie powinniśmy mówić o jednej rzeczywistości, lecz o rzeczywistościach? Jak te granice wpływają na nasze życie? Kiedy nas chronią, kiedy zaś ograniczają? Dlaczego raz potrafimy je sforsować, innym razem natomiast musimy uznać ich nienaruszalność? Między innymi o tym będziemy rozmawiać w październiku z gośćmi zaproszonymi na Festiwal Conrada.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **41** SZYMON HOŁOWNIA **77** PAWEŁ BRAVO **82** ANDRZEJ STASIUK **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JANUSZ GAJOS
Fotografia: MAREK SZCZEPAŃSKI / FORUM
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

46 Kiedyś wszyscy chodzili do Sine's JAN SMOLEŃSKI: *Co widać ze sklepu w Pensylwanii*

49 Lato miłości w państwie Kimów ROMAN HUSARSKI

HISTORIA

52 Fałsz rodzi fałsz
KATARZYNA KACZOROWSKA: *Oto opowieść o antysemickiej publikacji sprzed 85 lat*

56 Kraj pod skórą
PATRYCJA BUKALSKA *o książce „Polanim. Z Polski do Izraela" Karoliny Przewrockiej-Aderet*

NAUKA

57 Roma Analytica KAMIL KOPIJ: *Polityka, propaganda i starożytne rzymskie monety*

POŻEGNANIE

60 Sen w obecności rozumu
WOJCIECH BONOWICZ: *Twórczość Zbigniewa Makowskiego uchylała drzwi do innego świata*

KULTURA

64 Nie mam nieprzespanych nocy
ROZMOWA Z JANUSZEM GAJOSEM

70 Do krańców świata i umysłu
DOROTA KOZIŃSKA: *Czytajcie Colina Thubrona, on wam pokaże, jak myśleć o podróży*

74 W ciemni
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dzięki Bogu" François Ozona*

76 Jest tylko litość LEKTOR *o tomie Adama Zagajewskiego „Prawdziwe życie"*

WAKACJE

78 Zielicha ANNA GOC

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Przepis na dobrego biskupa
Jak brzmi? Jego najnowszą wersję przedstawił papież Franciszek na spotkaniu z biskupami, którzy zostali wyświęceni w minionym roku – **EDWARD AUGUSTYN** *papieskie rady ujmuje w 10 punktach*
powszech.net/przepis-biskup

Smartfony i kosmos [Podkast Powszechny]
W poszukiwaniu największych tajemnic Wszechświata naukowcy z Krakowa postanowili stworzyć detektor wielkości kuli ziemskiej. Zbudowany z naszych smartfonów. Projekt CREDO właśnie rozpoczął działalność – *rozmawiamy z jego koordynatorem,* dr. hab. **PIOTREM HOMOLĄ** **powszech.net/credo**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

MAPA POLSKICH KRZYWD

Jeżeli ktoś uważa, że obecny rzecznik praw obywatelskich to głównie „młot na PiS", powinien przeczytać przedstawione przezeń na pustawej sali Sejmu roczne sprawozdanie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Adam Bodnar przedstawia informację o działalności rzecznika praw obywatelskich oraz o stanie przestrzegania wolności i praw człowieka, noc w Sejmie, 11 września 2019 r.

Pewnie, że politycznym interpretacjom aktywności biura kierowanego przez Adama Bodnara sprzyjają i przedwyborczy czas, i reakcje polityków. Np. osobiście dotkniętego powstaniem dokumentu posła Daniela Milewskiego, który w imieniu PiS mówił z sejmowej trybuny do ok. 50 posłów i samego RPO: „Pana kraj jest opanowany przez (...) kryzys rządów prawa, bezdomność i tortury. Moja Polska to kraj, w którym żyją wolni i odpowiedzialni ludzie. Żyjemy w równoległych światach".

Pewnie, że z wystąpienia rzecznika – przypominającego, iż rolą tego urzędu jest patrzenie na ręce władzy – a także z 500-stronicowej „Informacji o działalności RPO oraz o stanie przestrzegania wolności i praw człowieka i obywatela w roku 2018" dałoby się ułożyć katalog antyrządowych haseł i postulatów: opłakane efekty reformy oświaty; zagrożenie wykluczeniem w szkołach i poza nimi („Nie daje mi spokoju to, że w Polsce całe grupy są wykluczane i poniżane" – mówił w Sejmie Bodnar, mając na myśli nie tylko osoby LGBT+, ale także migrantów, uchodźców i kobiety); nasilająca się inwigilacja obywateli; zagrożona niezależność sądów.

Ale tak jak słuchający sejmowego wystąpienia Bodnara politycy obozu władzy utwierdzali się w mylnym przekonaniu, że oto przemawia do nich najbardziej rzutki przedstawiciel opozycji, tak politykom opozycji nie mogły umknąć inne zdania. „Bardzo proszę nie traktować mnie w charakterze konkurenta czy sojusznika w wyborach. Proszę nie używać też składanej przeze mnie informacji rocznej w celach instrumentalnych" – mówił polski ombudsman.

Wspomniany dokument to rzeczywiście nie manifest „młota na PiS", ale raczej szczegółowa mapa polskich krzywd. W dużej mierze znanych i nagłaśnianych (także w „TP"), a jednak w tym zbiorze robiących wrażenie. I przywracających proporcje komuś, kto chciałby wszystkie polskie problemy wpisać w polityczną wojnę „dobra" ze „złem", cokolwiek byśmy pod te pojęcia sobie podstawiali. Bo cóż ma z nią wspólnego znękany opiekun osoby niepełnosprawnej, który – mimo wyroku Trybunału Konstytucyjnego sprzed lat, kiedy nie rządził jeszcze PiS – pozbawiony jest godnego świadczenia tylko dlatego, że jego podopieczny stał się niesamodzielny już w dorosłym wieku? Czyją winą – bardziej PO czy PiS-u? – jest to, że kuleje edukacja włączająca? Że osoba głucha nie zadzwoni na alarmowy numer? Że dusimy się od smogu? Że pani Ewa Musiał (niemal całe życie na ulicy), która cudem i przy pomocy organizacji pozarządowej odzyskała pod koniec życia nazwisko i PESEL, już po śmierci spędziła tygodnie w kostnicy, czekając na godny pochówek? Że tysiące nadal żyjących w podobnych co ona kiedyś warunkach nie dostają systemowego wsparcia państwa? Że odbijamy się od gabinetów lekarskich – seniorzy mogą tylko marzyć o geriatrze, a rodzice nie sforsują oddziału psychiatrycznego nawet wtedy, gdy ich dziecko ma myśli samobójcze? I tak dalej, i tak dalej.

Może i dobrze, że Bodnara słuchała w Sejmie garstka posłów. Ten smutny obrazek ponadpartyjnego lekceważenia rzecznika rymuje się z wydźwiękiem jego dokumentu, będącego przecież zbiorem tematów i historii przez lata pomijanych, uważanych – nie tylko przez posła Milewskiego – za marginalny „świat równoległy". „Zapraszam Pana do Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, ściągnę Pana na ziemię – napisała na Facebooku do parlamentarzysty PiS szefowa organizacji wspierającej osoby w kryzysie bezdomności Adriana Porowska. – Jestem w stanie zorganizować spotkanie z mieszkańcami schroniska, chętnie opowiedzą Panu, na jakim świecie żyją". ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

PODPIERAJĄ ŚCIANY. Blisko 20 posłów opozycji nie wzięło udziału w głosowaniu nad wotum nieufności dla Zbigniewa Ziobry, w kuluarach tłumacząc, że losy wniosku i tak były przesądzone.

TAŃCUJĄ. Podobne podejście opozycja wydaje się mieć do kampanii wyborczej – może z wyjątkiem lewicy, której liderzy podjęli się w trakcie wiecu nawet tańca w rytmie latino. „Połowa sztabu ma teraz zakwasy" – ujawniła po zakończonych pląsach działaczka Partii Razem.

TWITTER / @ROBERTBIEDRON

NAUCZAJĄ. Oprócz tanecznych kroków lewica opanowała język religijny. „Jesteśmy trzema królami, którzy przyniosą zbawienie naszemu krajowi" – powiedział o sobie, Włodzimierzu Czarzastym i Adrianie Zandbergu Robert Biedroń.

ZAPLATAJĄ. Mateusz Morawiecki lubi to. „Wiara, wolność, solidarność są ze sobą nierozłącznie w polskich dziejach i w polskiej duszy splecione – mówił premier na Jasnej Górze. – Wydaje mi się, że w rzeczy samej Polska jest takim nierozerwalnym splotem wiary, wolności i solidarności".

ROZPLĄTUJĄ. Są i sploty rozerwalne. Kiedy do awarii oczyszczalni i spuszczania ścieków do rzeki dochodzi w mieście rządzonym przez PiS (przypadek Jaworzna), o porównaniach do Czarnobyla nie ma mowy.

ŁAMIĄ. Nie ma też mowy o otrzeźwieniu. Publicysta Rafał Ziemkiewicz, skazany na opublikowanie przeprosin na stronie głównej Onetu za napisanie o swojej oponentce, że „jest zdeformowana, a mimo to matka ją urodziła", nazywa wyrok „łamiącym elementarne zasady przyzwoitości".

Prezes lubi drażnić

PAWEŁ BRAVO

Prezydium Sejmu zawiesiło ostatnią sesję Izby i postanowiło, iż posłowie wrócą do przerwanego porządku obrad dwa dni po wyborach. Dlaczego nie dano im dokończyć prac np. nad ustawą o sposobie obliczania PKB albo postępowania ze statkowymi wodami balastowymi? Oficjalnie chodzi o to, by kandydaci mieli dwa dni więcej na kampanię w terenie.

Miałkość tego wyjaśnienia wywołała falę spekulacji. Jedne były dość niewinne, np. uzasadniały, że chodzi o odebranie posłom opozycji okazji, by przez dwa dni mogli z trybuny sejmowej „grillować" władzę. Inne, pachnące podejrzeniami o zamach stanu, twierdziły, że PiS chce się zabezpieczyć przed utratą władzy na wypadek, gdyby poszło mu źle w wyborach, albo że „rzutem na taśmę" uchwali ustawy kłopotliwe dla nowego rządu. Najprostsza interpretacja to zaś taka, że Jarosław Kaczyński kazał przenieść posiedzenie na wszelki wypadek, bo lubi mieć otwarte różne opcje, a najważniejszym celem było właśnie rozedrganie wrogiej mu części opinii publicznej. Nerwowy przeciwnik to słabszy przeciwnik. ©℗

ZUS jest trupem

BIEŻĄCA KADENCJA rządów PiS obfitowała w decyzje kluczowe dla przyszłości emerytur. Zaczęła się od błędnej decyzji o obniżeniu dopiero co podniesionego wieku emerytalnego. Teraz, na miesiąc przed wyborami, rząd pali się do gmerania przy składkach na ZUS.

Zapowiedź uzależnienia wysokości składek od dochodu przeraziła najlepiej zarabiających. Premier pospieszył więc z wyjaśnieniem, że po zmianach nikt nie zapłaci „ZUS-u" więcej niż obecnie, a w propozycji chodzi tylko o ulżenie drobnym przedsiębiorcom (nad szczegółami rząd nadal pracuje). Przedstawiciele small businessu z miejsca podziękowali za wsparcie, przypominając, że wielu z nich zarabia właściwie tylko na ZUS. W tej sytuacji ze strony rządu nie mogło paść słowo otrzeźwiającego komentarza, że przy obecnym bezrobociu tacy przedsiębiorcy więcej zarobiliby nawet na kasie w znanym dyskoncie.

Opozycja też nie ustaje w wysiłkach ulżenia Polakom w ZUS-owskiej udręce. Ludowcy proponują zniesienie obowiązkowej składki, a Koalicja Obywatelska kusi zwolnieniami z ZUS dla przedsiębiorców do 25. roku życia. W ten sposób w głównym polskim dyskursie politycznym składki emerytalne przestają mieć związek z przyszłością płatników. Stają się – już oficjalnie – haraczem. ©℗ MR

Symbol imperialnej Japonii zniknie z polskiego napoju

PO PROTESTACH INTERNAUTÓW firma Hortex, która od kilku miesięcy sprzedawała napój z kontrowersyjnym japońskim symbolem na butelce, zapowiada wstrzymanie produkcji opakowania. Nacjonalistyczny Sztandar Wschodzącego Słońca w wielu krajach kojarzy się z japońskimi zbrodniami wojennymi. Firma tłumaczy: twórcy grafiki nie wiedzieli, że może budzić negatywne emocje.

Internautów zmobilizowali Jo Joonghee, student polonistyki w Korei Południowej, i Kasjan Nowakowski, student koreanistyki w Polsce. – Sfotografowałem butelki w połowie sierpnia, w czasie wycieczki do Białegostoku – mówi Jo Joonghee. – Potem znalazłem ten napój w Warszawie. Złożyliśmy skargę. Szczerze mówiąc, myślałem, że firma zajmie się tą sprawą szybciej. Sytuacja nie zmieniała się przez prawie miesiąc, więc postanowiłem poprosić więcej osób, by przyłączyły się do naszego apelu o wycofanie symbolu – mówi „Tygodnikowi" Koreańczyk.

Imperialna Japonia używała sztandaru w czasie II wojny światowej i wcześniejszych konfliktów z Chinami. Jej armia dopuściła się wtedy ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości. Symbol budzi złe skojarzenia zwłaszcza w okupowanej w latach 1910-45 Korei, ale także w Chinach, Malezji, Singapurze, Indonezji i Filipinach, których obywatele byli ofiarami japońskiej okupacji, masakr, pracy niewolniczej i gwałtów.

W minionym tygodniu południowokoreańskie ministerstwo sportu poprosiło Międzynarodowy Komitet Olimpijski o zakazanie flagi podczas przyszłorocznych igrzysk w Tokio. Japończycy argumentują, że w ich kraju flaga nie ma wymiaru politycznego (na zdjęciu: flaga na japońskim okręcie wojennym, 2017 r.). Relacje między państwami pogorszyły się, gdy w 2018 r. Sąd Najwyższy w Seulu nakazał japońskim firmom wypłatę odszkodowań koreańskim robotnikom przymusowym.

Hortex odmówił odpowiedzi na pytanie, ile opakowań jest w dystrybucji i czy wycofa je ze sklepów. Nie wyjaśnił też procedury projektowania i akceptacji grafiki. Stare opakowanie nadal widać na stronach internetowych firmy i w materiałach promocyjnych. © TOMASZ AUGUSTYNIAK

ANTON BALASHOV / TASS / FORUM

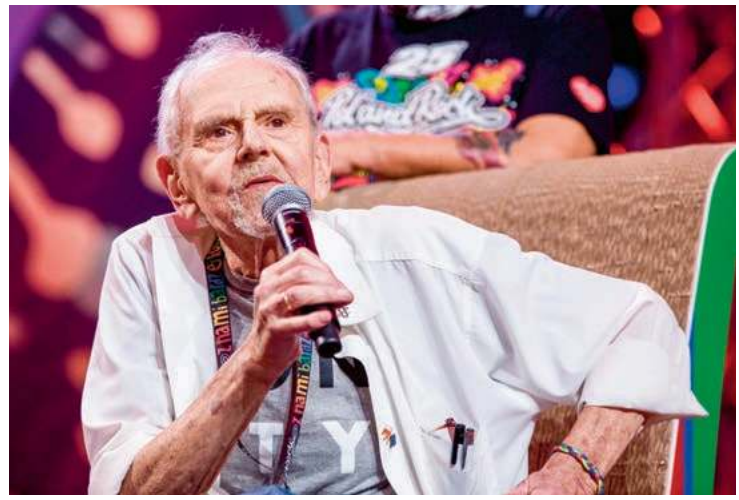

BASIA LUTZNER / MAT. PRASOWE

MILIMETR TO SPORO. W wieku 89 lat zmarł Bogusław Stanisławski, współzałożyciel i były prezes Amnesty International Polska. „Parę tygodni temu dowiedziałem się, że zalęgł mi się potworek w mózgu – mówił w sierpniu ze sceny Pol'and'Rock Festival. – Nazywa się glejak. No i co było robić? Siedzieć i rozważać? Nie! Wziąłem to na klatę. Pomyślałem sobie, że to moja ostatnia szansa na spotkanie z młodzieżą. Ostatnia szansa, żeby coś powiedzieć o moim długim życiu, które wydaje mi się, że nie zostało zmarnowane. Szczęśliwie mi się tak udało, że nigdy nie byłem w kokonie obojętności, że usiłowałem posunąć świat chociaż o milimetr do przodu". ©℗ MO

Lepiej być zdrowym niż chorym

PRZEBRNIĘCIE DROGI od diagnozy przez leczenie po rehabilitację wymaga na ogół nieprawdopodobnych wysiłków, a nieraz korzystania ze znajomości i płacenia za opiekę prywatną. Fundacja Batorego alarmuje: oddalamy się od europejskiego standardu życia w dziedzinie ochrony zdrowia. Ten obszar w świetle raportu Fundacji jest pogrążony w kryzysie instytucjonalnym, finansowym i kadrowym. System jest silnie scentralizowany, z tendencją do przerzucania odpowiedzialności na samorządy, chociaż bez zapewnienia finansowania. Samorządom podlega m.in. większość szpitali, czyli poziom opieki najbardziej zadłużony. (Rząd wbrew zwyczajowi nakazującemu robić to raz na kwartał, nie podał – zapewne ze względu na wybory – bieżących danych o zadłużeniu szpitali. W skali kraju w marcu wynosiło 12,8 mld zł; obecnie może sięgać nawet 20 mld zł). Opieka podstawowa i specjalistyczna finansowo radzą sobie nieźle, ale brak koordynacji między poszczególnymi sektorami sprawia, że system tak naprawdę „nie widzi pacjenta".

Do problemów instytucjonalnych dochodzi chroniczne niedofinansowanie systemu (sprytnie skonstruowana ustawa o 6 proc. PKB na zdrowie jedynie maskuje problem przed opinią publiczną) i kryzys kadrowy (według rankingu OECD w Polsce na tysiąc mieszkańców przypada 2,4 lekarza przy średniej w Unii Eeuropejskiej – 3,6).

Fundacja Batorego proponuje dogłębną przebudowę systemu. Gospodarzem stałyby się w nim samorządy, dofinansowane pieniędzmi będącymi dzisiaj w zarządzie NFZ i wyposażone w szerokie uprawnienia. Samorządy wojewódzkie odpowiadałyby za leczenie szpitalne, a powiatowe organizowałyby opiekę podstawową i specjalistyczną, tworząc sieci gabinetów (tzw. domy zdrowia) pod jednolitym zarządem, zapewniające skoordynowaną opiekę przedszpitalną.

A jak dosypać do systemu pieniędzy? Fundacja sugeruje m.in. zwiększenie dotacji z budżetu państwa o oszczędności zebrane po „krytycznym przeglądzie instytucji i programów", podniesienie składki zdrowotnej z obecnych 9 proc. i wprowadzenie składek regionalnych.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Bliski Wschód: atak na saudyjskie rafinerie

USA CZEKAJĄ NA OSTATECZNE potwierdzenie, kto odpowiada za atak na dwie rafinerie państwowego koncernu Saudi Aramco – napisał prezydent Trump w nocy z niedzieli na poniedziałek na Twitterze, sugerując, że gdy będzie to jasne, może nastąpić uderzenie odwetowe. W minioną sobotę dwie wielkie rafinerie w Arabii Saudyjskiej zostały uszkodzone przez samoloty bezzałogowe. Do ataku z użyciem dziesięciu dronów przyznali się jemeńscy rebelianci Huti, z którymi Arabia – wspierająca jemeński rząd – toczy wojnę. Patronem Hutich jest Iran: dostarcza im broń (także drony, którymi w przeszłości atakowali już Arabię) i używa ich w regionie jako swych „harcowników".

USA uważają, że to Iran stał za atakiem na rafinerie; Teheran zaprzecza. Na skutek zniszczeń produkcja saudyjskiej ropy spadła drastycznie, może nawet o połowę. W poniedziałek na światowych rynkach cena ropy wzrosła o kilkanaście procent. Gdy USA zapowiedziały, że dla ustabilizowania sytuacji rzucą na rynek swoje rezerwy strategiczne, cena surowca nieco spadła.

©℗ WP / REUTERS, DPA, FAZ

Arktyka w chińskiej sieci

GLENN CHAPMAN / AFP / EAST NEWS

Rower Google'a, Cambridge Bay, Kanada, 2012 r.

TU NETFLIX SIĘ NIE OPŁACA: równowartość aż 380 zł płacą mieszkańcy izolowanych osad na kanadyjskiej dalekiej północy za dostęp do internetu. Rząd w Ottawie obiecuje, że do 2031 r. zbuduje nową infrastrukturę, lecz szybsi mogą się okazać Chińczycy. Firma Huawei ogłosiła właśnie, że we współpracy z lokalnymi władzami dostarczy tani internet do ok. 70 arktycznych miejscowości.

Brzmi jak lokalna wiadomość z końca świata? Pozory mylą: na skutek ocieplenia klimatu chińsko-rosyjsko-zachodnia rywalizacja o Arktykę – jej zasoby i nowe trasy żeglugowe – trwa już na całego. Huawei, koncern powiązany z rządem w Pekinie, jest tu w centrum podejrzeń; arktyczny internet zaś stał się jednym z tematów kampanii przed październikowymi wyborami, która właśnie rozpoczęła się w Kanadzie. Choć w izolowanych miejscowościach na Północy mieszka tylko kilkadziesiąt tysięcy ludzi, ponad 5 mln Kanadyjczyków nie ma dostępu do szybkiego internetu – a zapowiedź Huawei (która ma doświadczenie w dostarczaniu internetu do wiejskich regionów USA) postawi wielu z nich przed wyborem: internet tani czy kanadyjski?

To nie jedyna „chińska" wiadomość z Arktyki. Kilka dni temu ministerstwo transportu w Pekinie ogłosiło też zamiar wysłania na wody przy północnym wybrzeżu Rosji ekspertów, którzy zaprojektują nowy system łączności radiowej i satelitarnej. Oficjalnie ma on zwiększyć bezpieczeństwo żeglugi na trasie, którą niedługo będą już pływać kontenerowce (to skutek zmniejszania się pokrywy lodowej na Oceanie Arktycznym). Coraz silniejsze są jednak obawy, że infrastruktura może być także wykorzystana do celów militarnych. Oprócz systemu łączności Pekin chce współfinansować budowę nowych korytarzy transportowych do arktycznych portów Norwegii i Finlandii.

©℗ ŻYM

Nowa KE na ostatniej prostej

URSULA VON DER LEYEN przedstawiła przydział tek w swojej Komisji Europejskiej. Przesłuchania kandydatów przez komisje Parlamentu Europejskiego jeszcze się nie zaczęły, ale już widać, jakie mogą się pojawić kłopoty. Janusz Wojciechowski (rolnictwo) ma niezamkniętą sprawę o nieprawidłowości finansowe z czasów, kiedy był posłem – z tym że równie duże, jeśli nie większe problemy prawne ma Rovana Plumb z Rumunii (transport), a przede wszystkim bliska sojuszniczka prezydenta Macrona Sylvie Goulard (rynek wewnętrzny). Konsternację i apele o zmianę wywołały też zakresy kompetencji – np. „ochrona europejskiego sposobu życia" jako eufemizm dla ostrzejszej polityki migracyjnej. Proponowana Komisja zachowuje prawie idealny parytet płciowy, ale jeśli chodzi o geografię, to jedynym gestem wobec Wschodu było wyróżnienie Łotysza Valdisa Dombrovskisa tytułem „wykonawczego" wiceprzewodniczącego.

©℗ PB

ARCH. RODZINNE / DOMENA PUBLICZNA

Śmierć niebieskiej dziewczyny

BYŁA PRZEDE WSZYSTKIM SYMBOLEM i, jak to często z symbolami bywa, niewiele o jej życiu wiedzieliśmy. Świat znał ją jako „Niebieską dziewczynę" – od barw piłkarskiej drużyny Esteghlal, której kibicowała. Miała pecha urodzić się w Iranie, gdzie po rewolucji islamskiej z 1979 r. kobietom odmawia się prawa do chodzenia na mecze. „To, że oglądają półnagich mężczyzn, prowadzi do grzechu" – grzmiał w październiku 2018 r. prokurator generalny Muhammad Dżaffar Montazeri, kiedy po meczu Iranu z Boliwią wydawało się, że zakaz zostanie rozluźniony.

Przebraną w męski strój 29-letnią Sahar Chodajari aresztowano w marcu na trybunach Stadionu Wolności. Zwolniona za kaucją, we wrześniu stanęła przed sądem za nieprawidłowe noszenie hidżabu. Wiadomo, że groziło jej pół roku więzienia. Wiadomo, że była jedną z ośmiorga dzieci, wychowanych w religijnej rodzinie (ojciec również uważał, że chodzenie kobiet na mecze jest niewłaściwe, choć pozwalał jej na oglądanie futbolu w telewizji). Wiadomo, że zmagała się z chorobą dwubiegunową, czego sąd nie brał pod uwagę, bo... była nieuprzejma wobec strażników. Wiadomo, że skończyła informatykę. Wiadomo, że w oczekiwaniu na wyrok podpaliła się przed budynkiem sądu. Zmarła po kilku dniach.

Śmierć Sahar poruszyła świat futbolu: gwiazdy piłki (zwłaszcza kobiecej) i kluby publikują nekrologi. Władzom FIFA, które w swoich statutach mają zapisany zakaz dyskryminacji, zarzuca się hipokryzję i przymykanie oczu na politykę Teheranu. Ali Karimi – były piłkarz Bayernu, rekordzista występów w reprezentacji Iranu, zwany niegdyś „Maradoną Azji" – wzywa irańskich mężczyzn do nieoglądania meczów. Trudno się łudzić, że go posłuchają.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Papieskie życie

TAKI JUŻ LOS FRANCISZKA. Choć przemierzył tysiące kilometrów (Mozambik, Madagaskar, Mauritius), wypowiedział dziesiątki ważnych przemówień (o wojnie, biedzie, wyzysku, ksenofobii, degradacji środowiska), to i tak świat żyje kilkoma zdaniami, jakie padły w samolocie.

W drodze do Afryki spytano go, czy wie, że konserwatywne środowiska w USA chciałyby zmiany papieża. Skwitował to ironicznym: „Czuję się zaszczycony". Wracając do Watykanu, musiał się tłumaczyć z tych – uznanych za lekceważące – słów. Wyjaśniał, że z krytyką spotyka się często, także w Watykanie. Że czasem go denerwuje, ale zawsze skłania do refleksji, ile w niej racji. Że ceni krytykę otwartą i szczerą, wypowiadaną prosto w twarz, a brzydzi się anonimową, nieprzyjmującą odpowiedzi, zatruwającą atmosferę. I że nie boi się schizmy, choć modli się, by do niej nie doszło.

To już tradycja. Wcześniejsze, równie ważne podróże też znikały w cieniu samolotowych konferencji. Tam padały słynne zdania o gejach („kimże jestem, żeby ich oceniać"), ukrywaniu prawdy przed Janem Pawłem II („były filtry w Watykanie"), blokowaniu postępowania przeciwko znanemu księdzu pedofilowi („wygrała druga partia").

Może to magia lotu, spadek ciśnienia (po kilku dniach wytężonego wysiłku), sprzyjająca atmosfera (nieskrywana i odwzajemniana sympatia do dziennikarzy). Może precyzyjne, naprowadzające pytania. W każdym razie znów udało się ulecieć ponad poważne tematy przy pomocy zaledwie kilku „skrzydlatych słów". ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Jak się przebić przez zamknięty krąg

ARTUR SPORNIAK

Telefon działa już pół roku. Co wtorek od 19.00 do 22.00 pod numerem 800 280 900 dyżurują psychoterapeutki. Osoby dzwoniące mają zapewnioną dyskrecję i profesjonalną pomoc – prawną, psychologiczną i duszpasterską. Inicjatorami akcji „Zranieni w Kościele" są świeccy z warszawskiego KIK-u, Laboratorium „Więzi" i Fundacji Pomocy Psychologicznej Pracownia Dialogu. Do tej pory odebrano ponad 80 telefonów.

Główną trudnością dla osoby skrzywdzonej w Kościele, która zechce domagać się sprawiedliwości, będzie zderzenie z mechanizmami obronnymi instytucji. Krzywdę zgłaszać będzie przedstawicielowi instytucji, w której została skrzywdzona przez jej funkcjonariusza. Prawo tejże instytucji nie potraktuje jej jak stronę, tylko jak informatora. Osąd zostanie dokonany wewnątrz instytucji. By się przez ten „zamknięty krąg" przebić, potrzebuje fachowej pomocy – autonomicznej względem Kościoła. Tym należy tłumaczyć zapotrzebowanie na taki telefon.

By ta ważna inicjatywa mogła trwać, organizatorzy zbierają fundusze na stronie zrzutka.pl/ywf2sg. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SIEĆ. Jak odtworzyć relacje między ludźmi zamkniętymi w bańkach medialnych? – zastanawia się papież w orędziu na Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu. „Użyteczny może być powrót do refleksji na temat metafory sieci, leżącej początkowo u podstaw internetu. Obraz sieci zachęca do zastanowienia się nad mnogością dróg i węzłów, które zapewniają jej utrzymanie. Sieć działa dzięki partnerstwu wszystkich elementów".

DRUTY. W Limburgu odbyła się beatyfikacja ks. Richarda Henkesa,

BEATE HEINEN / CATHOLIC APOSTOLATE CENTER / MAT. PRASOWE

pallotyna zmarłego w obozie Dachau (na zdj.). Aresztowano go w 1943 r. z powodu krytycznych wobec nazizmu kazań; w obozie zgłosił się do opieki nad chorymi na tyfus, w 1945 r. sam zachorował. „Był wolny wewnętrznie; tylko takie osoby są w stanie oprzeć się pokusom ducha czasu, aby iść za Chrystusem" – napisał w liście pasterskim bp Georg Bätzing.

KRZYŻ. „Zauważcie, jaka panuje cisza w kościele, kiedy czytamy fragment o Maryi i Janie stojących pod krzyżem Jezusa. Oni kierowali się w swoim postępowaniu miłością wobec Jezusa, i to ona przyprowadziła ich na Golgotę" – mówił biskup włocławski Wiesław Mering podczas centralnej mszy wydarzenia „Polska pod Krzyżem". „Właśnie takich kobiet i mężczyzn, z odwagą i miłością stających pod krzyżem Jezusa, potrzebuje Polska, Europa i świat" – podkreślił.

TWITTER / @JUSTINWELBY

Prymas przeprasza za kolonialną zbrodnię

„TO BYŁ NIEZWYKŁY WIDOK" – pisały brytyjskie gazety. Podczas pielgrzymki do Indii zwierzchnik Kościoła anglikańskiego arcybiskup Canterbury Justin Welby, leżąc twarzą do ziemi w miejskim parku w mieście Amritsar, przeprosił za masakrę dokonaną w tym miejscu sto lat temu przez wojsko kolonialne.

13 kwietnia 1919 r. żołnierze na rozkaz gen. Reginalda Dyera otworzyli ogień do zgromadzonych w parku ludzi. Obowiązywał zakaz zgromadzeń, ale w mieście przebywało wielu nieświadomych tego zakazu pielgrzymów. Według brytyjskiego raportu ogień trwał 10 minut, wystrzelano 1650 nabojów. Zginęło 379 osób, w tym kobiety i dzieci. Ciężko rannych zostało ponad tysiąc osób. Strona indyjska podaje, że ofiar było jednak znacznie więcej.

Masakra wzmogła ruchy niepodległościowe i przyczyniła się do odzyskania przez Indie niepodległości.

„Nie mam upoważnienia, aby przepraszać w imieniu Zjednoczonego Królestwa, jego rządu czy historii, ale osobiście chciałbym bardzo przeprosić za ten straszny akt okrucieństwa. (...) Mogę jednak mówić w imieniu Chrystusa i powiedzieć, że jest to miejsce grzechu i odkupienia, ponieważ zapamiętaliście, co się wydarzyło, a imiona ofiar będą żyć, tak jak i ich pamięć przed Bogiem. Dusze tych, którzy zostali zabici lub ranni, pogrążonych w smutku, wołają do nas z tych kamieni i ostrzegają przed władzą i jej nadużyciem" – wyznał abp Welby. ©℗ ASK

Gdzie bardzo swędzi

ŁUKASZ LAMŻA

Ach, wrzesień, najpiękniejszy miesiąc dla nauki! Przyznano właśnie, po raz dwudziesty dziewiąty, IgNoble – nagrody za „badania, które najpierw wywołują śmiech, a potem zastanawiają". Wręczali je jak zawsze najprawdziwsi nobliści, podczas eleganckiej ceremonii na Harvardzie. A za co?

Pokojowego IgNobla przyznano za badania nad swędzeniem, wywoływanym w kontrolowanych warunkach poprzez posypywanie skóry włoskami świerzbca właściwego. Wyniki? Najsilniej swędzą plecy i tam też drapanie sprawia największą przyjemność. IgNobla z fizyki wręczono za zbadanie, jak to się dzieje, że odchody wombatów mają kształt kostki. Po wypreparowaniu układu pokarmowego dwóch martwych zwierząt znalezionych przy tasmańskiej drodze i nadmuchaniu ich jak balon okazało się, że odpowiada za to szczególny, asymetryczny wzorzec rozciągliwości w końcowym odcinku jelita.

Co dalej? Nagroda z chemii za oszacowanie produkcji śliny u przeciętnego pięciolatka (500 ml dziennie), a także z ekonomii za zbadanie, na jakich banknotach najchętniej kwitną bakterie (są to rumuńskie leje). I jeszcze sześć innych. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ludzie śmieją się z IgNobli. Przecież to sto razy ważniejsze od tych wszystkich czarnych dziur i cząstek elementarnych... ©℗

NANCY KASZERMAN / ZUMA PRESS / FORUM

BYŁ ROK 1955, gdy fotograf Robert Frank odbył pierwszą z trzech wielkich podróży przez Stany Zjednoczone. Przywiózł z nich pół tysiąca rolek filmu. W albumie „The Americans" (1959) opublikował 83 czarno-białe zdjęcia, łamiąc, jak wtedy mówiono, wszystkie konwencje fotografii. Później – jako jedne z pierwszych, które uwolniły nas od popkulturowych obrazów Ameryki – przeszły one do historii. Wtedy jednak krytycy byli bezlitośni: „przypadkowe rozmycia, ziarno, (...) ogólne niechlujstwo", recenzował wpływowy magazyn „Popular Photography". Robert Frank, fotograf Amerykanów, zmarł w minionym tygodniu w wieku 94 lat. ©℗ ŻYM

KULTURA W SKRÓCIE

KANDYDAT. Polskim kandydatem do Oscara w kategorii najlepszy pełnometrażowy film międzynarodowy jest „Boże Ciało" w reż. Jana Komasy – ogłosiła w minionym tygodniu Komisja Oscarowa. Produkcja zmierzy się m.in. z hiszpańskim „Bólem i blaskiem" Pedro Almodóvara i koreańskim „Parasite" Joon-ho Bonga. 92. gala rozdania Oscarów odbędzie się 9 lutego 2020 r.

KINO ŚWIAT / MAT. PRASOWE

TANK MAN. W wieku 64 lat zmarł Charlie Cole, autor słynnej fotografii przedstawiającej mężczyznę przed kolumną czołgów na placu Tiananmen. „Wyglądał po prostu na przechodnia. Na wkurzonego faceta, który chce wykrzyczeć żołnierzom, że mają się wynosić z jego domu po tym, czego dopuścili się poprzedniej nocy" – powie po latach kamerzysta amerykańskiej stacji NBC Tony Wasserman. Scena uwieczniona przez Cole'a i trzech innych fotografów stała się symbolem pokojowego oporu na całym świecie.

THOMAS. Uczestnicy trwających od czerwca protestów w Hongkongu stworzyli własny hymn. Utwór „Glory for Hongkong" pojawił się pod koniec sierpnia w wersji kantońskiej, później angielskiej. Na udostępnionym w sieci wideo można zobaczyć chór i orkiestrę symfoniczną ubraną w hełmy i maski – to znak rozpoznawczy protestujących, którzy żądają demokratyzacji Hongkongu. Autorem pieśni jest młody twórca ukrywający się pod pseudonimem Thomas.

Smartfon w służbie nauki

ŻEBY BADAĆ tajemnice wszechświata, naukowcy chcą stworzyć detektor z naszych smartfonów – projekt ruszył 11 września.

Co sekundę przez głowę dorosłego człowieka przelatuje pięć mionów – powstających, gdy rozpędzone do olbrzymich energii cząstki promieniowania kosmicznego zderzają się z ziemską atmosferą. Badania tego promieniowania mogą pomóc rozwikłać tak fundamentalne zagadnienia, jak natura ciemnej materii, grawitacja kwantowa czy struktura czasoprzestrzeni. Wymagają jednak olbrzymiej liczby danych z jak największego obszaru. Najlepiej z całego świata.

Do wykrywania promieniowania kosmicznego buduje się specjalistyczne detektory. Ale czułe na nie są też matryce aparatów w smartfonach. Naukowcy z Instytutu Fizyki Jądrowej PAN w Krakowie, w ramach projektu CREDO (Cosmic-Ray Extremely Distributed Observatory), wymyślili więc aplikację, która je rejestruje (dostępną na stronie credo.science lub Google Play). Sieć wyposażonych w nią smartfonów stworzy globalne obserwatorium.

Dzięki CREDO każdy może pomóc w rozwikływaniu wielkich pytań nauki. My w „Tygodniku" tylko przez jeden weekend zarejestrowaliśmy 50 cząstek. ©℗ MK

Miłosne sieci

ŻYCIE SEKSUALNE samców pająków z gatunku *Trichonephila clavipes* nie jest usłane różami. Nie dość, że mają ograniczone zasoby nasienia, to jeszcze muszą rywalizować z innymi samcami o partnerki. Doprowadziło to do wyłonienia się u nich specyficznego wzorca preferencji seksualnych. Jak zaobserwowali Pietro Pollo i współpracownicy, samce o największych rozmiarach wybierają partnerki najbardziej „wartościowe" (czego wskaźnikiem są duże rozmiary i dłuższy czas od ostatniego spotkania z partnerem), podczas gdy najmniejsze samce – mniej „wartościowe" partnerki. Samcom o średnich rozmiarach jest wszystko jedno. Dzięki temu także słabsi mogą się rozmnażać, unikając nierównej walki. ©℗ ŁK

ZACZĄĆ OD HAPPY ENDU

Każdego roku ten spektakl powtarza się w Polsce dwieście tysięcy razy. Popularności nie odbiera mu nawet laicyzacja: ślubu kościelnego może nie być, wesele – być musi.

TEKST MAREK RABIJ ZDJĘCIA JACEK TARAN

Na tej i kolejnych stronach: ślub Anny i Patryka, Beskid Niski, sierpień 2011 r.

Nie ożeniłbym się, gdybym nie musiał – mówi **PAN MŁODY**. – Kasia nie jest w ciąży, a nawet gdyby była, nie uważałbym dziecka za argument na rzecz ślubu. Jesteśmy razem od czterech lat, od ponad dwóch mieszkamy razem w moim, w naszym mieszkaniu. Jeszcze przed ślubem zacząłem nazywać Kasię żoną – nie będę przecież jej tytułować przy ludziach konkubiną. W spisie kontaktów w telefonie zaznaczyłem ją jako numer ICE dla służb ratunkowych. Kaśka zrobiła to samo i prawdę mówiąc, bardziej mi to przemówiło do wyobraźni niż potem przysięga w kościele. Nasze wspólne ICE – *in case of emergency* – to przecież takie współczesne „w zdrowiu i w chorobie".

Dlaczego więc niedawno wzięliśmy ślub? Nie wiem. W pewnym momencie zrozumiałem, że czas na oświadczyny. Kasia nie naciskała, ale czułem, że tego ode mnie oczekuje. Moja mama była mniej subtelna. „Bądź wreszcie mężczyzną" – dogadywała. Każda rodzinna uroczystość była nie do wytrzymania, bo ile ciotek, tyle pytań o ślub. No i moja chrzestna. Wielka obrończyni świętej instytucji małżeństwa – jak ją nazywa – która parę lat temu sama wyprowadziła się od męża. Na nasz ślub oczywiście przyjechali razem i zachowywali się tak, jakby ich małżeństwo funkcjonowało bez zarzutu.

Chyba dlatego nie lubiłem, kiedy mówili o mnie „pan młody". Mam dopiero 31 lat, ale wyczuwałem w tym presję, aby się ożenić, zanim zrobię się za stary.

PANNA MŁODA: W lutym 2018 r., kiedy podjęliśmy decyzję, myślałam o ślubie jak o kolejnej sprawie do załatwienia. Przyjaciółka z pracy też radziła, żeby się nie angażować emocjonalnie. „Odczekać jak okres" – mówiła, bo wesele jest przecież dla rodziny i gości, a nie dla państwa młodych. Miałam wątpliwości, czy nie robimy tego za wcześnie. Może lepiej byłoby zaczekać jeszcze ze trzy, cztery lata, zahartować związek? Znamy się od studiów, ale wspólnie nie przechodziliśmy przez nic trudnego.

W maju zaczęłam się denerwować, czy zdążymy z przygotowaniami. Sala i termin w kościele były zaklepane, zaproszenia poszły, ale obecność potwierdziło dwie trzecie gości i nadal nie wiedzieliśmy, czy planować uroczystość na 30, czy 46 osób.

We wrześniu, na trzy miesiące przed ślubem, już nie mogłam się doczekać uroczystości. A to dzięki mamie. Wpadliśmy do niej w drodze z wakacji. Po obiedzie wyciągnęła zdjęcia ze swojego ślubu. Nie nazwałabym jej sentymentalną, wcześniej razem nie oglądałyśmy tych fotografii, ale teraz, gdy siedziałyśmy nad tym albumem, nagle się rozryczała. A kiedy doszła do siebie, wyjaśniła, że od moich urodzin marzyła, żebym do ślubu poszła w tych samych kolczykach, które ona dostała przed uroczystością od swojej mamy. Ja tej babci nie poznałam, zmarła, kiedy miałam niecały rok. Byłam tak oszołomiona, że spytałam jedynie mamy, dlaczego dopiero teraz mi to mówi. Odpowiedziała, że to z obawy, że się nie zgodzę.

Wtedy wszystko mi się poukładało. Zrozumiałam, że nasze wesele w takim stopniu jest także weselem, świętem naszych rodziców.

„Myślisz, jakbyś sama była już matką" – podsumował mnie narzeczony, kiedy mu o tym powiedziałam. ↦

↦ Kolczyki oczywiście założyłam. Są piękne. A my mamy piękną rodzinną tradycję.

OJCIEC PANNY MŁODEJ: Skoro pan pisze o weselach, to może pan mi wyjaśni – skąd ten przesąd, że ślub trzeba brać w miesiącu z literą „r" w nazwie? Mnie się wydawało, że to „r" jak rodzina, ale ojciec młodego upiera się, że to ponoć jeszcze ze średniowiecza. Ponoć chodziło o to, żeby w czasie zasiewu i żniw nie odrywać ludzi od roboty w polu. Przesądny nie jestem, ale ryzykować to ja mogę swoim życiem, nie córki. Żona też powiedziała, że lepiej dmuchać na zimne. No i wesele Iwonki będzie w październiku.

Nie chciałem dzieciom niczego narzucać. Ale bałem się, że wymyślą nie wiadomo co, choćby wesele bez ślubu kościelnego. Bo w kościołach teraz ludzi coraz mniej, za to wesel właściwie nie ubywa. Gdzieś to sobie nawet ostatnio wynotowałem z artykułu. W 2017 r. – 192 tys. ślubów, ale tylko 62,3 proc. kościelnych. Rok wcześniej 193 tys., ale w 2015 r. zawarto 188 tys. małżeństw. W ciągu 12 lat liczba ślubów kościelnych spadła o 11 proc.

Syn kolegi z pracy wziął ślub humanistyczny. Nie wiem, co za czort. Kolega nas nie zaprosił, chyba mu było wstyd, wiem tylko, że nie było księdza i że ponoć takie coś nie ma żadnych skutków prawnych. Myśmy w domu nigdy nie byli bardzo religijni, ale i syna, i córkę ochrzciliśmy, a potem dzieci miały naukę religii i wszystkie sakramenty. Córka w liceum nawet na oazę chodziła. Ale jak przyszła nam powiedzieć, że wezmą ślub, aż się bałem spytać, czy normalny, czy może tylko cywilny.

Mojemu ojcu pewnie nawet do głowy nie przyszło, że na ślubie może zabraknąć księdza.

DRUHNA: Kiedy siostra zapytała, czy będę druhną na jej ślubie, zgodziłam się natychmiast – a jak tylko wyszli z narzeczonym, rzuciłam się do kompa sprawdzić, co właściwie mam tam robić. Myślałam, że będę tylko taszczyć za nią welon albo sypać ryż. Okazało się, że pół wesela zgodnie z tradycją spoczywa na barkach druhen. Suknia ślubna i makijaż, wcześniej wieczór panieński, to wiadomo. Ale jak na jakimś portalu weselnym wyczytałam, że mam też rozkręcać zabawę, pilnować prezentów, nawet rozliczać koszty przyjęcia weselnego, to nogi się pode mną ugięły. Serio? Ja, która dwa razy w roku gubię telefon?

Na szczęście ludzie nie dają już prezentów innych niż koperty. W sklepach jest teraz wszystko, czego młodzi mogą potrzebować, chociaż trochę to smutne, że nawet przy tak podniosłej okazji nikomu nie chce się zdobyć na coś więcej niż pragmatyzm.

WEDDING PLANNERKA: Dlaczego się pan uśmiecha? Wolę to określenie od „konsultantki ślubnej". Konsultant to ktoś, kto pomaga podjąć decyzję. My coraz częściej praktycznie decydujemy za klientów.

Kilka, nie mówiąc o kilkunastu miesiącach na zorganizowanie wesela, zwykle wydaje się bezpieczną perspektywą czasową. Do czasu kiedy do klienta dotrze, ile dobrze zgranych elementów składa się na udane przyjęcie. Na przykład pojemność sali. Podczas rezerwacji trzeba już myśleć o rozplanowaniu miejsc gości, bo inaczej może się okazać, że ojciec panny młodej usiądzie z jej matką przy jednym stole razem ze swoją drugą żoną. Nawet banalna próba tortu zmienia się w bieg z przeszkodami, kiedy panna młoda ma alergię na truskawki, teściowej szkodzą orzechy, a dwunastu gości to weganie i odpada nawet bita śmietana.

Czasem główną trudność stanowi wypracowanie kompromisu między oczekiwaniami młodych a wyobrażeniami rodziców. Najtrudniej jest wtedy, kiedy

za imprezę płacą ci ostatni. Jedna dziewczyna błagała mnie, żebym wybiła teściowej z głowy pomysł na dowiezienie młodej pary długą amerykańską limuzyną. Jej, twierdziła, nie wypada.

Pół biedy, gdy klienci wiedzą, czego chcą. Do wedding plannerów często przychodzi się jednak po pomysł na wesele. Zwykle wygląda to tak: proszę pani, gości będzie setka, córka chce wziąć ślub w starym kościółku, przyjęcie ma być w jakimś pałacu z klimatem, no i musimy się zmieścić w budżecie 75 tys. zł. A kiedy pytam klienta, co dla niego znaczy „stary kościółek" i „pałac z klimatem", widzę już zakłopotanie. Wtedy pomagają zdjęcia. W tym skoroszycie, proszę spojrzeć, mam fotografie wnętrz dwunastu różnych obiektów weselnych. Tutaj wiejska gospoda pod Nowym Sączem. A to gdzieś pod Łowiczem, naprawdę ciekawie odrestaurowany pałac z XIX w. Nazywam to „wnętrzami bazowymi", bo na podstawie tych zdjęć ustalam z klientami kierunek poszukiwań obiektu. Goście dostają go do przejrzenia wraz z formularzem, w którym proszę o dokładniejsze sprecyzowanie oczekiwań co do wystroju wnętrza, menu, oprawy muzycznej czy specjalnych życzeń. Szczegóły zgrywać będziemy przez kilka miesięcy, ale im lepiej zrozumiemy się na początku, tym szybciej dotrzemy do celu.

Coraz częściej dostaję pytania o wesela za granicą. U nas aż połowa sal weselnych jest w hotelach i zajazdach. Jakieś 18 proc. w odnowionych pałacach, domy weselne i restauracje to kolejne 20 proc. Jak pan widzi, ciężko o wnętrze, które nie wygląda jak remiza strażacka, wiejska gospoda albo scenografia z „Ogniem i mieczem". Owszem, w Polsce co roku wydaje się na wesela ponad 7 mld zł. Średnio wychodzi ok. 36 tys. zł na imprezę. Ma pan rację, popyt jest stabilny. Ale to popyt głównie na dworki, karczmy i inne weselne pewniaki. Czekam teraz na zdjęcia z opuszczonego kościoła w Czechach przy samej granicy, który przerobiono na podobno bardzo szykowną salę balową, ale jeszcze dłużej poczekam pewnie na kogoś, kto zechce tam urządzić imprezę weselną.

Dlaczego ludzie wolą powierzyć organizację tak ważnego wydarzenia obcej osobie? A pan sam naprawia swój samochód? Otóż to. Zamożni klienci zwykle nie mają czasu, żeby wszystkiego dopilnować osobiście. Zresztą i ci, którzy wesele organizują za oszczędności życia albo i na kredyt, coraz częściej wolą skorzystać z pomocy wedding plannera. My znamy rynek. Wiemy, z kim warto pracować, a z niektórymi kontrahentami współpracujemy na stałe i dzięki temu zamawiamy usługi z rabatem, którego przygodny klient raczej nie wynegocjuje. Oczywiście rzadko zajmujemy się kameralnymi weselami. Ja najczęściej organizuję imprezy mniej więcej od setki gości wzwyż, chociaż kilka razy trafiły mi się wesela na przeszło trzysta osób. Przy jednym byliśmy odpowiedzialni dosłownie za wszystko, włącznie z odbiorem gości z dworca i lotniska. Do kosztów organizacyjnych zwykle doliczam wtedy moje honorarium w wysokości 10-15 proc. Przy mniejszych zleceniach, choćby zaplanowaniu układu stolików czy zaprojektowaniu dekoracji sali, stawki są stałe i niższe. Około 1,5-2 tys. zł.

KUCHARKA: Rosół musi być, żeby nie wiadomo co. W sierpniu żar lał się z nieba taki, że połowa gości chowała się przed hotelem pod drzewami, ale jak podałyśmy rosół, wszyscy wrócili grzecznie do środka zjeść swoją porcję. Rocznie mamy tu ze 30 wesel. Ale jakbym spojrzała na jedzenie, to właściwie robimy ciągle tę samą imprezę. Na pierwsze oczywiście rosół. Rzadziej zupa gulaszowa. Potem kotlety, ziemniaki, ogórki kiszone lub surówki, a na koniec wędlina na zimno. Rzadziej sałatka warzywna. Zasada jest ↦

taka, że im prostsze danie i składniki łatwiej dostępne, tym bezpieczniej. Nawet jak się spali porcję schabowych, to szybko do sklepu, mięsa dokupić i po problemie. A z jakimś francuskim nie wiadomo co to powtórka może się nie udać. Zresztą każdy pilnuje, żeby jedzenia było więcej, niż goście dadzą radę zjeść, bo nie daj Boże, jak go zabraknie. A to znaczy, że trzeba iść w ilość, nie jakość. U nas za talerz, znaczy od gościa, liczymy średnio 140 zł, z czego na moje oko to jedzenia za jakieś 20 zł wyrzuca się potem na śmietnik.

Czy Polacy są jaroszami? Może gdzieś są. Od czasu do czasu klienci proszą o kilka, kilkanaście dań bez mięsa, ale jeszcze się nie zdarzyło, żeby całe wesele było jarskie. Wie pan, jak mówią na wsi: żeby się zabawić, trzeba kogoś zabić. Na weselu wszystkim buzują nerwy. A jak jego ludzie sobie pojedzą mięsa, to się robią przynajmniej senni. I wódka lepiej wchodzi.

Wesel bez alkoholu też sobie nie umiem wyobrazić. Pan młody musi go postawić. Część gości pewnie by się i mogła za jego brak obrazić.

MUZYK: Przez Smarzowskiego i jego film był czas, że na co drugim weselu grali „Białego misia". Jako naród nie czujemy za dobrze konwencji parodii, nie?

Muzyki też nie czujemy. Najlepiej, żeby nie przeszkadzała w tańcu. Czyli nic zanadto skomplikowanego w rytmie. Ja się mogę na to zżymać jako niedoszły absolwent konserwatorium w klasie fortepianu, ale na weselu chodzi o zabawę, nie o edukację muzyczną.

Muszę zresztą oddać polskim gustom weselnym to, że się muzycznie wyrabiają. Jak ludzi nie stać na zawodowych muzyków za 5-7 tys. zł za wieczór, coraz częściej wolą zatrudnić za jedną trzecią tej kwoty dobrego didżeja. W efekcie nawet w remizach częściej słychać dziś przyzwoity zachodni pop niż „Białe misie".

Moje marzenie? Żeby na weselu zagrać porządny nowoorleański jazz. Rozkręci każdą publikę, trzeba mu tylko dać szansę.

FOTOGRAF: Śluby i wesela robię od 15 lat i prawdę mówiąc, już mam dość. Najbardziej – cudzych emocji, w których chcąc nie chcąc biorę udział praktycznie co sobotę. Ostatnio panna młoda wpadła niemal w histerię na widok serwetek na stołach, które miały być zielone, a były niebieskie. A fotograf nie może się od tego wszystkiego po prostu odciąć. Bez empatii nie ma dobrego portretu. Bywają dni, kiedy dosłownie zmuszam się do wyjścia do pracy.

Scenariusze weselne też mam już w małym palcu. Chociaż jedna para ostatnio zrobiła na mnie wrażenie, bo przyleciała. Młodzi oczywiście dążą do tego, żeby ich uroczystość była niepowtarzalna, ale najczęściej nieświadomie powielają któryś z najpopularniejszych pomysłów, które wychodzą z mody i powracają co parę lat. Kilka lat temu co trzecia impreza przypominała wesele z amerykańskich filmów romantycznych, gdzie para składa sobie przysięgę pod kwiatowym łukiem, a potem bawi się z gośćmi na bankiecie w ogrodzie. Teraz modne robią się przyjęcia w stylu boho, na przykład w odrestaurowanej wozowni, ze snopami siana zamiast krzeseł. Popularne są też imprezy z dużą ilością zieleni, wodą spływającą po ścianach, bliżej natury.

Folklor? Jest jak czerń w modzie, zawsze na czasie. Jesteśmy przecież narodem wiejskim. Jeśli w trakcie wyboru weselnej stylistyki młodzi zaczynają myśleć o nawiązaniu do tradycji, odniesieniach do historii rodziny, prędzej czy później lądują w stylistyce wiejskiej. Ja nie mam, Boże broń, nic przeciwko zwykłym wiejskim weselom, nawet wolę je od sztywnych imprez, które zazwyczaj wychodzą tym, co się boją, „żeby nie było po wieśniacku". Czasem miks polskiej tradycji z nowinkami wychodzi jednak niestrawny. Na weselach par mieszanych obie strony dążą zwykle do tego, by uwzględnić ich rodzime tradycje. Rezultatem może być np. góralskie weselisko, w które goście z zagranicy wplatają anglosaski zwyczaj przemówień. Świadek wtedy czyta z kartki, próbuje zgodnie z tamtejszym zwyczajem ośmieszyć pana młodego, a polskie ciotki panny młodej słuchają tłumaczenia i płoną oburzeniem.

Zdjęcia ślubne? Niemal zawsze są przestylizowane. Nie dyskutuję z klientami, choć sam pewnie bym sobie takich nie zamówił. Cukierkowa stylistyka, najchętniej z ciepłym światłem zachodzącego słońca w tle, uśmiechy przećwiczone do lustra, wystudiowane lub skopiowane skądś pozy. Z każdą parą staram się wcześniej porozmawiać, bo jeśli się lepiej nie poznamy, nie uda mi się też zrozumieć, czego ode mnie oczekują. Tylko że młodzi oczekują najczęściej właśnie przerysowanej weselnej klasyki.

Od czasu do czasu pojawiają się prośby o kilka dodatkowych ujęć czarno-białych. I wtedy zazwyczaj protestują rodzice. Czarno-białe? W życiu! To na pogrzeb!

©℗ MAREK RABIJ

Wypowiedzi „Ojca panny młodej" oraz „Druhny" są kompilacją wywiadów przeprowadzonych z czterema osobami, które uczestniczyły w weselach w tych rolach.

RDC POLSKIE RADIO

MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 18 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Wesele silniejsze od ślubu

MAGDALENA ZYCH, DOROTA MAJKOWSKA-SZAJER, ANTROPOLOŻKI KULTURY:

Jest coś poruszającego w tym, że na pewnym etapie przygotowań weselnych ludzie nagle uzmysławiają sobie, jak wiele osób odgrywa w ich życiu rolę, której sobie dotąd nie uświadamiali.

MAREK RABIJ: W ramach projektu „Wesela 21" towarzyszyłyście dwudziestu parom młodym w przygotowaniach do wesela i podczas samej uroczystości. Zacznijmy więc od definicji. Czym jest wesele?

MAGDALENA ZYCH: Rytuałem przejścia.

DOROTA MAJKOWSKA-SZAJER: Jednym z ostatnich, może wręcz ostatnim tak mocnym, jaki nam pozostał.

MZ: A ściślej, to rytuał przejścia, który scala dwie jednostki – a proszę zauważyć, jak wielkie znaczenie przykładamy dziś do podkreślania indywidualności. I to w jedną noc. Oczywiście przygotowania trwają rok, czasem dłużej, ale to złączenie musi dokonać się właśnie w trakcie nocy weselnej. Dwoje ludzi ma się zatracić w tym wydarzeniu po to, żeby o świcie odnaleźć się już jako małżeństwo. Nie wiem, czy pan to kiedyś zauważył, ale podczas wesela młodzi tracą nawet tożsamość. Nikt nie pyta: „Gdzie jest Bartek?". Mówi się: „Gdzie jest Młody?". Albo: „Widziałeś Młodą? Dokąd ona poszła?". Dopiero nazajutrz małżonkowie wracają do swoich imion. To oczywiście pierwszy przykład z brzegu, bo w trakcie badań wychwyciłyśmy wiele elementów wskazujących na to, że ten weselny harmider, te wszystkie rytuały, formułki czy reguły podporządkowane są tylko jednemu – przemianie w męża i żonę.

W czasach kiedy małżeństwa były kontraktem handlowym lub politycznym, a młodzi nie mieli nawet okazji do porozmawiania w cztery oczy, taki rytuał był niezbędny. Dziś wesele zwykle wieńczy pewien etap wspólnego życia pary, scalanie zaczyna się więc na długo przed dniem ślubu.

MZ: Ale nie w wymiarze społecznym. Ciężar odpowiedzialności za trafność wyboru partnera lub partnerki życiowej spoczywa obecnie wyłącznie na narzeczonych. Kiedyś brały go na siebie rodziny lub społeczności, które ich swatały. Podczas wesela rodzina i znajomi młodych w symboliczny sposób zdejmują zatem z pary część tego brzemienia. Przyjmując żonę lub męża do grona swoich, potwierdzają też, że te wybory były trafne.

DMS: W badaniach wzięła udział para, która miała już za sobą kilka lat wspólnego życia. Początkowo młodzi myśleli o ślubie na Bali. Chcieli kameralnej, wręcz intymnej uroczystości, podczas której złożą sobie nawzajem przyrzeczenia. Skończyło się na hucznej imprezie nieopodal domu. „Zastanawialiśmy się, jak do tego doszło" – mówili mi potem.

Spektakl wesela wymaga publiczności?

DMS: Powiedziałabym raczej, że publiczność ma w nim do odegrania jedną z głównych ról. Małżeństwo, które ma przecież wymiar społeczny, musi być zawarte w obecności społeczności, w obrębie której będzie potem funkcjonować.

Jest to również gra tożsamościowa, podczas której z jednej strony akcentujemy indywidualizm – bo niemal każda para marzy przecież o weselu innym niż wszystkie – a z drugiej eksponujemy powiązania rodzinne czy zawodowe, pokazując w ten sposób siebie jako członka określonej społeczności. Widać to najlepiej w trakcie kompletowania listy gości.

Dopiero wtedy zauważamy, jak wielu osób z różnych powodów po prostu nie można nie zaprosić. Jest w tym zresztą coś poruszającego, bo na tym etapie przygotowań weselnych ludzie nagle dostrzegają, ilu znajomych i krewnych odgrywa w ich życiu rolę, której sobie dotąd nawet nie uświadamiali. Jeden z naszych bohaterów początkowo cierpiał, rozwożąc zaproszenia po kolejnych wujach i ciotkach. Do momentu, kiedy – jak twierdził – dotarło do niego, jak dużą ma rodzinę i jak wielką wartością jest dla niego, nawet jeśli z częścią jej członków nie widuje się przez lata. Słyszałyśmy to wiele razy.

Już pod koniec naszego projektu badawczego rozmawiałyśmy z dwoma mężczyznami. Ślubu wziąć nie mogli, ale postanowili świętować fakt zawarcia aktu notarialnego, określającego ich relacje w sensie prawnym. Po części formalnej odbyła się uroczystość z udziałem rodziny i przyjaciół. I w tym przypadku, można powiedzieć, wesele zastąpiło ślub.

MZ: Oni w obliczu gości wystąpili jako para.

DMS: A goście swoją obecnością na weselu potwierdzili, że akceptują ich związek.

Wesele, o którym Panie opowiadają, przypomina niemal starogrecki ideał przygody: wyprawy w nieznane, z której wraca się jako inny człowiek. Tyle że w przeciwieństwie do greckich mitów tu po wszystkim okazuje się, że wracamy właśnie tacy, jakimi chcieliśmy wrócić.

MZ: Od jednego gościa weselnego usłyszałam, że „wesele jest silniejsze od ślubu". I chyba tak może być, nawet dla tych, którzy deklarują, że ślub kościelny jest dla nich ważny z powodów religijnych. W samym weselu nie ma wielu elementów religijnych. Myślę, że w ten sposób daje o sobie znać stara struktura rytuału jeszcze z czasów, gdy to wspólnota, a nie Kościół lub państwo, sankcjonowała zawarcie związku małżeńskiego. Dopiero Sobór Trydencki wprowadził obowiązek zawierania małżeństwa przed obliczem księdza. Z czasów sprzed tego typu regulacjami wywodzi się m.in. rytuał błogosławieństwa pary przez rodziców. Nasi rozmówcy wyczuwali wagę tego momentu, choć nie wiedzieli, dlaczego ich nokautuje. O co może chodzić? Oto rodzice schodzą na dalszy plan, a na scenę życia wkracza młoda para. Chwila okazuje się podniosła, towarzyszy jej muzyka, wzruszenie, goście płaczą, rodzice są na ostatnim wydechu. Często mistrzem ceremonii zostaje fotograf, służąc swoim doświadczeniem. Jako jedyny zachowuje zimną krew.

A nie boicie się, że do badania zgłaszały się jednak pary bardziej świadome tego symbolicznego

↦

wymiaru ceremonii weselnych? Dzielę się tą wątpliwością, bo to, co mówicie, kłóci się z powszechnym wyobrażeniem wesela jako formalności, którą trzeba odbębnić, żeby mieć z głowy rodzinę.

MZ: Pary uczestniczące w badaniach były zaskoczone tym, co się wydarza. Na gorąco opowiadały nam o swoich rozterkach, motywacjach, wrażeniach, emocjach. Towarzysząc nowożeńcom w różnych sytuacjach, także podczas samego wesela, niejako brałyśmy w tym udział. Jedną z par, którym towarzyszyłyśmy, było dwoje etnologów. Wie pan jak to jest: kiedy ślub biorą motocykliści, wszędzie są kaski. Kiedy szermierze – w scenariuszu imprezy pojawiają się elementy związane z tą dyscypliną. Tamta panna młoda, ku przerażeniu rodziców, wpadła więc na pomysł, żeby zorganizować klasyczne radomskie oczepiny opisane przez Kolberga. I nagle okazuje się, że coś, co miało być jedynie parateatralnym wygłupem, dzieje się naprawdę. Panna młoda żegna się z rodzicami piosenką. Goście, w większości etnolodzy, znają konwencję, ale mimo to czują, że ona się z rodzicami żegna naprawdę. I ludzie płaczą.

Wesele, o którym Panie mówią, jest procesem niezwykle energetycznym. I energochłonnym.

MZ: W weselu szalenie ważna jest cielesność. Tańce wokół narzeczonych, których goście zamykają w kolejnych tanecznych wężach i kręgach, by stali się jednością. Jest głośno. Tłoczno. Dużo się je, pije, ludzie się dotykają, pocą. Jest gorąco.

Jak w piecu.

MZ: To zbiorowy wysiłek...

DMS: Proszę też pamiętać, że wesele to punkt kulminacyjny pewnego procesu, który zaczyna się kilka czy nawet kilkanaście miesięcy wcześniej. Wraz z postępem przygotowań rosną też emocje. Pamiętam dziewczynę, która wymarzyła sobie, że przed ślubem pobłogosławi ją w rodzinnym domu ukochana babcia. Tylko że dom znajdował się 300 kilometrów od miejsca wesela. Musiała więc wcześniej tam pojechać i wrócić na czas. Doliczmy nieprzespaną noc, rano do fryzjera... Potem ślub, wesele, ale takie na całego, z porywaniem panny młodej i wykupieniem za wódkę. Nazajutrz jeszcze poprawiny. I ona cały czas lśniła, mimo że w zasadzie powinna dawno zemdleć ze zmęczenia.

ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDALENA ZYCH:

Podczas wesela młodzi tracą nawet tożsamość. Nikt nie pyta: „Gdzie jest Bartek?". Mówi się: „Gdzie jest Młody?".

ARCHIWUM PRYWATNE / FB

DOROTA MAJKOWSKA-SZAJER:

Ciężar przygotowań w większym stopniu spoczywa na barkach kobiety. To od panny młodej zależy, czy wesele będzie udane.

MZ: Wesele to przemoc.

Stąd tak częsta tendencja do oglądania go w krzywym zwierciadle stereotypów?

MZ: Problem polega na tym, że mamy trudności z traktowaniem serio realizmu tego rytuału. Lubimy dziś mieć wszystko pod kontrolą. Poukładane pod nas i przewidywalne. W weselu, oprócz starannie zaplanowanego scenariusza, jest tymczasem mnóstwo spontaniczności. Jest też energia, której się nie da całkowicie wcisnąć w jego ramy i kontrolować. Można więc to obśmiać, lecz wówczas nadal posługujemy się najwyżej strategią ironii, która broni nas przed czymś, co jest od nas silniejsze i nie do końca zrozumiałe. Próbuję odpowiedzieć na zadane przez pana wcześniej pytanie: po co? Wesele jest rytuałem, który pomaga na serio przeżyć zmianę.

A jeśli to rytuał przejścia, to również wydarzenie, które odbywa się jednocześnie w trzech płaszczyznach czasowych. Tu i teraz, ale z odniesieniem do przeszłości i zarazem do przyszłości.

MZ: W weselu zawsze biorą udział przodkowie. Wspomina się zmarłych, tych, którzy już nie mogą siąść przy wspólnym stole. W tym sensie także, że ktoś bliski, na przykład babcia, może już nie żyć, ale liczę się z jej oczekiwaniem, że ślub będzie kościelny i na weselu spotka się cała rodzina. Zastanówmy się, czy tego rodzaju przymus w przyszłości nie wpłynie na decyzję o rozwodzie.

Na razie nie mówmy o rozwodach. Kiedy zaczyna się wesele?

DMS: Zwykle co najmniej rok przed „tym dniem". Choć czasem pary decydują się na ślub i wesele w bardziej ekspresowym tempie. O terminie decydują jednak najczęściej względy czysto praktyczne, jak dostępność sali czy ceny w sezonie i poza sezonem ślubnym.

MZ: No i proszę pamiętać, że on się musi jednak wcześniej oświadczyć! Bez tego weselna machina nie może ruszyć – nawet dziś. Dziewczyny, którym zależy na ślubie, stosują czasem naprawdę wymyślne fortele, by usłyszeć to jedno pytanie.

DMS: Bardzo rzadko, ale jednak dochodzi do sytuacji, kiedy to kobieta inicjuje małżeństwo i oświadcza się mężczyźnie.

Czy dla kogoś w tej parze wesele jest ważniejsze?

DMS: Trudno odpowiedzieć... Panowie przyznawali, że to dla nich mocne przeżycie. Ciężar przygotowań z pewnością w większym stopniu spoczywa jednak nadal na barkach kobiety, bo od panny młodej zależy dziś, czy wesele będzie udane. Jeśli nie, to fatalnie – bo to źle wróży przyszłości małżeństwa.

Kiedy wesele się nie udaje?

MZ: Jeśli goście nie dopiszą. Kiedy jedzenia zabraknie lub okaże się niesmaczne. Albo jeśli zespół się nie sprawdzi i ludzie nie będą się dobrze bawić, zaczną wcześniej wychodzić. W naszych rozmówczyniach wyczuwałyśmy prawdziwą, żywą

obawę o to, czy ich wesele zapisze się dobrze w pamięci gości. „Żeby ludzie dobrze wspominali" – bo dobre słowo to przecież antyteza przekleństwa.

DMS: Ale mężczyźni też odczuwali to napięcie.

MZ: A pamiętasz nasze zdziwienie, gdy okazało się, że trudno pozyskać do przygotowywanej przez nas kolekcji garnitur pana młodego?

Nie wierzę.

MZ: Bo to „ten garnitur". On się może potem przydać na inne okazje, ale nie tylko o to chodzi. Ponowne założenie tego stroju przywołuje wspomnienia, ma znaczenie. Kobieta w sukni ma wyglądać jak księżniczka, ale kiedy spektakl się kończy, kostium nie może być użyty ponownie, staje się najwyżej pamiątką. Choć niepozbawioną znaczenia.

DMS: Skoro już mowa o spektaklu, warto powiedzieć, że współczesne wesele ma też w sobie wiele elementów tradycyjnych, które wracają do obiegu kultury na innych zasadach. Są potrzebne, żeby zaznaczyć wagę tego momentu. Rozpoznawalne formy pozwalają zmierzyć się z nieznanym. Wspólnie to przeżyć. Ale pozostają niezrozumiałe. Przykładem może być powitanie chlebem i solą. Kiedyś ten gest niósł ze sobą określone wartości, związane systemem wierzeń i przekonań, opartych na więzi z ziemią. Dzisiaj chleb jest rekwizytem. Po wszystkim ląduje potem na parapecie w kuchni lub w odpadkach.

MZ: Są też elementy osadzone w tradycji, ale nasączone nowymi znaczeniami. Choćby wieczór panieński. Na tym etapie przygotowań do wesela zazwyczaj odbywało się pożegnanie z własną grupą rówieśniczą przed wejściem w nowy, często obcy świat rodziny męża. Współczesny wieczór panieński jest okazją do świętowania tego, że po latach poszukiwań, nierzadko okupionych błędami, wreszcie trafiło się na tego jedynego. To samo dotyczy panów.

Dla wielu ludzi – wiemy to z badań – zamążpójście lub ślub jest czymś pożądanym. Uczestnicy badań przyznawali, że zależy im na tym, aby byli nazywani czyimś mężem lub czyjąś żoną. To było dla nich ważne.

Bo?

MZ: Bo w ten sposób ląduje się w innym rejestrze społecznym. Ma się inne prawa, jest się inaczej postrzeganym przez społeczeństwo, jako osoba ustatkowana, godna zaufania. Te kody kulturowe mają się lepiej, niż się nam czasem wydaje. Proszę zwrócić uwagę: niby nie ma już czegoś takiego jak staropanieństwo. A jednak jest.

Z tego by wynikało, że w wymiarze makro związek nieusankcjonowany małżeństwem wciąż uważany jest w Polsce – przepraszam za wyrażenie – za nienormalny?

MZ: W oparciu o normy społeczne, które gdzieś tam podświadomie mapujemy – myślę, że może tak rzeczywiście być. Niby można żyć tak jak się chce, ale są momenty, kiedy jednak nie można.

DMS: Ta norma działa i jest opresyjna. Często słyszałyśmy, że zanim pary podjęły decyzję o weselu, wielokrotnie musiały mierzyć się z pytaniem: Kiedy ślub? Będziesz się żenił? Kiedy wasza kolej? Znalazłaś męża? Już ci się oświadczył?

Kiedy wesele się kończy?

DMS: O północy mamy zwykle oczepiny, punkt kulminacyjny obrzędów weselnych. Po nim młodzi czasem idą się przebrać w wygodniejsze rzeczy, żeby móc się bawić dalej. Ale wesele nie kończy się wraz z wyjściem orkiestry. Nazajutrz są przecież poprawiny, zwykle już w węższym gronie najbliższej rodziny i przyjaciół pary. Potem jeszcze przez jakiś czas zamyka się formalności okołoweselne. Słyszałyśmy często od badanych, że dopiero kilka dni po weselu opuszczało ich poczucie oszołomienia. Niektórzy przyznawali, że nie pamiętają wiele z wieczoru weselnego i to nie z powodu alkoholu. To poziom emocji towarzyszący temu rytuałowi powodował u nich odcięcie od części bodźców.

MZ: Symbolicznym końcem wesela jest zazwyczaj odbiór ślubnych zdjęć. Pary coraz częściej sesję ślubną przekładają na spokojniejszy czas po ślubie, kiedy można dopilnować detali, wypracować zdjęcia tak, że będą perfekcyjne. Fotografie muszą być bez skazy. Opowiadają przecież historię z happy endem.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

DOROTA MAJKOWSKA-SZAJER *i* **MAGDALENA ZYCH** *pracują w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, gdzie wraz z zespołem realizowały projekt badawczy „Wesela 21" (2009-14). Projekt zaowocował kolekcją, książką (2015) i wystawą (2016) pod tym samym tytułem.*

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Jan Łopuski

urodzony 3 stycznia 1917 r. w Strzegocicach w ziemi pilzneńskiej.
Zmarł 10 września 2019 r. w Gdyni.

Profesor zw. prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu,
uczestnik wojny obronnej 1939 roku oraz żołnierz II Korpusu we Włoszech
i Anglii, oficer broni Obwodu AK Dębica i Inspektoratu AK Rzeszów,
więziony przez NKWD i zesłany do łagru w Stalinogorsku,
za czyny zbrojne odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari
oraz Krzyżem Walecznych, w wolnej Polsce uhonorowany
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Kustosz Pamięci Narodowej, Honorowy Obywatel Miast Rzeszowa i Dębicy.

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w środę 18 września
o godz. 13.00 w kościele św. Jakuba w Oliwie.
Pogrzeb odbędzie się bezpośrednio po Mszy św. o godz. 14.00
na cmentarzu w Oliwie.

ŻONA, CÓRKI I SYN Z RODZINAMI

PAWEŁ

Śpiewak:
Syndrom Jonasza

Jeszcze raz przypomnę słowa proroka Jonasza: „Wiedziałem bowiem, że Ty jesteś Bogiem łaskawym, miłosiernym, cierpliwym i pełnym łaski, który żałuje nieszczęścia” (Jon 4, 3). Zwykle komentatorzy w tym miejscu przypominają słowa Mojżesza wstępującego na górę. Gdy był już na szczycie, a Pan zstąpił z obłoku, Mojżesz zawołał: „Panie, Panie, Boże miłosierny, nieskory do gniewu, bogaty w łaskę i wierność, zachowujący łaskę dla tysięcy, odpuszczający winę, występek i grzech, nie pozostawiający w żadnym razie bez kary, lecz nawiedzający winę ojców na synach i na wnukach do trzeciego i czwartego pokolenia”. Pochyliwszy kark aż do ziemi złożył pokłon i rzekł: „jeżeli znalazłem łaskę w oczach twoich Panie, racz pójść Panie w pośrodku nas, gdyż jest lud twardego karku, odpuść winy nasze i grzechy nasze, i weź nas w dziedziczne posiadanie” (Wj 34, 9).

Mojżesz oczekuje od Boga czegoś, co zdaje się każdemu z nas tak ważne: litości i wybaczenia nawet ohydnego postępku. Bóg ogłasza: zawrę z wami przymierze i poprowadzę przez pustynię. Postępuje nie wedle zasady sprawiedliwości. Objawia swoją miłość do ludu oddanego mu na wieczne władanie. Tak też Bóg swym dziełem odpowiedział Jonaszowi, współczucie i litość wygrały nad wszystkim i tym samym z obrazu świata, jaki prorok posiadł, znikała spójność i racjonalność postępków Boga w tym świecie. Wszystko byłoby o wiele bardziej do pojęcia, gdyby słowa Boga były ostatnimi, były ostateczne i jednoznaczne jak dogmaty. Ale poza sprawiedliwością i gniewem jest jeszcze tajemnica współczucia.

Papież Franciszek zaapelował niedawno, komentując właśnie Księgę Jonasza, aby nie stawiać swoich przekonań przed łaską i litością Boga. Powiedział o proroku: „To cud, ponieważ w tym przypadku odrzucił swój upór, sztywność, aby podporządkować się woli Boga, i uczynił w końcu to, co Bóg mu nakazał. W pierwszym rozdziale opierał się powołaniu, w drugim był posłuszny, a w trzecim sprzeciwił się Bożemu miłosierdziu”. I papież zamknął kazanie niezwykłymi słowy: „Tam, gdzie jest Pan, tam jest litość”. Ukuł nawet formułę opisującą zachowanie Jonasza wobec Niniwy: litość bez miłości. Nazwał je syndromem Jonaszowym.

Miał rację. Jonasz wykonał zadanie bez szemrania, ale bez ciekawości, miłości i współczucia dla mieszkańców Niniwy. Oni go nic nie obchodzili i nic osobistego nie miał im do powiedzenia. Można tylko dodać jedno: nie jest dana nam tak szeroka perspektywa i znajomość wszystkich subtelności, by wiedzieć, kiedy mamy postępować wedle zasad sprawiedliwości, a kiedy współczucia. Jonasz zamilkł. Nie lubił tych subtelności. Nie chciał słuchać Boga. Bóg też zamilkł. Wiedział, że prorok nic z tego wszystkiego nie zrozumie. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Pamiętliwy Bóg

„Słuchajcie tego wy, którzy depczecie ubogiego i niszczycie biednych ziemi – czytamy w Księdze Amosa – którzy mówicie: »Kiedy minie nów księżyca, byśmy mogli sprzedawać zboże? Kiedy minie szabat, byśmy mogli sprzedawać pszenicę zmniejszając efę i powiększać sykla fałszując wagę? Będziemy kupować biednego za srebro, a ubogiego za parę sandałów i sprzedawać plewy pszeniczne«. Przysiągł Pan na chwałę Jakuba: »Nigdy nie zapomnę żadnego z ich uczynków«”. Brzmi groźnie, ale Bóg zawsze stoi pośród ofiar. Biblia nazywa ich sprawiedliwymi i błogosławionymi, czyli – szczęśliwymi. To oni nie godzą się na zamykanie Boga w świątyni i ograniczanie Jego działania do praktyk religijnych.

Według Amosa Bóg nie wyzbył się odpowiedzialności za świat i nie pozostawił go na łaskę i niełaskę ludzi. Przeciwnie, uzależniając pośmiertny los człowieka od jego doczesnych poczynań, zmusza do działania. W Apokalipsie czytamy: „Błogosławieni, którzy w Panu umierają – już teraz. Zaiste, mówi Duch, niech odpoczną od swoich mozołów, bo idą wraz z nimi ich czyny”. Do królestwa Bożego się nie odchodzi, ale się w nie wrasta.

„Nigdy nie zapomnę żadnego z ich uczynków” – mówi Bóg. Czy to znaczy, że każdego złoczyńcę spotka kara, a jego ofiary otrzymają słuszne zadośćuczynienie? Takiego wyrównania krzywd słusznie domaga się każde sprawiedliwe ludzkie serce i rozum. Ale jako chrześcijanie pamiętamy, że karę będzie wymierzał Bóg – Ojciec, któremu zależy na ocaleniu grzesznika, a nie na mszczeniu się na nim. Co prawda utrzymywano ongiś, że im więcej potępieńców jęczy w piekle, tym bardziej jaśnieje Boża chwała, ale taka wiara jedynie odsłania diabelskie pokłady ludzkiej psychiki i nie ma nic wspólnego z Bogiem, który jest miłością. Zaświadcza o tym wiara w istnienie czyśćca, który w świetle Bożego miłosierdzia i wiary w świętych obcowanie jawi się nie jako miejsce udręczenia, ale, powiedzmy, czas resocjalizacji. Na odrabianiu tego, czego człowiek przed śmiercią nie zrobił, i naprawieniu tego, co popsuł. W tym remontowaniu świata możemy, a nawet musimy pomóc. Okazji nie brakuje.

Tegoroczny Dzień Środków Społecznego Przekazu stoi pod hasłem „Od wirtualnych wspólnot społecznościowych do wspólnot ludzkich”. Parafrazując to papieskie hasło, można powiedzieć, że przydałoby się nam również przejście od wirtualnego Kościoła społecznościowego do wspólnotowego, to znaczy współczującego i czuwającego. „By – jak mówi bp Damian Muskus – nie przeoczyć godziny, kiedy pogarda przekuwa się w nienawistne słowa, kiedy przemoc słowna przybiera kształt rzucanych kamieni i wyciągniętych pięści” właśnie w kościele i pod kościołem. ©

Dobre nie jest dobre,
złe nie jest złe,
życie nie jest życiem,
a śmierć nie jest
śmiercią.
Każde rozpuści się
w swej pierwotnej
naturze. Lecz co jest
ponad światem,
nie może się rozpuścić,
bo jest wieczne.

EWANGELIA FILIPA

Czego się myślą nie da
pomyśleć, przez co
myślana jest każda
myśl – to właśnie
jest Ostateczna
Rzeczywistość, a nie to,
co wszyscy tu czczą.

KENA UPANISZADA

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Co to znaczy „doskonałość”

„Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny” – kluczowe zdanie Jezusowego „Kazania na równinie” w zapisie św. Łukasza. Kluczowe i programowe; odpowiada Mateuszowemu: „Bądźcie doskonali, jak Ojciec wasz jest doskonały”. Doskonałość w ustach Jezusa to nie abstrakcyjny perfekcjonizm, odnoszący się do równie abstrakcyjnego ideału; doskonałość to miłosierdzie.

By pójść naprawdę za tym słowem, trzeba uchwycić nie tyle to, co Bóg czyni, ale to, kim jest. Jest Ojcem. I właśnie to, kim jest, determinuje Jego miłosierne działanie. Jeśli weźmiemy równoległe do Łukaszowego tekstu „Kazanie na górze” w zapisie Mateusza, zobaczymy, że słowo Ojciec w odniesieniu do Boga powraca tam wielokrotnie. Tymczasem u Łukasza pojawia się tylko raz, w tym konkretnym miejscu: „Bądźcie miłosierni jak Ojciec”. Nie: jak „Bóg” (w ogólności), lecz jak Bóg, który jest Ojcem.

Jest Ojcem wobec całego stworzenia, w szczególności względem człowieka, i czuje się z nim głęboko związany, pozostający w możliwie najbliższej relacji. Kocha. Zależy mu. Czuje się odpowiedzialny. I nie może być obojętny wobec cierpienia któregokolwiek z ludzi – nawet jeśli jest ono przez samego człowieka spowodowane – sobie czy innym. Wkracza ze swoją miłością i łaską, mocą i mądrością. Musi się objawić w swoim miłosierdziu. Ojcostwo „wymusza” na Nim miłosierną aktywność.

I to jest właśnie miejsce w logice miłosierdzia dla nas najtrudniejsze: zaangażowanie, osobista i głęboka relacja. Zrozumiałem to niedawno w Taizé. Rozmawiałem z uchodźcą z Sudanu. Od kilku lat mieszka z braćmi, skończył studia, znalazł pracę. Zapytałem: co było najtrudniejszym dla niego doświadczeniem w Europie? Odpowiedział, że to była i jest samotność – wręcz izolacja, w jakiej z wyboru żyją Europejczycy: każdy sobie, każdy wyłącznie dla siebie, w swoim świecie, szczelnie ogrodzonym. Raczej jeden obok drugiego niż jeden z drugim.

Tak żyjemy i w taki sposób gotowi jesteśmy świadczyć miłosierdzie potrzebującym: jak obcym ludziom, którzy pozostaną dla nas obcymi. Byle nie nawiązała się jakakolwiek głębsza, ludzka relacja. Byle nie popatrzeć w oczy; byle tylko nie uścisnąć ręki; byle nie musieć słuchać.

Właściwie z czego wynika to „miłosierdzie na dystans”? Na pewno nie z równie wewnętrznego, co serdecznego imperatywu – potrzebujących nie traktujemy jak krewnych: siostrę, brata, matkę czy ojca. Nie czujemy się z nimi w istotny sposób związani – tak, by nas to przynaglało do działania.

Co więcej, zdarza się, że sam fakt, iż ktoś z naszych bliskich znalazł się w poważnej potrzebie („wylądował na ulicy”), uważamy za wystarczający, by zawiesić na kołku więzy pokrewieństwa: bo wstyd; bo poczucie zawodu; bo niespełnione oczekiwania...

Jezus mówi: najpierw osobowe odniesienie, potem zewnętrzna pomoc (np. finansowa). W każdym razie właśnie to znaczy: być miłosiernym jak Ojciec. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 IX)

25. niedziela zwykła: Am 8, 4-7; Ps 113; 1 Tm 2, 1-8; Łk 16, 1-13;
Poniedziałek: Ezd 1, 1-6; Ps 126; Łk 8, 16-18;
Wtorek: Ezd 6, 7-8. 12b. 14-20; Ps 122; Łk 8, 19-21;
Środa: Ezd 9, 5-9; Tb 13; Łk 9, 1-6;
Czwartek: Ag 1, 1-8; Ps 149; Łk 9, 7-9;
Piątek: Ag 1, 15b – 2, 9; Ps 43; Łk 9, 18-22;
Sobota: Za 2, 5-9. 14-15a; Jr 31; Łk 9, 43b-45;
26. niedziela zwykła: Am 6, 1a. 4-7; Ps 146; 1 Tm 6, 11-16; Łk 16, 19-31.

CZAS NA PUMĘ

Ocena moralna w końcu została wyrażona językiem cielesnego obrzydzenia. Doprawdy, trudno o wydarzenie bardziej polityczne niż awaria kanalizacji.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ILUSTRACJE NA STRONACH 22-25 POCHODZĄ Z TWITTERA, FACEBOOKA I KANAŁÓW TELEWIZJI PUBLICZNEJ

Na ekranach i Twitterze 28-29 sierpnia: od szlamu poprzez ściek medialny do rządu, który podejmuje się chronić obywateli przed kryzysem, czytaj: Trzaskowskim.

Kampania wyborcza to żarłoczny potwór, który pochłania i przetrawia wszystko, co napotka na swej drodze. Awaria (lub katastrofa, bo dobór słów jest tu kluczowy!) przebiegających pod Wisłą kolektorów transportujących nieczystości do Oczyszczalni Ścieków Czajka nie jest wyjątkiem. Ale jak połączyć wybór między partiami politycznymi ze spuszczanymi do rzeki ściekami? Jak powiązać przyszłość Polski z fekaliami?

Kampania to także moment, w którym otwiera się okno do wnętrza naszej duszy. Demokratyczny karnawał nie tylko stwarza szansę wyłonienia polityków, którzy przez najbliższe cztery lata będą decydować o biegu spraw w ojczyźnie. Pozwala nam też zobaczyć, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy. Czym są – lub czym stały się dziś – media, przestrzeń publiczna, relacje międzyludzkie, a nawet geografia...

Opowieść o tym, jak strony politycznego konfliktu wplatały w swoją kampanię awaryjny spust nieczystości do Wisły, to zatem nie historia o ekstremalnych peryferiach polityki, lecz szansa zajrzenia w samo jej sedno.

Mała apokalipsa

To, co się wydarza, wydarza się naprawdę dopiero wtedy, gdy nadamy temu sens. Katastrofa, która dotyka wspólnoty w sposób gwałtowny i niespodziewany, jest skandalem domagającym się wyjaśnienia. „Dlaczego?" to w polityce i mitologii nie tyle pytanie o przyczyny (błąd ludzki, zaniedbanie, wada konstrukcyjna, kilogramy, metry na sekundę), ile właśnie o sens. Zagniewani bogowie, zdrajcy narodowego interesu, rządy ciemnogrodu, korupcja na niespotykaną dotychczas skalę...

Smród kloaki doskonale symbolizuje to, co małe, śmieszne, podłe, żałosne. To codzienność ludzkiego doświadczenia w jego najbardziej prozaicznym, biologicznym wymiarze, który często chcielibyśmy wyprzeć ze świadomości, zepchnąć do podziemia wyobraźni.

Doskonale ujął to Włodzimierz Pessel w książce „Antropologia nieczystości. Studia z kultury sanitarnej Warszawy XIX i XX wieku". Objaśniając kluczowe dla swoich badań pojęcie „miejskiej kultury sanitarnej", pisał tak: „Obejmując również wiedzę o tym, co powinno być przedmiotem »racjonalnego tabu«, jakie nieczystości usuwać i jak to robić, kultura sanitarna tworzy istotny element konfiguracji życia społecznego jako całości. Dlatego oczyszczanie jest probierzem zarówno uspołecznienia, jak i ucywilizowania technicznego – nadbudowy kulturowej nad praktykami naturalnymi (...)".

Oto błyskotliwe ujęcie związku między odchodami a polityką. Polityka – jako sztuka zarządzania sprawami wspólnoty – jest uprawiana w tym celu, byśmy ich nie musieli oglądać. Polityka jest po to, żeby mimo nieskończonego skomplikowania współczesnego świata

wszystko szło gładko. Żeby jedzenie pojawiało się w naszej lodówce, wrogowie byli daleko, przyjaciele blisko, a fekalia znikały... tam, gdzie fekalia znikać powinny – w miejscach, o których istnieniu nie chcemy nawet wiedzieć.

To właśnie w ten sposób, jak pisze Pessel, kultura sanitarna „stoi na straży porządku rzeczy". Dzięki sprawnemu współdziałaniu tysięcy doskonale zsynchronizowanych trybików – ludzi, maszyn, instytucji – to, co nieczyste, znika z naszego pola widzenia, mówienia i myślenia, przepada poza granicami zbiorowej wyobraźni. W ten sposób polityka jako sztuka zarządzania pozwala nam przestrzegać kulturowego tabu, żyć w sposób właściwy dla naszego plemienia, co zwykle rozumiemy jako „żyć w sposób właściwy dla człowieka w ogóle". Kanalizacja jest symbolem zwycięstwa kultury nad naturą i polityki nad chaosem.

Ale jest jeszcze ta druga polityka – sztuka nadawania sensu temu, co się wydarza. Przestrzeń dla niej pojawia się dopiero wówczas, gdy rzeczywistość nie działa tak, jak należy. Kiedy zawodzą inżynierowie, do dzieła przystępują prorocy. Awaria szamba to awaria w najczystszej postaci. Pessel wielokrotnie powraca w książce do tego wątku. Kanały to symbol wypartego: nieczystości, przemocy, społecznych nizin, piekła, do którego zstąpić trzeba w godzinie próby („Nędznicy" Victora Hugo, „Kanał" Andrzeja Wajdy)... Płacimy politykom za to, byśmy nie musieli wiedzieć o istnieniu podziemnego świata. W tym sensie każda awaria ścieków jest małą apokalipsą, przypomnieniem o chaosie czającym się tuż-tuż, zaraz pod powierzchnią codzienności.

Inżynierowie i prorocy. Oliwienie trybów rzeczywistości i opowiadanie historii. Te dwa aspekty polityki nie są sprzeczne. To dwie strony medalu. Zadaniem polityki jest ukrywanie złożoności świata, umożliwianie jego bezproblemowego działania zarówno na poziomie istnienia, jak i rozumienia.

Brodząc w kanałach informacyjnych

Nieoczekiwane zjawisko można zawsze powiązać z tym, co już dobrze znamy. W interesującym nas tutaj przypadku – z walką dobra i zła, czyli rządu i opozycji (lub, rzecz jasna, odwrotnie, w zależności od preferowanej przez nas opcji politycznej).

Strona rządowa i sympatyzujące z nią media natychmiast zbudowały swój przekaz wokół myśli, że katastrofa (!), skoro wydarzyła się w Warszawie, jest „winą Rafała Trzaskowskiego" i zapewne jest poważna. Rząd jawi się w tej opowieści jako zewnętrzny zbawca – nieponoszący odpowiedzialności za tragedię, lecz gotów do bezinteresownej pomocy. Temu modelowi strona opozycyjna przeciwstawia opowieść o niewielkiej, mało istotnej awarii czy nawet usterce, za którą nikt nie ponosi politycznej winy, a którą rząd stara się rozdmuchać do rozmiarów katastrofy.

W miarę wczytywania się w kolejne wiadomości, kiedy z głównych kanałów informacyjnych zstąpimy w sekcje komentarzy oraz do mediów społecznościowych, podstawowy podział na interpretację rządową i opozycyjną rozpada się na dodatkowe warianty. Każdy z nich w jeszcze pełniejszy sposób realizuje zasadę, w myśl której nic nie dzieje się przypadkiem.

„Gdzie są ekolodzy?" – pytają prawicowi dziennikarze. Dlaczego wszędzie ich pełno, kiedy mowa o wycince puszczy albo odstrzale dzików, a teraz nagle zamilkli? W ten sposób awaria w Czajce zostaje sprytnie wykorzystana do nakreślenia obrazu świata, w ramach którego cała ekologia okazuje się jedynie uknutym za niemieckie pieniądze spiskiem mającym wspierać opozycję i rzucać rządowi kłody pod nogi.

„A może to sprawka LGBT?" – pyta dalej strona prorządowa. W tych komentarzach i wypowiedziach niezwykle często pojawia się powiązanie wycieku nieczystości z przyjętą przez warszawski ratusz polityką wobec LGBT. Homoseksualizm poprzez seks analny oraz skojarzenie z tym, co „nieczyste", „niemoralne", zostaje uczyniony odpowiedzialnym za katastrofę. Głównym bohaterem tego nurtu interpretacji staje się homoseksualny wiceprezydent Warszawy Paweł Rabiej.

Ważnym wątkiem było zatajanie skali katastrofy lub jej bagatelizowanie przez Trzaskowskiego, a także rzekome poinformowanie o niej z opóźnieniem. Prowadzi to do kolejnego skojarzenia. „To przypomina mi sytuację katastrofy w Czarnobylu – wyjaśniał na antenie TVP Info Marek Suski. ↦

Od obietnicy do realizacji: rząd nie zwleka, rozwiązuje kryzys, pojawia się zajawka: „Katastrofa ekologiczna". Zupełnie jak w Czarnobylu.

Materiałem do spreparowania poniższego fejka nie był w tym przypadku zwykły kadr z Fox News, ale kadr sam w sobie będący fejkiem (Fox faktycznie wyemitował ten materiał, ale potem przepraszał za dezinformację). Jest to obraz rzekomo przedstawiający futbolistów protestujących w trakcie hymnu (w rzeczywistości modlą się jeszcze przed meczem), który był wcześniej szeroko kolportowany w amerykańskich prawicowych mediach społecznościowych, także znanych z propagandy i dezinformacji.

– Ukrywano to, dokąd można było. Później się nie dało ukryć, bo Wisła zaczęła płynąć pianą". Teraz z kolei strona opozycyjna odbiła piłeczkę, wyolbrzymiając argumenty prorządowych mediów i ośmieszając je. Zbudowane zostaje skojarzenie z serialem HBO, który staje się źródłem memów wyszydzających rządową linię argumentacji. (Część z memów jest neutralna, tworzona dla samej przyjemności. Memy są jak ludzie – nie każdy musi być od razu polityczny).

Strona rządowa tymczasem zmienia narrację. Najważniejszą ramą interpretacyjną staje się gotowość do pomocy. Rząd chce działać, proponuje rozwiązania. Ale Trzaskowski – przedstawiany jako zadufany w sobie, a zarazem niekompetentny – ma początkowo odrzucać te wspaniałomyślne oferty. Wreszcie prezydent Warszawy „łaskawie przyjmuje" rządowe wsparcie. Bardzo ciekawa w tym kontekście jest gra metryką. Młody wiek Trzaskowskiego, chętnie ilustrowany zdjęciami, staje się dowodem na jego niekompetencję i brak doświadczenia.

Czajka i Dorian

I wtedy wydarza się coś jeszcze. To najciekawszy moment politycznego ramowania. Prawdziwy sprawdzian dla wirtuozerii interpretatorów rzeczywistości. Bo to wcale nie taka wielka sztuka połączyć szambo i nielubianego polityka. Ale – pyta natychmiast Rzeczywistość – czy potraficie to zrobić, kiedy do układanki dorzucę wam jeszcze jeden element? Potrafimy! – odpowiadają specjaliści od snucia opowieści.

No to proszę: nadchodzi huragan Dorian. Donald Trump odwołuje wizytę w naszym kraju. Kampania niesyta szamba natychmiast pożera Trumpa i huragan. Przeciwnicy rządu sugerują, że tak naprawdę wcale nie chciał do Polski przyjechać i wykorzystał pierwszy lepszy pretekst. Internet zalewają fałszywe i autentyczne zdjęcia prezydenta USA na polu golfowym.

Ale to dopiero początek. Potem następuje seria crossoverów – połączeń, w ramach których w bieżącą politykę wpisuje się jednocześnie awarię Czajki i odwołaną wizytę Trumpa. Jak Batman występujący w jednym filmie z Supermanem albo odcinek „Czterech pancernych" z gościnnym udziałem Hansa Klossa. „Zagrali gównem, dostali huraganem" – pisze na Twitterze niezastąpiony Tomasz Lis, by po chwili dodać jeszcze „Trump uwierzył Suskiemu". W internecie zaczyna krążyć fałszywka przedstawiająca rzekomo kadr z Fox News informujący o „polskim Czarnobylu", przez który Trump musiał odwołać swoją wizytę.

To, co budzi w nas odrazę jako nieczyste, nieludzkie, obrzydliwe i pozbawione formy, służy, by ukazać osoby wykluczone społecznie, nieakceptowane, stykające się na co dzień ze światem symbolicznego brudu.

Jeszcze mało? To dodajmy do miksu energetycznego zatrzymany przez ekologów statek z węglem z Mozambiku. Przede wszystkim – okręt z jednego z afrykańskich państw to przesyłka spoza naszego kosmosu; przybysz z miejsca, którego nie obejmują nasze mapy, o którym nic nie wiedzą nasze programy informacyjne. Trzeba go natychmiast oswoić, by nie ujawniał wszystkich tych białych plam, o których istnieniu nie chcielibyśmy wiedzieć. Tu także ujawnia się znaczenie polityki jako narzędzia upraszczania świata i czynienia go zrozumiałym.

Nie przestaje mnie zadziwiać, jak wielu naszych rodaków wciąż śmieszy cokolwiek, co znajduje się poza Europą i USA. Byłem ostatnio na Bardzo-Ważnej-Konferencji, gdzie pewien Bardzo-Mądry-Pan chyba z pięć minut nie mógł powstrzymać śmiechu, bo ktoś na sali powiedział o rozwiązaniu, które można by podpatrzeć w Dżakarcie. „He, he... w Dżakarcie" – powtarzał, jak gdyby to była nazwa wsi słynącej z rękodzieła, a nie dziesięciomilionowego miasta.

Węgiel z Mozambiku zostaje szybko wpisany w to, co znane i bliskie. Jako skandal, rywal dla Śląska albo – przeciwnie – dowód sprawnej polityki ekonomicznej. Ale jak połączyć go z Oczyszczalnią Ścieków Czajka? Kluczem okazali się ekolodzy. „Nie protestowaliście, gdy pod kontrolą władz Warszawy spuszczali ścieki do Wisły, a węgiel wam się z Mozambiku nie podoba! – krzyczy internauta o wdzięcznym nicku Kapitan Nemo. – Kto wam za te wasze akcje terrorystyczne płaci? Soros czy Putin? Wasz jacht powinien być zaaresztowany!".

Ufff... Nawet daleki Mozambik okazuje się zaledwie kolejnym polem na planszy, na której toczy się odwieczny bój o losy Polski między koalicją a opozycją. Można odetchnąć z ulgą. Świat znów jest prosty i zrozumiały.

Język obrzydzenia

Ważnym narzędziem interpretowania katastrofy są materiały wizualne – zdjęcia satelitarne, nieustannie pokazywany punkt awaryjnego zrzutu nieczystości, ale też nadsyłane przez czytelników fotografie brudnej kranówki.

W polityce wciąż sprawdza się ów popularny rachunek, w myśl którego jeden obraz równy jest tysiącu słów. Słowom łatwo zaprzeczyć, podważyć wiarygodność i intencje mówiącego. Zdjęcie wciąż jeszcze wydaje się nieść ze sobą wiarygodność bezstronnego, mechanicznego świadka, jaką zapewnił mu ponad stulecie temu mechanizm utrwalania światła na kliszy. Dziś, w dobie fotografii cyfrowej, Photoshopa i nadchodzących wielkimi krokami deepfake'ów musimy się nauczyć nie ufać obrazom dokładnie tak samo, jak nie ufamy słowom. Ale na to potrzeba czasu. Teraz to na Facebooku, Twitterze i w telewizjach informacyjnych toczy się prawdziwa wojna o obrazy.

Media społecznościowe zalały więc zdjęcia brudnej wody podawane dalej z oburzeniem przez dziennikarzy i użytkowników sympatyzujących z rządem. Zwolennicy opozycji wcielili się z kolei w rolę detektywów tropiących oszustwa i podważających wiarygodność obrazów. Nie było to szczególnie trudne, bo rozwój technologii nie tylko dostarcza nam narzędzi do manipulowania obrazami, lecz także środków, by te manipulacje odkrywać.

Ot, na przykład fotografia rur ściekowych tryskających brązową cieczą wprost do rzeki. Wygląda obrzydliwie. Straszyła nią na swojej stronie Telewizja Republika, zdjęcie podchwyciło wielu użytkowników. Tymczasem jest to kilkuletnia fotografia pochodząca z jednej z popularnych baz fotograficznych. Sądząc po tropikalnej roślinności, została wykonana gdzieś na odległym kontynencie, a wcześniej zdążyła już trafić na okładkę monografii naukowej o gospodarowaniu odpadami, wydanej przez jedno z dużych

międzynarodowych wydawnictw. Tym samym zdjęciem Telewizja Republika straszyła mieszkańców Gdańska, gdy jakiś czas temu odbywał się awaryjny zrzut ścieków do Motławy.

Większą fantazją wykazał się pewien niedoszły radny PiS z Płocka. Na swoim koncie na Twitterze odwołał się do wspomnianego już toposu śpiących ekologów: „Czy ekolodzy są na wakacjach, bo Polska w potrzebie, a ekologów jak nie ma, tak nie ma. Wisła jest w Płocku nie do poznania, ryby już pływają do góry brzuszkami". Wpis zilustrował sugestywną fotografią śniętych ryb. Problem polega na tym, że zdjęcie zostało wykonane niemal trzy lata wcześniej, i to nie w Płocku, lecz w Połańcu, gdzie sporo ryb zdechło w związku z drobną awarią tamtejszej elektrowni.

Specyficznej pikanterii dodaje sprawie fakt, że fotografia została podkradziona z... „Gazety Wyborczej". Sensację podchwycił m.in. portal wPolityce.pl. Przyłapany na kłamstwie manipulator nie poddał się, lecz jako dowód wrzucił kolejne zdjęcie z wklejoną nieudolnie datą. Tym razem była to stara fotografia śniętych ryb z okolic Nowej Soli.

Ale to nie fałszywki są najważniejszym narzędziem wizualnego nadawania sensu awarii. Stąd już tylko krok do obrazów otwarcie kształtujących percepcję. Najpierw internet zalały fotomontaże – tym razem nie silące się na udawanie prawdy – przedstawiające brudnobrązową butelkowaną „Trzaskowiankę". A potem politycy nielubianego obozu zostali utożsamieni ze ściekiem w sposób najbardziej dosłowny – Trzaskowskiego i Rabieja przedstawiano jako szambonurków, wklejano ich zdjęcia do wanien pełnych błotnistego szlamu (mam nadzieję, że to jednak było błoto...).

Trudno o bardziej jednoznaczne wykorzystanie techniki opisanej przez Julię Kristevę w książce „Potęga obrzydzenia. Esej o wstręcie". To, co budzi w nas odrazę jako nieczyste, nieludzkie, obrzydliwe i pozbawione formy, służy, by ukazać osoby wykluczone społecznie, nieakceptowane, stykające się na co dzień ze światem symbolicznego brudu – znienawidzone plemię, przedstawicieli „nieczystych" kast czy homoseksualistów. W ten sposób ocena moralna zostaje wyrażona językiem cielesnego obrzydzenia. Z tego punktu widzenia trudno o wydarzenie bardziej polityczne niż awaria kanalizacji.

Święto człowieczeństwa

Na przykładzie niedawnych wydarzeń mogliśmy więc zaobserwować, jak media stały się obrazem tego, o czym opowiadają. Awaryjnie spuszczane ścieki trafiły nie tylko do Wisły, lecz także na Twittera i telewizyjne kanały informacyjne. Polityka interpretująca szambo sama się do niego upodobniła.

Ale niech nas nie zwiedzie łatwość tego porównania. To nie metafora upadku! W dokładnie ten sam sposób polityka upodobniłaby się do katastrofy elektrowni, huraganu, afery korupcyjnej albo zbiegłej pumy grasującej w lasach. Gdyby jutro z zoo uciekła puma, minister Mariusz Kamiński ogłosiłby, że to wina niekompetentnego samorządu, i wysłał na ratunek eskadrę śmigłowców, pytając retorycznie, gdzie są ci wszyscy ekolodzy i przeciwnicy myślistwa. Tymczasem prezydent pechowego miasta umniejszałby skalę niebezpieczeństwa i rozmiary drapieżnika, organizując zarazem kolejne konferencje prasowe w korkowym hełmie łowcy pum. A na koniec i tak internet zalałyby zdjęcia jaguarów i leopardów podkradzione z „National Geographic" i średnio śmieszne memy z Jarosławem Kaczyńskim głaszczącym oswojoną pumę. Wpierw jako tragedia, potem jako farsa...

Bo kampania wyborcza jest tylko naczyniem, które na bieżąco wypełnia się obietnicami, groźbami, charyzmą kandydatów albo przypadkowymi wydarzeniami, które nieoczekiwanie zmieniają jej bieg i wyznaczają główne tematy dyskusji.

Polityka jest sztuką zarządzania wspólnotą, przezwyciężania tego, co przygodne, jednostkowe, przemijające. Spełnia się w mitologii – tam, gdzie nadajemy sens przypadkowi, podnosimy go do rangi znaku. Dlatego też polityka ma moc przemieniania ułomnych ludzi w herosów, zdarzeń w historyczne wydarzenia, awarii – w tragedie i katastrofy. Nie dajmy się zwieść tym, którzy twierdzą, że obecna polityka to upadek człowieczeństwa. Jest odwrotnie! Kampania wyborcza to czas, gdy wzmaga się to, co w nas najbardziej ludzkie: pragnienie sensu, potrzeba opowieści, wiara w zwycięstwo porządku nad chaosem. © MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Wróg niezawodny: Trzaskowski rządzi internetem prawie tydzień. Media publiczne pytają: gdzie są ekolodzy, dlaczego nie alarmują?

Świat wprawdzie milczy o „katastrofie Trzaskowskiego", ale telewizja publiczna twierdzi, że jest inaczej.

Co się stanie po wyborach

JAROSŁAW FLIS

Wszystko wskazuje na to, że wygra je PiS. Nie wiadomo tylko, czy uda mu się stworzyć skuteczną większość w Sejmie.

Po konwencjach partyjnych kampania wyborcza weszła w fazę dojrzałą. Cztery ugrupowania od miesiąca mają stabilną pozycję nad progiem wyborczym. Zapewniły sobie bezpieczeństwo, przygarniając pozostałości aż sześciu inicjatyw, próbujących w ostatnich latach wywrócić ten „stolik do brydża". Uporały się także z wewnętrznymi napięciami, czego ostatnim akcentem było schowanie się przez Grzegorza Schetynę za plecami Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, w partii przyjęte z ulgą. W chwili rozlosowania przez PKW numerów na koszulkach, wszyscy stali już w blokach startowych.

Cztery ręce

Dobrze przeprowadzona kampania to utwór na cztery ręce: dwie muszą rozgrywać sytuację przed wyborami, a dwie – wydarzenia po wyborach. Zadania przedwyborcze to równoległa mobilizacja twardego elektoratu i przekonywanie niezdecydowanych.

Wybory wygrywa się, czerpiąc z obu zasobów naraz. Ale dobrze znany paradoks przekazów politycznych sprawia, że to, co mobilizuje wyborców najgorliwszych, zraża zarazem tych umiarkowanych. Najlepiej więc tak podpuścić drugą stronę, żeby tych gorliwych zmobilizowała za nas. Oczywiście zarządzać tym, co robi przeciwnik, nie jest łatwo. Mimo to zobaczymy, jak główne partie będą nawzajem wbijać sobie szpile, w nadziei że komuś puszczą nerwy i – tak jak kiedyś Lech Wałęsa podczas debaty z Aleksandrem Kwaśniewskim – poda komuś nogę, czyli wykona gest kosztujący go przegraną w wyborach.

W tle tej gry na nastrojach, skupionej na bieżącej mobilizacji elektoratu, pracuje druga para rąk, mając na względzie niedaleką przyszłość. Po pierwsze, toczy się walka o hierarchię w partiach: kto zachowa pozycję, zależy oczywiście od wyniku wyborczego, ale widzieliśmy w ostatnim 30-leciu sytuacje, kiedy lider przegranej partii uchował się na stanowisku albo że ktoś odnosił sukcesy, ale odsuwano go na bok. Dlatego też ważne jest przekonanie setek kandydatów, w szczególności dotychczasowych posłów, że walka toczy się o wspólne zwycięstwo. Są przecież – tak samo jak liderzy – narażeni na pokusę koncentracji na obronie własnej pozycji: zwalczanie wewnętrznych konkurentów może być ważniejsze od pozyskiwania wyborców.

Trzy scenariusze

Są też ręce tworzące harmonię powyborczych układów koalicyjnych. Trudno bowiem w tym momencie orzec, czy PiS będzie w stanie samodzielnie rządzić. Jeśli ośrodki badawcze, interpretując wyniki sondaży, przydzielają automatycznie wyborców niezdecydowanych partiom według tego, jakie zbierają poparcie, to ugrupowanie Kaczyńskiego faktycznie zdobywa większość. Jeśli jednak w takiej ekstrapolacji rozdzielimy np. trzy czwarte niezdecydowanych pomiędzy partie opozycyjne, to PiS traci większość.

Drugi możliwy scenariusz powyborczy to wariant sprawdzony przed czterema laty w Portugalii, zaś potwierdzony przed dwoma laty w Nowej Zelandii: trzy partie opozycji tworzą rząd, odsuwając największą partię od władzy. Taki wariant prowadzi jednak do pewnych napięć przed wyborami: otóż pozycja każdej z trzech partii potencjalnej koalicji zależeć będzie także od tego, na ile uda się jej podkraść wyborców przyszłym sojusznikom. Gra na lepszy wynik 13 października dziś wymaga wyostrzenia podziałów między Lewicą a PO, a to z kolei zmniejsza prawdopodobieństwo koalicji z ludowcami. Poza tym takie licytacje tworzą napięcia wśród koalicjantów i utrudniają stworzenie przekazu dla tych wyborców, którzy się wahają między PiS-em a nie-PiS-em.

Dlatego jest jeszcze możliwy trzeci scenariusz: PiS nie zdobywa samodzielnej większości, ale wskutek zbyt wielkich napięć w opozycji tworzy rząd z PSL, choć warunki ludowców mogą być dla Kaczyńskiego bardzo kosztowne – np. Władysław Kosiniak-Kamysz na premiera, a Zbigniew Ziobro w kajdankach. To byłby kompletnie inny rząd niż obecny i rodzi się pytanie o jego trwałość. W tym wariancie liczyć się też trzeba ze zmianą przywództwa w PO i przetasowaniami na lewicy – teoretycznie może dojść do odwrócenia sojuszy. Mogłyby skończyć się czasy stabilnych rządów, bez zmian układów w trakcie kadencji.

Dla koalicyjnych opcji – jeśli pojawią się na stole – znaczenie będzie mieć to, czy PiS straci większość w Senacie. Przeliczenie wyników ostatnich wyborów samorządowych na okręgi senackie wskazuje, że jest to wysoce prawdopodobne. Wtedy PiS wygrywał ogromną przewagą w mniejszości okręgów, co przy większościowej ordynacji jest układem niekorzystnym – o wiele lepiej mieć niewielką przewagę w większości okręgów. Rządzić bez kontroli nad izbą wyższą się da, ale na pewno nie da się przepychać przez jedną noc ustaw. Regulamin prac Senatu nagle stanie się istotnym dokumentem i orężem w rękach anty-PiS-u. Jarosław Kaczyński straci poczucie wszechmocy.

Nie da się też wykluczyć, że do Sejmu wejdzie jednak Konfederacja. Szeroka presja, żeby nie dopuszczać jej do władzy, sprawi, iż PSL-owi łatwiej będzie zawrzeć koalicję z PiS-em. Kosiniak-Kamysz będzie się wtedy tłumaczył, że ratuje kraj przed wejściem Winnickiego do rządu.

Te wszystkie podchody przyciągają uwagę także dlatego, że pozycja całej czwórki stała się całkiem przewidywalna. Politycy wszystkich obozów popełnili w minionych latach porównywalną liczbę błędów, a choć przed wyborami nieco zmniejszyli ich dopływ (stale wracają te, które obciążały ich konto w przeszłości), wciąż próbują ignorować problemy, z którymi nie umieją sobie poradzić.

Dwie siły

Nic nie wskazuje na to, że opozycja rozumie zmieniającą się sytuację. Małgorzata Kidawa-Błońska była marszałkiem, kiedy PO przegrywała wybory, a Schetyna zasiadał wówczas w rządzie. Ówcześni bohaterowie afery podsłuchowej wciąż są na listach wyborczych. W sumie Platforma sprawia wrażenie, jakby zwycięstwo w wyborach jej się należało i za wielką za-

sługę poczytuje samo to, że liderzy ugrupowania się nie pokłócili.

Odnowienie personalne wymagałoby powtórzenia sukcesów z kandydaturami takich polityków jak Jacek Sutryk we Wrocławiu i Rafał Trzaskowski w Warszawie. Ale to wymaga znalezienia i wypromowania np. doświadczonego marszałka sejmiku. Na razie tasowane są te same karty. Trudno przecież uznać Pawła Kowala za nową jakość w polityce, podobnie jak, choć z innych przyczyn – Tomasza Zimocha.

PiS rządzi, jakby przez cztery lata trwał nieustanny grill, a jeśli wychodzi na jaw coś złego – machinacje w Komisji Nadzoru Finansowego, loty Kuchcińskiego, hejterska działalność Piebiaka – to zapewnia, że nikt nie miał prawa o tym wcześniej wiedzieć. Wydaje się, że liczy nie tylko na krótką pamięć wyborców, ale i na to, że opozycja nie umie tymi kartami skutecznie zagrać. Niewątpliwe skandale zostały na tyle „przegrzane" przez sprzyjające opozycji media, że zdają się nie robić na nikim wrażenia.

Coś się jednak może zmienić na ostatniej prostej. Powrót na pierwszą linię frontu Adriana Zandberga przypomina wydarzenie sprzed czterech lat: jeden jego dobry występ w telewizyjnej debacie przesunął 2 procent poparcia na stronę partii Razem i w ostatniej chwili zmienił wynik wyborów. Podobnie przez długi czas wydawało się, że afera taśmowa nie zaszkodziła notowaniom PO, jednak opublikowane z dużym opóźnieniem nagranie rozmowy Ewy Bieńkowskiej z Pawłem Wojtunikiem wzmocniło przekaz opozycyjnego PiS. Dziś takie akcje jak przełożenie ostatniego posiedzenia Sejmu na dwa dni po wyborach przypominają, że rządzących stale świerzbią ręce, żeby coś pomajstrować w prawie na swoją partyjną korzyść.

PiS może udawać, że nic się nie stało, ale jest dość powodów, by zostało przez wyborców ukarany – choćby za reformę szkół. Nagromadzone błędy mogą przyćmić strategiczny przekaz tej partii – konserwatyzm w pakiecie z państwem dobrobytu – który daje jej przewagę na polu ideowym. Skądinąd stabilna pozycja sondażowa PSL pokazuje, że PiS nie ma już monopolu na „pakiet konserwatywno-solidarny", który ma tylu zwolenników w polskim społeczeństwie. Pozostałe dwie partie opozycji mają z tym problem – wiele wskazuje, że w dostępnym na naszym rynku politycznym pakiecie postępu, oświecenia i praworządności mało jest miejsca na opiekuńczość.

Oczywiście istnieje grupa ludzi przeciwnych opiekuńczości i solidaryzmowi i szukająca wyraziciela swoich uczuć, jednak jej głośne zachowania wyraźnie zwiększają szanse PiS. To przestroga także dla elektoratu PO i Lewicy: jeśli zacznie zbyt dobitnie mówić, co sądzi o wyborcach PiS, ułatwi Kaczyńskiemu zwycięstwo.

Co ciekawe: przekaz rządzącego PiS nie odwołuje się już do gniewnych, tylko do zadowolonych Polaków. Twardy elektorat został w zasadzie uśpiony, zadowala go frustracja drugiej strony. Można by powiedzieć, że członkowie Klubów „Gazety Polskiej" oglądają TVP i wreszcie są szczęśliwi. Tak jakby polityka godnościowa sprowadzała się do rozwścieczenia tych, którzy przez wiele lat nas złościli.

Wygląda na to, że wynik wyborów będzie wypadkową dwóch sił. Pierwsza to ewentualna oddolna mobilizacja zorganizowana przez najbardziej zaangażowanych wyborców – tych, którzy mają dość patrzenia na nieudolność ścierających się aparatów. Drugą są przysłowiowi widzowie Polsat News. Gdyby wejść na stronę tej telewizji, to ma się wrażenie, że trwa najzwyklejsza kampania, jakby wybory odbywały się w Polsce od stu lat i jakby dobrostanowi obywateli nie zagrażali ani rządzący, ani opozycja.

Dobrze byłoby być przekonanym, że tak jest naprawdę. ©

Jarosław Kaczyński podczas konwencji wyborczej PiS w Gdańsku, 12 września 2019 r.

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

MACIEJ STĘPNIAK

Marcin Błeński, Gruzja, sierpień 2018 r.

Pod lawiną zarzutów

KRZYSZTOF STORY

Akcje górskie analizujemy z zapałem i kompulsywną potrzebą wydania wyroku. A w ratownictwie nie ma dobrych decyzji, tylko te, które się dobrze kończą.

Marcin Błeński jest ratownikiem medycznym i wysokościowym od 17 lat. W środowisku znany po prostu jako „Medyk". Zawsze robił coś z linami, zawsze towarzyszyły mu góry, choć przez cztery lata pracował w ratownictwie morskim. Jego firma Medyk Rescue Team prowadzi specjalistyczne szkolenia dla służb i instytucji, szkoli m.in. GOPR. Równolegle działa fundacja, której najważniejszym projektem jest „Bezpieczny Kazbek".

Rozmawiamy przez telefon, bo Marcin jest w Gruzji na wysokości 3653 m n.p.m. Tam znajduje się Meteo – budynek dawnej stacji meteorologicznej, który dziś jest bazą wypadową dla wszystkich zdobywców Kazbeku (5053 m n.p.m.). To jeden z najwyższych i najpopularniejszych szczytów Kaukazu, więc dookoła budynku w sezonie powstaje osiedle namiotów. Przy dobrej pogodzie z bazy widać szczyt.

– Zaczęło się w 2014 r. Wraz z grupą ratowników szukaliśmy ciała Piotra Bogdanowicza, który zginął na Kazbeku rok wcześniej – wspomina Błeński. – Rok później, już jako Medyk Rescue Team, szukaliśmy polskiej turystki. Byliśmy na miejscu kilka dni po jej zaginięciu. W obu przypadkach bez skutku. Jest takie powiedzenie, że Kazbek nie oddaje ciał. W ciągu trzech lat na górze zostało czterech Polaków. We współpracy z ambasadą w Tbilisi postanowiliśmy, że warto jakoś temu zaradzić.

W Meteo i na podejściu wkrótce stanęły znaki: „Kazbek nie lubi singli. Zwiąż się liną i załóż raki". Napis był w kilku językach, największą czcionką po polsku. Zdjęcia tablic szybko rozniosły się w internecie. Dlaczego stanęły akurat na Kaukazie?

– Dzięki tanim lotom w Gruzji jest coraz więcej polskich turystów. A Kazbek przyciąga ich jako jeden z łatwiejszych i tańszych pięciotysięczników. Nie ma trudności technicznych, nie trzeba się wspinać.

W Meteo polskie namioty często stanowią większość. A na naszych blogach podróżniczych do dziś można znaleźć relacje z wejścia na Kazbek w dżinsach, adidasach i skarpetkach zamiast rękawiczek.

– Ludzie lekceważą góry, między innymi przez takie wpisy – zauważa Błeński. – Skoro innym się udało, to mnie pewnie też. A Kazbek często takich błędów nie wybacza. Mówimy o pięciotysięczniku, który wymaga dobrej kondycji, sprzętu, aklimatyzacji. Pięciotysięczniku z nieprzewidywalnym, szczeliniastym lodowcem. Pogoda bywa szalenie niestabilna. Przy słońcu i czystym niebie Kazbek może wydawać się łatwy. Tylko że góra łatwa i góra bezpieczna to dwie różne rzeczy.

Dodatkowym ryzykiem jest fakt, że pod Kazbekiem nie działa skuteczny system ratownictwa górskiego. Ratownicy za każdym razem muszą podchodzić z miasta, z wysokości 1730 m n.p.m. To znaczy musieli, bo ostrzegawcze tablice były tylko pierwszym etapem projektu „Bezpieczny Kazbek".

Robimy herbatę

Co roku od 2016 r. polscy ratownicy pełnią trzymiesięczny dyżur w bazie pod Kazbekiem. Wszyscy pracują za darmo, zmieniają się co dwa, trzy tygodnie. Fundacji Medyka udało się zdobyć profesjonalny sprzęt górski i ratowniczy. W namiocie obok jest całe ambulatorium: leki, nosze, defibrylator, aparatura diagnostyczna.

Marcin Błeński: – W sezonie 2018 mieliśmy około 300 interwencji. Większość przypadków to choroba wysokościowa. Niektórzy już na wysokości Meteo (3653 m) mają poważne objawy, choćby obrzęk płuc. Mamy sprzęt i leki, dzięki którym możemy im pomóc. Dużo też rozmawiamy z turystami o ich planach, pokazujemy, jak zrobić aklimatyzację.

– Zabraniacie wejścia na szczyt, gdy ktoś jest ewidentnie nieprzygotowany?

– Nie. Ale doradzamy, jak zrobić to najbezpieczniej, opowiadamy o zagrożeniach. Często sami rezygnują.

Doradzali także mnie, gdy w 2017 r. szczęśliwie i przy dobrej pogodzie wcho-

dziliśmy na szczyt. Do polskich ratowników każdy przychodzi po leki, po badania, po dokładną prognozę. Gdy zapytać Marcina o codzienność w bazie, odpowie, że głównie robią herbatę. Tutaj to akurat ważne, bo wysokość wysusza. Każdą kroplę wody trzeba przegotować. Gdy w nocy źródła przymarzają, na śniadanie topią śnieg. W bazie zazwyczaj jest pięciu ratowników. Gdy trzeba, idą do góry.

– Każdego roku mamy kilkanaście większych akcji. W ubiegłym mieliśmy porażenie piorunem na samym szczycie. To był Rosjanin, który prawdopodobnie zatrzymał się krążeniowo i oddechowo. Jego koledzy go reanimowali i udało się przywrócić funkcje życiowe. Miał całkowite lewostronne porażenie, nie był w stanie iść. Wypadek był o 11, nasi ratownicy dostali informację dopiero pięć godzin później. Z bazy natychmiast wyruszyła ekipa ze sprzętem. Trafili na burzę, lider akcji zarządził odwrót. Sam lider z jednym gruzińskim przewodnikiem wyszli do góry na lekko, żeby pomóc turyście przetrwać noc. Przynieśli śpiwory, medycynę, sprzęt i rano improwizowali transport w dół. Wtedy też druga ekipa wyszła im na spotkanie z noszami. Do bazy dotarli o 10.50, 24 godziny po wypadku.

– A śmigłowiec?

– W całej Gruzji jest tylko jeden, należy do straży granicznej. Korzystamy z niego, gdy pozwala pogoda i maszyna jest do dyspozycji.

2018 r. był pierwszym od wielu lat sezonem bez ofiary śmiertelnej na Kazbeku, a 2019 ma szansę być drugim (trwa do końca września).

Koszt gotowości

22 sierpnia piorun uderzył w kopułę szczytową Giewontu. Na szczycie zginęły cztery osoby, a 157 było rannych. W akcję zaangażowanych było ponad 180 osób, m.in. TOPR, GOPR i 23 zastępy straży pożarnej. Nad Giewontem krążył TOPR-owski Sokół i cztery śmigłowce LPR.

Proszę Błeńskiego, by wyobraził sobie, że to on siedzi w dyżurce TOPR i dostaje telefon z Giewontu. Co się robi w takim momencie?

– Trzy rzeczy muszą wydarzyć się równolegle. Pierwsza: trzeba jak najszybciej mieć oczy na miejscu. Szpicę, mały zespół, który oszacuje, co się wydarzyło. Druga: wzywa się wszystkich ratowników. Trzecia: uruchomienie całego systemu, dyspozytorni pogotowia, straży, ośrodków zarządzania kryzysowego. Taką akcję trzeba traktować jak zdarzenie masowe. To jest nie do ogarnięcia przez jedną osobę, trzeba od początku myśleć o logistyce. Choćby o jedzeniu dla ratowników. Trzeba ustalić punkty koncentracji, w tym wypadku jeden był na Hali Kondratowej, drugi przy szpitalu w Zakopanem, gdzie straż postawiła namioty. Trzeba od razu zadysponować śmigłowce, żeby rannych odwieźć możliwie najdalej od miejsca zdarzenia.

W ciągu 20 minut od pierwszego telefonu z centrali TOPR wyjechał pierwszy zastęp ratowników. Jeszcze przez pół godziny pogoda nie pozwalała na start śmigłowca. Akcja w rejonie Giewontu trwała ponad sześć godzin.

Przy poważnych wypadkach górskich w debacie publicznej zawsze wraca temat odpłatności za ratownictwo górskie. Obowiązkowe ubezpieczenia, które pokryją koszty akcji, mają nie tylko poprawić sytuację słabo opłacanych ratowników, ale też być zachętą do odpowiedzialnej i bezpiecznej turystyki. Cena za start śmigłowca może być straszakiem na brawurę i brak rozwagi. Z drugiej strony bez opłat i pytania o zasadność wyjeżdżają na akcję karetki, wozy strażackie i policyjne, a także WOPR. Dlaczego góry miałyby zostać z tej puli wyłączone?

Marcin Błeński mówi: – Ten system, który mamy obecnie, ze wszystkimi jego wadami, funkcjonuje. Rewolucyjne zmiany będą szkodliwe. Ale warto robić powolne kroki w kierunku tego, żeby ludzie ponosili część odpowiedzialności za to, co robią w górach.

Jak dodaje, odpłatność akcji nie może być jedynym źródłem finansowania TOPR i GOPR. Koszty samej akcji to bowiem promil potrzeb tych służb. Największym kosztem jest utrzymanie gotowości. Najważniejsze jest zapewnienie ratownikom takiego finansowania, żeby ten śmigłowiec był w ogóle gotowy do startu.

Decyzja kierownika

Błeński: – TOPR powstał w 1909 r. Mamy jedną z najdłuższych tradycji ratownictwa górskiego na świecie, to jest etos TOPR-owca. Społeczeństwo od stu lat jest przyzwyczajone, że ratownik górski wyjdzie w każdą pogodę i będzie działał w każdych warunkach.

Słowo „etos" nie jest bezzasadne. Model ratownictwa górskiego w Polsce jest unikatem na skalę światową. W Alpach turysta bez ubezpieczenia po akcji ratowniczej otrzymuje astronomiczny rachunek. Na tym różnice się nie kończą.

Błeński: – W Alpach jest nie do pomyślenia, by ratownik wyszedł w nocy albo w nielotną pogodę. Większość akcji realizuje się tam z użyciem śmigłowca. Alpejskie podejście stawia przede wszystkim na sprawność i bezpieczeństwo ratownika. TOPR często dalej chodzi na piechotę. Zdarza się, że z narażeniem życia. Niewielka wysokość naszych Tatr stworzyła zupełnie inny model ratownictwa.

Inny czasem znaczy lepszy, czasem gorszy. 30 grudnia 2001 r. grupa TOPR-owców szła do turystów na Szpiglasowej Przełęczy pomimo trzeciego stopnia zagrożenia lawinowego. Podcięli lawinę, w której zginęło dwóch ratowników: 24-letni Bartek Olszański i 29-letni Marek Łabunowicz. Po tamtej sprawie na TOPR spadła fala krytyki, a ojciec Olszańskiego skierował sprawę do prokuratury (śledztwo zostało umorzone).

Nie wspominam o tym bez powodu. 18 lat później, równolegle z tragedią na Giewoncie, toczyła się akcja TOPR w Jaskini Wielkiej Śnieżnej. Dwóch grotołazów, którzy eksplorowali trudno dostępne partie, zostało uwięzionych przez nagły przypływ wody. Swoją pomoc w akcji zaoferowała Grupa Ratownictwa Jaskiniowego przy Polskim Związku Alpinizmu. GRJ skupia ochotników, którzy nie funkcjonują w strukturach profesjonalnych służb ratowniczych. Są świetnie wyszkoleni i mają większe doświadczenie speleologiczne (sam kurs speleologiczny trwa w Polsce ponad rok). Lepiej znali też kluczowe partie jaskini. Istniała szansa, że będą w stanie dotrzeć do uwięzionych grotołazów szybciej niż TOPR-owcy, wykorzystując korytarze, którymi szli poszkodowani.

TOPR nie zdecydował się skorzystać z tej pomocy. Ciała grotołazów zostały odnalezione po kilku dniach. W międzyczasie naczelnik TOPR Jan Krzysztof zawiesił akcję (pomimo tego, że nie odnaleziono drugiego ciała), jednak na drugi dzień ją wznowiono.

Problem w tym, że prawo nie pozwalało włączyć GRJ do tej akcji. Ustawa o bezpieczeństwie i ratownictwie w górach mówi, że ratownictwo górskie mogą wykonywać tylko podmioty mające zgodę ministra spraw wewnętrznych. ↦

Przypadki współpracy ratowników amatorów i profesjonalnych służb można znaleźć za granicą – choćby akcja w jaskini Riesending, w której wzięło udział około 700 osób. W takim zresztą celu powstała GRJ. W Polsce też mieliśmy takie przypadki pomimo ograniczeń prawnych. Po udanej akcji ratunkowej w Jaskini Niedźwiedziej w 2015 r. jej kierownik Zbigniew Jagielaszek (GOPR) mówił: „Prowadziłem wiele akcji ratunkowych. Ta była zdumiewająca pod względem dyspozycyjności i zaangażowania. (...) Bardzo pomocni byli speleolodzy z Grupy Ratownictwa Jaskiniowego PZA”.

Dlaczego wtedy można było włączyć GRJ do akcji, a teraz nie? Jak mówił słynny speleolog Andrzej Ciszewski w Radio Zachód: – To zawsze jest autonomiczna decyzja kierownika akcji.

A także jego odpowiedzialność. Zbigniew Jagielaszek brał na siebie całe ryzyko w związku z udziałem ratowników GRJ.

Model norweski

W pewnym sensie Jan Krzysztof podjął decyzję przeciwną do tej z 2001 r. Może miał ją w pamięci. Zdecydował się dbać o bezpieczeństwo ratowników, być może kosztem poszkodowanych. Finał jest jednak ten sam. 26 sierpnia do zakopiańskiej prokuratury wpłynęło zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez TOPR podczas akcji w Wielkiej Śnieżnej. Prywatna osoba zarzuca im nieudzielenie profesjonalnej pomocy. Wnioski są cztery.

Po pierwsze, w górach bardziej niż gdzie indziej potrzebujemy znaleźć winnego. Po burzy na Giewoncie niektórzy winili krzyż (dane pokazują, że w Giewont uderza tyle samo piorunów co w inne tatrzańskie szczyty), niektórzy łańcuchy, inni turystów. Przy akcji w jaskini winimy Jana Krzysztofa. I tak samo winilibyśmy go, gdyby zdecydował się zaangażować ratowników GRJ i któryś z nich został ranny lub zginął. Kiedy się czyta dyskusje w sieci, wygląda jakby w Jaskini Wielkiej Śnieżnej były wraz z ratownikami miliony Polaków. Akcje górskie analizujemy z zapałem i kompulsywną potrzebą wydania wyroku, zupełnie inaczej niż wypadki samochodowe i utonięcia. Nie ma dobrych decyzji, są tylko te, które się dobrze kończą.

Wniosek drugi: TOPR też popełnia błędy. Przedwczesną i zaraz odwołaną decyzję o zawieszeniu akcji trzeba traktować jako błąd. Być może jest ich więcej. Tylko że te błędy warto analizować na spokojnie, po zakończeniu akcji. Samo GRJ zdecydowanie odcina się od złożonego do prokuratury zawiadomienia.

W ich oświadczeniu czytamy wniosek trzeci: „Chcemy podkreślić, że akcja w Wielkiej Śnieżnej jest ogromnym wyzwaniem dla całego środowiska i instytucji ratowniczych. Tak złożona akcja ratownicza powinna być punktem wyjścia do dyskusji na temat zasad i możliwości współdziałania w przyszłości”. Prawo powinno umożliwiać współpracę profesjonalnych ratowników z amatorami, których umiejętności i wiedza mogą być kluczowe dla czyjegoś życia.

Wniosek czwarty formułuje Marcin Błeński: – Poza alpejskim i tatrzańskim jest jeszcze trzeci model ratownictwa górskiego – norweski. Nazywa się edukacja. Norwegia, jako najbogatszy kraj Europy, stwierdziła, że nie stać jej na osobną służbę ratowniczą. W zamian każdy obywatel jest od podstawówki szkolony z tego, jak przetrwać w górach. Jak poruszać się na nartach. Uczy się dzieciaki, jak zachować się przy wpadnięciu do przerębli. Zachęca się, żeby chodziły po zamarzniętych jeziorach. Niektóre przychodzą do szkoły z kolcami lodowymi na szyi (to narzędzie przypominające dwa śrubokręty o krótkich trzpieniach, spięte linką – nosi się je na szyi i w razie wpadnięcia do przerębla pomagają wydostać się z na lód). Uczy się, że w góry pakuje się tak, by w razie wypadku przetrwać trzy dni. W efekcie praktycznie nie ma ofiar wśród Norwegów w górach. Od ratowników z Norwegii słyszałem, że jeśli mają zgłoszenie zaginięcia dziecka, to sprawdzają narodowość. Jeśli dziecko pochodzi z Norwegii, czekają dobę, aż samo wróci. Kiedyś ratownicy po dobie znaleźli 12-letnią dziewczynkę. Była przebrana w suche ciuchy, miała wykopaną jamę śnieżną, którą oznakowała nartami, a czekoladę podzieliła na trzy kolejne porcje.

© KRZYSZTOF STORY

Projekt „Bezpieczny Kazbek” można wesprzeć na **https://pomagam.pl/bezpiecznykazbek**

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics
Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

ANNA

Dziewit-Meller:
Nie kupię ci

Kiedy w 2011 r. we francuskim „Vogue'u" ukazały się te zdjęcia, nawet polski Pudelek uznał, że to trochę za dużo. 10-letnia wówczas Thylane-Lena Rose Blondeau ubrana w skąpe dorosłe ciuchy, w pełnym makijażu i prowokacyjnych pozach, zszokowała świat mody, który przecież niejedno już widział. Rozległy się wtedy oskarżenia, że promowanie ubrań za pomocą wyzywająco wystylizowanych dzieci to symbol akceptacji tych marek dla dziecięcej pornografii i niemal jawna promocja anoreksji. I choć niektóre głowy zostały posypane popiołem, to chwilę potem świat obiegły fotografie 4-letnich dla odmiany modelek, ubranych jedynie w stylizowaną na dorosłą bieliznę w raczej mało dziecinnych pozach. Przedstawiciele francuskiej marki Jours Apres Lunes tłumaczyli się jednak, że chodziło im wyłącznie o „zatrzymanie w kadrze dziecięcej zabawy w przebieranki". Aha.

To dwa dość drastyczne przykłady posługiwania się wizerunkiem dzieci w reklamie, można się zresztą pocieszać, że na szczęście zagraniczne, ale przecież i w Polsce dzieci występują w reklamach wszystkiego prócz alkoholu i mleka w proszku dla niemowląt poniżej 6. miesiąca życia (sic!) i doprawdy różnie z tymi ich rolami bywało. No i w końcu są dzieci szalenie ważnymi odbiorcami przekazów reklamowych, więc nasiąkają nimi jak gąbka. Zaledwie kilka wypraw samochodowych w towarzystwie włączonego radia wystarczyło, by moje dzieci na ból gardła zaczęły się domagać lizaków reklamowanych jako skuteczne, ale i pyszne remedium na ból i chrypkę. Inwazja gangu świeżaków zaś spowodowała, że podczas zakupów z rozmysłem omijałam pewną sieć handlową, by nie narażać się na pytania o to, dlaczego nie zebrałam jeszcze odpowiedniej liczby naklejek. O kluczowej dla zrównoważonego rozwoju zawartości nabiału w mlecznej kanapce pełnej cukru i oleju palmowego albo o słodkich owocowych serkach mających być źródłem wapnia udało mi się już z dziećmi poważnie pogadać. Wiedzą zatem, że oba te produkty leżą daleko od półki z napisem „zdrowe jedzenie" i nie są potrzebne do zrównoważonego rozwoju ani budowania mocnych kości.

Próby ucywilizowania rynku reklamy kierowanej do dzieci i tej z udziałem dzieci podejmowano z różnym skutkiem od dawna. Kilka dni temu światło dzienne ujrzała Karta Ochrony Praw Dzieci w Reklamie, przygotowana przez Radę Reklamy przy udziale Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Sygnatariusze Karty zobowiązują się do tego, by w sposób szczególny dbać o to, aby w reklamach – zarówno tych kierowanych do dzieci, jak i tych, na które mogą być one eksponowane – nie pojawiały się sceny zawierające problematyczne relacje rodzinne, takie jak choćby zaniedbywanie dziecka czy występowanie dziecka w roli dorosłego. Tak zdarzyło się na przykład w przypadku świątecznej reklamy jednej z telefonii komórkowych, w której chłopiec za pomocą telefonu spełnia swoje marzenie o pogodzeniu rozwiedzionych rodziców (była to, jak się okazuje, jedna z najczęściej zaskarżanych do Komisji Etyki Reklamy produkcji ubiegłego roku).

Komisja może również negatywnie ocenić reklamy, w których są sceny prowokujące do konfliktów, niebezpieczne zabawy albo wypadki (chyba że ich prezentacja ma na celu promowanie ochronnej roli produktu). Sygnatariusze Karty domagają się wykluczenia z reklam treści dyskryminujących ze względu na rasę, płeć, narodowość, przekonania religijne lub niepełnosprawność, podobnie jak treści z bezpośrednim podtekstem seksualnym. Nie jest dobrze widziany także obraz dziecka uporczywie wymuszającego zakupy na dorosłych („Dziecku nie kupisz?" – pyta nas bezczelnie jeden z producentów wafelków. Może teraz przestanie?).

Nadciąga wielkimi krokami okres przedświąteczny: złote żniwa branży, koszmar wszystkich rodziców. Byłoby wspaniale mieć jakiś oręż w tej i tak wciąż nierównej walce o nasze portfele i dobre relacje z dziećmi, które przecież nie muszą chcieć wszystkiego i mieć wszystkiego, co jako nieodzowne wmawia im reklama. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

BYDGOSZCZ I ZAWIERCIE – NIECH NOC BĘDZIE Z WAMI!

Już w piątek 20 września pierwsze po wakacjach „Lekcje czytania" odbywające się w ramach Nocy Księgarń.

Noc księgarń

W bydgoskiej księgarni Skrzynka na bajki o godz. 19.30 wraz z MICHAŁEM TABACZYŃSKIM przeczytamy esej Virginii Woolf „Z powodu potanienia samochodów", a o 20.00 lekcja z RYSZARDEM KOZIOŁKIEM: w Księgarni Edukacyjnej w Zawierciu będziemy czytać „Ostatniego husarza" Sławomira Mrożka. Spotkania otwarte, liczba miejsc ograniczona. Zapraszamy!
Pełny program Nocy Księgarń znajdziecie na www.nocksiegarn.pl

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · UNIWERSYTET ŁÓDZKI · Quad Graphics · SALES MANAGO marketing automation

WIARA

NIE WALCZMY Z WIATRAKAMI

O. PAWEŁ KOZACKI, PROWINCJAŁ DOMINIKANÓW:

Kościół w Polsce jest prześladowany? Tak sądzą ludzie oderwani od rzeczywistości.

IGNACY DUDKIEWICZ: Kilka lat temu po raz pierwszy generałem dominikanów został Argentyńczyk. Na niedawnej kapitule wybraliście brata z Filipin. Co dla zakonu oznacza generał „z dalekiego kraju"?

O. PAWEŁ KOZACKI: Poszerzenie spojrzenia. Zakon powstał w Europie, tu zawsze było najwięcej prowincji, najwięcej braci. To się zmieniło. Fakt, że nasi najwyżsi przełożeni przestają pochodzić z europejskiej kolebki, wskazuje na rosnącą rolę dominikanów z innych kontynentów. Europocentryzm, który kiedyś był w zakonie dominikańskim oczywistością, już nią nie jest.

To dobrze?

Dobrze, bo nowy generał inaczej patrzy na rzeczywistość, a w naszym zakonie istnieje pełna różnorodność języków i mentalności. Każdy z nas przynosi ze sobą swoją historię, historię chrześcijaństwa w swoim kraju, swoje uprzedzenia czy wizje tego, na co należy kłaść nacisk. Pamiętajmy, że nie istnieje jeden Kościół europejski, afrykański czy azjatycki. Również w obrębie kontynentów widzimy rozmaitość podejść i kontekstów. To prawdziwy tygiel. Niedobrze byłoby, gdyby dominowało w nim tylko spojrzenie Europejczyków.

Na przykład inaczej się pracuje, gdy w twojej prowincji istnieją wielkie klasztory, mocne ośrodki duszpasterskie, a inaczej, gdy ledwo da się utrzymać dwu- lub trzyosobowe wspólnoty. Trudniej w takich warunkach kłaść nacisk na życie klasztorne, wspólne modlitwy czy liturgię.

W krajach zachodniej Europy największym problemem jest wymieranie prowincji. W Nigerii zaś zakon nie może przyjmować do nowicjatu wszystkich chętnych, bo nie jest ich w stanie utrzymać. Trzeba myśleć, gdzie zmieścić wszystkich braci, gdzie założyć nowe klasztory. Europejscy prowincjałowie myślą raczej, które klasztory zamknąć...

Różna jest wreszcie w różnych krajach sytuacja społeczna i prawna.

Na kapitule rozmawialiśmy między innym o nadużyciach seksualnych dokonywanych przez duchownych. Zaproponowane zostały zapisy zgodne z nowymi, ogłoszonymi przez Franciszka, normami. Wśród nich jest wymóg współdziałania z władzami świeckimi, co w kręgu euroamerykańskim jest niezbędnym standardem.

Bracia z Pakistanu od razu zaoponowali. W ich kraju pedofilia jest karana śmiercią, a współpraca z władzami świeckimi oznaczałaby śmierć dla podejrzanego. Nie ma szans na uczciwy proces chrześcijanina. Sytuacja Kościoła w demokratycznym społeczeństwie jest zupełnie inna od tej w krajach, w których nie przestrzega się praw człowieka, a Kościół jest prześladowany.

Trudno też porównywać kraje, w których większość ludności to katolicy i w których istnieje wielowiekowa tradycja chrześcijańska, na przykład z Japonią, w której katolicy stanowią 0,5 proc. społeczeństwa. Inaczej prowadzi się wspólnotę, gdy ma się pełne kościoły, a inaczej, gdy mówi się do maleńkiej grupki.

Abp Grzegorz Ryś opowiadał kiedyś, jak podczas synodu wstał biskup indyjski i po-

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

wiedział: „Przez sześć dni słuchaliśmy o problemach europejskiego Kościoła. To są wasze problemy, one nas zupełnie nie dotyczą". To także wasze doświadczenie z kapituły?

Nie. Świadomość różnorodności kontekstów, w jakich działamy, była w nas stale obecna. I każdy mógł zostać wytrącony z przekonania, że jego recepty są słuszne we wszystkich miejscach świata. Czasem mieliśmy natomiast kłopot z nazewnictwem. Używaliśmy tych samych słów, które rozumieliśmy inaczej. To, co nazywamy „duszpasterstwem akademickim", inaczej wygląda, gdy to nasz zakon prowadzi uniwersytet, inaczej w Stanach Zjednoczonych, gdzie są potężne kampusy, a inaczej w Polsce, gdzie trzeba ich przyciągnąć do klasztorów.

Dotyczy to także bardziej fundamentalnych słów? Np. takich jak „rodzina"?

Tak. Gdy mówimy o kryzysie rodziny w Europie, to musimy pamiętać, że w Wietnamie, gdzie obradowaliśmy, to właśnie silna, wielopokoleniowa rodzina jest podstawą przekazu wiary. I gdy pytamy, skąd się bierze tak wiele powołań kapłańskich w kraju, w którym katolicy stanowią niecałe 10 proc. ludności, to słyszymy, że wstąpienie syna do seminarium jest dla rodziny powodem do dumy.

Czy doświadczenie Kościołów mniejszościowych może nas czegoś nauczyć?

Powinniśmy np. uczyć się i przewidywać pewne procesy na podstawie doświadczeń krajów Europy Zachodniej. Może się wszak zdarzyć, że w przyszłości Kościół w Polsce będzie funkcjonować podobnie.

Robimy to?

Widzę dwie postawy wobec tych wyzwań. Jedna postawa wypływa z chęci skorzystania z doświadczeń Kościołów zachodnich, uczenia się od nich, szukania inspiracji, unikania ich błędów. Takie myślenie opiera się na diagnozie, że zarówno na Zachodzie, jak i w Polsce, zachodzą procesy cywilizacyjne, które są nieuchronne. Trzeba szukać na nie odpowiedzi, ale głównie po to, by przygotować się na nowe czasy, a nie walczyć z ich nadejściem, bo to postawa skazana na porażkę.

Druga postawa zakłada, że musimy zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do tego, byśmy znaleźli się w podobnej sytuacji. Dlatego należy bronić się i walczyć – często z poczuciem wyższości wobec katolików z Holandii czy Francji, którzy rzekomo sami doprowadzili do tego, że Kościół „zszedł tam na psy". Myślenie, że oni są sami sobie winni, a my możemy uniknąć ich losu, także jest obecne w polskim Kościele. ↦

Które podejście jest Ojcu bliższe?

Nie mam zamiaru walczyć z wiatrakami. Warto diagnozować procesy i adekwatnie na nie odpowiadać, ale niekoniecznie broniąc wszystkiego, co było dotąd. Musimy zachować to, co istotne, ale też być gotowi na zmianę formy, gdy będzie to potrzebne. Kluczowe jest, by zachować depozyt wiary, a nie styl funkcjonowania. Od samego początku – od kiedy św. Paweł przekroczył kontekst żydowski i poszedł do pogan – Kościół dostosowuje się do zewnętrznych warunków.

To, co widziałem w Wietnamie, to Kościół pokorny – i to pomimo jego rozwoju i dynamiki! Tam Kościół wie, że nie będzie dominował w społeczeństwie, nie będzie wpływał na rzeczywistość poprzez naciski polityczne, bo jest to niemożliwe w kraju komunistycznym, w którym państwo jest wobec chrześcijan opresyjne. W takiej sytuacji siła Kościoła opiera się nie na sile instytucji, lecz przekazu wiary i więzi międzyludzkich. Nadzieję dają nie te Kościoły, które opierają się na sprzyjającej sytuacji politycznej czy prawodawstwie, ale te, które są żywe w środku.

Co przekonuje o tej żywotności?

Pełne Kościoły, z których ludzie nie uciekają, ale gromadzą się po mszy, jedzą, śpiewają, bawią się. Nadzieję budzi też większa rola świeckich. Reżim komunistyczny w Wietnamie był dla Kościoła bardziej opresyjny niż w Polsce – większa liczba księży i biskupów była więziona, prześladowana i wypędzana. To spowodowało, że przestrzenią praktykowania wiary była rodzina i wspólnoty świeckich. Obecnie w Wietnamie żyje 8,5 miliona katolików, w tym 400 dominikanów, 3,5 tysiąca dominikanek i aż 117 tysięcy świeckich dominikanów!

Fakt funkcjonowania w środowisku im niesprzyjającym oraz różnorodnym zarazem powoduje, że mają większe poczucie tożsamości. Ich chrześcijaństwo jest często świadomym, niełatwym wyborem.

Powiedział Ojciec o różnicach w nazewnictwie. Czy poznanie sytuacji chrześcijan na świecie urealnia także znaczenie takich słów jak „prześladowanie”?

Zdecydowanie. Znam braci, którzy naprawdę byli prześladowani lub im ono realnie groziło. Bracia opowiadali, jak na klasztory w Republice Środkowej Afryki czy w Kongo spadały bomby. O porwaniach w Nigerii. O tym, że kiedy w Pakistanie dzwonią na pogotowie i podają chrześcijańskie imię, to karetka nie przyjeżdża. O tym, że za pisanie bloga w Wietnamie można się znaleźć w więzieniu, a bycie katolikiem zamyka drogę na uniwersytet. Nie mówię nawet o tych krajach, gdzie chrześcijanie nie mogą wyznawać otwarcie swojej wiary, a zakon żyje w podziemiu.

Gdy słucham historii moich braci, a potem słyszę, że Kościół w Polsce jest prześladowany, to cóż mogę powiedzieć? Że tak sądzą ludzie oderwani od rzeczywistości.

Ostatnio bp Wiesław Mering najpierw stwierdził, że prześladowany jest abp Marek Jędraszewski. Następnie powiedział także: „Nie mamy już najmniejszych wątpliwości, że chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną – również w świecie, nie tylko tutaj”. Ta kolejność prześladowanych miejsc jest w tych słowach znamienna...

Tak, chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną na świecie. To prawda. Ale nie jest tak w Polsce. Myli się ten, kto uważa, że formą prześladowania jest fakt, iż słowa biskupa nie są wyłącznie cytowane i powtarzane z atencją, ale spotykają się także z polemiką i kontrą.

W Polsce przez ostatnie wieki żyjemy w społeczeństwie stosunkowo monokulturowym. Ks. Grzegorz Strzelczyk zauważa także, że nie przeżyliśmy epoki oświecenia. Gdy Kościół w świecie przez ostatnie 200 lat mierzył się z narracją encyklopedystów i racjonalistów, gdy musiał rozmawiać z ludźmi, którzy podważali to, co głosi, i zadawali miliony pytań, my w Polsce walczyliśmy o niepodległość. W efekcie Kościół w wielu krajach ma już przepracowaną sytuację różnicy poglądów, zderzania się idei, konieczności uzasadniania przed światem, jak mówił święty Paweł, tej nadziei, która jest w nas. W wielu miejscach świata jest oczywiste, że słów Kościoła nie przyjmuje się z atencją na mocy samego autorytetu, ale że trzeba swoje stanowisko i słowa uzasadnić. Kontry ze strony osób inaczej myślących są zaś czymś zupełnie normalnym w społeczeństwie demokratycznym. To, że ktoś podważa słowa biskupów czy lansuje inne poglądy, to nie jest żadne prześladowanie, ale zwykła debata. Dominikanie z krajów, gdzie za wyznawanie wiary rzeczywiście można stracić życie, pewnie by się tylko z politowaniem uśmiechnęli, słysząc, że ktoś nazywa prześladowaniem fakt, iż ktoś w gazecie napisał, że Kościół jest zły, a biskup głupi.

W ostatnim numerze „W drodze” stawia Ojciec tezę, że jako Kościół „nie znajdujemy argumentów, które potrafiłyby uzasadnić nasze racje wobec realnych problemów i wyzwań współczesności”.

To dotyczy nie tylko udziału w debacie publicznej, ale także duszpasterstwa. Zdarza mi się, że jestem do czegoś przekonany, ale nie jestem w stanie z tym trafić do ludzi – na przykład przekonać młodych osób, że współżycie przed ślubem nie służy ich relacji i rozwojowi duchowemu. Nie znam w tej sprawie – ale także w innych – argumentów, które powalałyby moich rozmówców swoją siłą. Jedni je przyjmują, inni nie. Opór czuć również ze strony wierzących katolików, którzy mówią, że nie rozumieją nauki Kościoła w danej kwestii.

Jest zresztą jeszcze ważniejszy poziom wiary, na którą tym bardziej nie ma argumentów i dowodów. Mogę mówić, że zawierzam wierze Kościoła, która ma swoje źródła w Biblii i w tradycji, ale nie udowodnię, że Pan Jezus jest realnie obecny w Najświętszym Sakramencie. Pozostaje mi dawać świadectwo i liczyć, że przyniesie ono dobre owoce.

Może to także kwestia tego, o czym w Kościele można, a o czym nie można usłyszeć?

Zgoda. W Polsce bardzo dużo mówimy ostatnio o gender czy LGBT, a dla wielu Kościołów, w których wiara jest żywa – nawet gdy katolicy są w mniejszości – to są nieznane problemy i tematy. Co więcej, w sytuacji opresji, prześladowania, bycia mniejszością w danym kraju, okazuje się, że nawet różnice doktrynalne między katolikami i protestantami okazują się drugorzędne. Wspierają się, zamiast zastanawiać się, co ich różni. I przede wszystkim świadczą o Chrystusie.

Napisał Ojciec także, że „Kościół polski nie potrafi rozeznać, co jest ważnym wyzwaniem, a co tylko pozornym”. Co zatem jest ważnym wyzwaniem?

Wierność Ewangelii i przekaz wiary następnemu pokoleniu. To jest istotne dla istnienia Kościoła i jego żywotności – nie zewnętrzne okoliczności, bo świat będzie różny. Historyczne i globalne doświadczenie Kościoła pokazuje, że potrafi on się rozwijać nawet w bardzo niesprzyjających okolicznościach. Pod jednym warunkiem.

Jakim?

Że potrafi głosić Ewangelię i zarażać Dobrą Nowiną konkretnych ludzi. To, co było u nas dotąd naturalne, że wiarę niemalże „wypijało się z mlekiem matki", już nie działa. Rodzice – sami bardzo religijni – często mówią, że nie potrafią przekazać tego, co jest dla nich tak ważne, swoim dzieciom. Pytanie o to, jak przekazywać wiarę i w żywy sposób ją praktykować, jest fundamentalne dla przyszłości Kościoła. A to, czy wokół nas będą się pojawiać różne idee czy ideologie? Zawsze będą. Zawsze będą środowiska, które będą negować wiarę i naukę Kościoła. Ale jeżeli przekaz wiary będzie silny wewnątrz naszej wspólnoty, to nic zewnętrznego go nie naruszy. Dlatego powinniśmy się skupić na problemach wewnątrz Kościoła. Trzeba być świadomym tego, co się dzieje na zewnątrz, dyskutować z tym, odpowiadać, uzasadniać swoje racje, pokazywać swoje wartości, ale najbardziej istotne jest to, jak nasza wspólnota wygląda w środku.

Co zatem robić?

Coraz ważniejsze będzie świadectwo indywidualne. Wiara rodzi się ze słuchania. Zapala tylko ten, kto płonie. Nie da się przekazywać teorii wiary. Jedynym sposobem przekazu wiary jest życie nią tego, dla kogo Jezus Chrystus jest ważny. Nie czytanie z katechizmu, na czym polega transsubstancjacja czy dwie natury w Chrystusie, ale opowiedzenie o tym, co dla mnie osobiście Chrystus zrobił i co znaczy w moim życiu. A jak ktoś uwierzy, stanie się uczniem Jezusa, to trzeba jego wiarę uzasadnić, wzmocnić ją rozumieniem. To jest droga. I to akurat jest aktualne zawsze i na całym świecie.

©℗ Rozmawiał IGNACY DUDKIEWICZ

O. PAWEŁ KOZACKI *(ur. 1965) jest drugą kadencję prowincjałem polskich dominikanów.*

IGNACY DUDKIEWICZ *jest redaktorem naczelnym magazynu „Kontakt".*

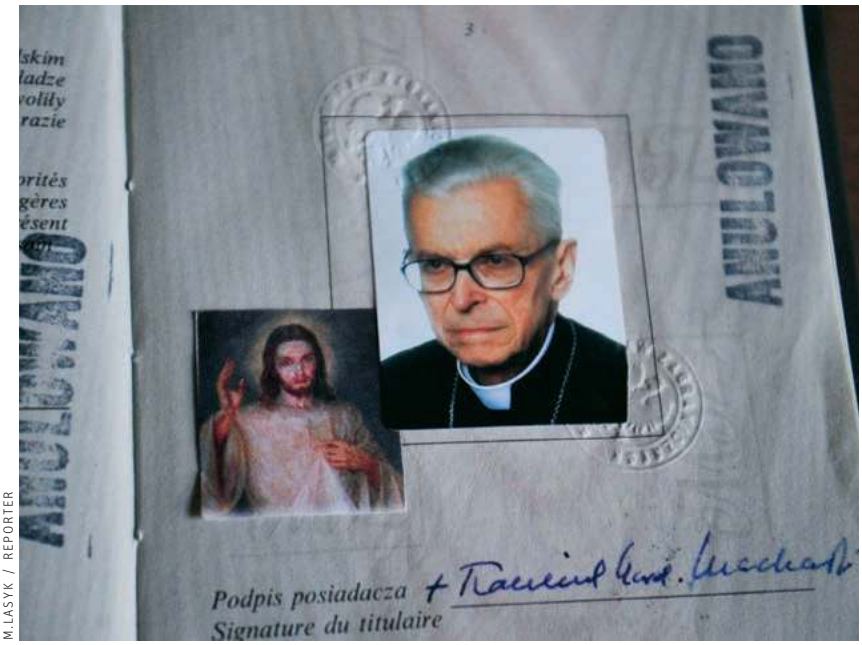

M. LASYK / REPORTER

Strona z paszportu kard. Franciszka Macharskiego, izba pamięci w sanktuarium Ecce Homo w Krakowie, sierpień 2019 r.

Pokój kardynała

DOROTA BIDZIŃSKA

Zostały po nim: kapcie, książki, okulary. Sutanna i koszula w kratkę. Ślady decyzji, które podejmował przez 26 lat jako krakowski metropolita. I opowieści osób, które go znały.

Gęsto zapisany terminarz. Rok 2005. Otwarty na tygodniu 20-26 czerwca. To jeden z przedmiotów zgromadzonych w izbie pamięci kard. Franciszka Macharskiego, którą można odwiedzać od sierpnia w domu sióstr albertynek przy sanktuarium Ecce Homo w Krakowie. W kalendarzu, pod datą 21 czerwca, kardynał zapisał: „u SS. Albertynek z prośbą o przytułek".

To właśnie tego dnia zapadła decyzja, że po przejściu na emeryturę przeprowadzi się do „Chatki" – domku z cegły i drewna, naprzeciw sanktuarium z relikwiami św. brata Alberta. Spędzi tu ostatnie 11 lat życia.

W niewielkim pokoju zgromadzono pamiątki: medale, książki, szaty liturgiczne. Są też okulary, kapcie, poduszka i ulubiony pled. Świadkowie ważnych wydarzeń i codziennej rutyny.

Paszport, sutanna, koszula

Leży obok kalendarza. Tuż przy oficjalnej fotografii – kardynał ma na niej poważny, trochę surowy wyraz twarzy – doklejona podobizna Jezusa Miłosiernego. Z takim dokumentem Macharski podróżował w latach 2003-08. Podobno nikt podczas kontroli nie kwestionował tej drobnej ingerencji. Jezus wygląda tak, jakby stał tuż za jego plecami i szeptał mu coś do ucha.

Franciszek Macharski lubił otaczać się wizerunkami świętych. Utykał je we framugach drzwi, wsuwał za szyby mebli i między strony czytanych książek.

– Zmiana brewiarza to był cały rytuał – śmieje się siostra Dolorosa, która opiekowała się kardynałem w ostatnich latach. – Nie wystarczyło wziąć nowy tom, trzeba było go najpierw skrupulatnie ↦

↦ powypełniać obrazkami, wycinkami i notatkami z poprzedniego.

Żył prosto. Mieszkanie w „Chatce" urządził bez luksusów. W większym pokoju pracował i spał, w mniejszym przyjmował gości. Miał też kaplicę z Najświętszym Sakramentem, prostym ołtarzem i drewnianym klęcznikiem. Chodził w znoszonym płaszczu i starych butach. Jako metropolita krakowski często podróżował pociągami, bo, jak mówił, jest wtedy bliżej ludzi.

„W powołaniu kapłańskim ważny jest radykalizm – mówił w telewizyjnej rozmowie z cyklu »Widziane z Franciszkańskiej« – Świadome wybranie pewnej surowości, odrzucenie nawet dobrych warunków materialnych w domu. Przypomina to radykalny gest św. Franciszka z Asyżu".

– Kardynał lubił spacerować – wspomina siostra Dolorosa. – Znał każdy kwiat w naszym ogrodzie. Miał w sobie niezwykłą delikatność. Kiedy na alejce przed nim przysiadły ptaki, cierpliwie czekał, aż odlecą, i dopiero ruszał dalej.

Fotograf Adam Bujak opowiadał, jak kiedyś w Wielki Czwartek w katedrze wawelskiej celebrujący liturgię kardynał Macharski wypatrzył go w tłumie. Dał mu znak spojrzeniem, by się odwrócił: „Moim oczom ukazało się nierzeczywiste zjawisko: łuna słoneczna oświetlała Konfesję św. Stanisława, tworząc jakąś niebywale mistyczną, nierealną scenerię".

Kard. Stanisław Nagy wspominał kiedyś, jak w 1983 r. razem z kard. Macharskim, ks. Adamem Kubisiem i ks. Bronisławem Fidelusem towarzyszyli Janowi Pawłowi II podczas nieoficjalnego spotkania z Lechem Wałęsą w Dolinie Chochołowskiej. Czy powinni iść w sutannach?

„Okoliczności były nietypowe, jednak towarzystwo papieża zobowiązywało. Dziś może się to wydawać teoretycznym i mało istotnym dylematem, jednak wtedy tak nie było". Spór rozstrzygnął Macharski. Zdjął sutannę, spod której wyłoniła się kraciasta flanelowa koszula. Poszli za jego przykładem.

Krzyż i rękopis

„Zawsze wiedziałem, że ten fotel biskupi, krzesło w katedrze wawelskiej jest na dwóch takich jak ja" – mówił z autoironią. Przyjęcie stanowiska metropolity krakowskiego wiązało się z ogromną presją. Kard. Wojtyła dał się poznać jako postać wyjątkowa. Teraz potrzebował następcy, bo z katedry na Wawelu przeniósł się na Stolicę Piotrową.

65. rocznica kapłaństwa kard. Macharskiego. Na zdjęciu przed sanktuarium Ecce Homo w towarzystwie sióstr Dolorosy (po prawej) i Krzysztofy Babraj, marzec 2015 r.

Od poprzednika Franciszek Macharski dostał prezent: krzyż pektoralny kard. Sapiehy i rękopis poematu „Stanisław": „Był człowiek, w którym moja ziemia ujrzała, że jest związana z niebem. / Był taki człowiek, byli tacy ludzie... i ciągle tacy są...".

Te słowa potraktował z powagą. Wielokrotnie nawiązywał do postaci św. Stanisława, biskupa i męczennika. Kardynała Sapiehę naśladował w działalności charytatywnej. Jak Książę Niezłomny fundował szpitale, a w czasie II wojny światowej wspierał Radę Główną Opiekuńczą, tak Macharski patronował nowym placówkom medycznym, wspierał Hospicjum św. Łazarza i Ośrodek dla Osób Niepełnosprawnych w Radwanowicach, a w czasie stanu wojennego utworzył przy Kurii Krakowski Komitet Pomocy Więźniom i Internowanym.

Z Janem Pawłem II łączyła go szczególna relacja.

– Kiedy ogłoszono dekret o heroiczności cnót papieża, do kard. Macharskiego dzwonili dziennikarze z prośbą o krótką wypowiedź – wspomina siostra Dolorosa. – Kardynał nie czuł się wtedy najlepiej, ale oni nalegali: niech to będzie nawet coś niewiążącego. Powtórzyłam te słowa eminencji, popatrzył na mnie z powagą i powiedział: „Niewiążącego? Nas wszystko wiązało. I nadal wiąże".

Krzyża i rękopisu nie ma w pokoju pamięci. Poemat znalazł się w Archiwum Kurii. Pektorał Sapiehy Macharski nosił przez cały czas swojej posługi jako metropolita krakowski. Po przejściu na emeryturę przekazał go kard. Dziwiszowi, a ten oddał abp. Jędraszewskiemu. Żaden z nich nie nosi go jednak na co dzień.

Zdjęcie z hipisem

W tle Sukiennice i pomnik Mickiewicza, na drugim planie kobiety w białych bluzkach z kołnierzykiem, z przodu Franciszek Macharski i młody hipis z białą przepaską na włosach, całujący kardynalski pierścień. Zdjęcie z Białego Marszu autorstwa Stanisława Markowskiego pokazuje mi Andrzej Bac, jeden z organizatorów tego wydarzenia.

13 maja 1981 r. Grupa studentów planuje obchody juwenaliów.

„Wściekaliśmy się, że Adam Cygański się spóźnia. A on nagle wpadł i krzyknął: »Co wy robicie, nie będzie żadnych juwenaliów – Ojciec Święty nie żyje«. Zgłupieliśmy i rzuciliśmy się do radia, z którego popłynęły już bardziej konkretne wiadomości" – wspomina Hanna Marcak.

Juwenalia odwołane – to nie ulega wątpliwości. Wtedy pojawia się pomysł, by

zorganizować milczący marsz, wszyscy ubrani na biało. Delegacja studentów idzie na Franciszkańską o drugiej w nocy.

„Dzieci, gdyby wam się to udało, zrobilibyście Ojcu Świętemu największy prezent" – odpowiada im kard. Macharski.

W marszu z Błoń do Rynku przeszło około pół miliona ludzi: krakowianie i przyjezdni, działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów i przedstawiciele Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Także 400 hipisów z komun rozsianych po Polsce. Wierzący i ateiści, zwolennicy władzy i opozycjoniści, młodzi i starzy. Na płycie Rynku odprawiono mszę: „To jest, Bracia i Siostry, zwyczajnie – za wielkie. I za trudne. Za maliśmy. Ale też na przekór temu, co mówię, chcę powiedzieć: »Wielki jesteś Krakowie! Wielka jesteś Polsko! Wielka, z wszystkimi swoimi słabościami«" – mówił w homilii kardynał.

Podczas stanu wojennego Macharski odwiedzał internowanych i wspierał ich rodziny, interweniował przed pogrzebem Bogdana Włosika zastrzelonego podczas demonstracji w Nowej Hucie („Jeżeli wasi ludzie nie wiedzą, co to jest karate, to im nie dawajcie pistoletów. I nie chowajcie pokolenia tchórzy, którzy strzelają przy byle okazji" – powiedział wtedy), podpisywał tzw. umowę genewską w sprawie klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu.

Wielu zarzucało mu, że nie jest wystarczająco radykalny. Że rozmawia z przedstawicielami nieodpowiednich opcji politycznych. „Przecież jestem pasterzem dla wszystkich" – odpowiadał.

– To było w czasie wyborów prezydenckich. Martwiłam się, jaki będzie wynik – opowiada siostra Dolorosa. – Ale kardynał mnie uspokajał: „Kogo nam Pan da, to będziemy się za niego modlić. I będziemy go szanować, bo to będzie nasz prezydent. Zaufajmy ludziom, że potrafią dokonać dobrego wyboru".

Kalendarz jeszcze raz

Udaje mi się odcyfrować w terminarzu jeszcze jedną notatkę, pod datą 25 czerwca: „Kł. Św. App. Piotra i Pawła – ślub Piotra i Marty".

– Kiedy organizowaliśmy ślub, nikt nam nie dowierzał, że udzieli go nam sam kardynał – mówią Piotr i Marta Ostrowscy, gdy ich odnajduję.

– Kardynał Macharski znał mojego śp. dziadka, który był kawalerem zakonu maltańskiego, i mojego tatę, dyrektora Zamku na Wawelu – tłumaczy Piotr. – Rodzicom zaproponował nawet, żeby przeszli na ty. Pamiętam, jak dzwonił do nich, podnosiłem słuchawkę i słyszałem: „Dzwoni Franek z Franciszkańskiej".

– Na nasz ślub przyszedł w zwykłej sutannie, wszedł do kościoła po cichu, bocznym wejściem – opowiadają. – Siedział potem blisko nas na obiedzie. Byliśmy trochę stremowani. Skracał dystans, opowiadał nam o garbusie, którego kupił sobie podczas studiów we Fryburgu.

– Miał w sobie niesamowite dostojeństwo, a równocześnie był bardzo naturalny i bezpośredni – dodaje Piotr.

Gliniane Dzieciątko

– Towarzyszyło nam cały rok – wyjaśnia siostra Dolorosa. – Nieraz w Wielkim Poście pytałam: „Eminencjo, może je schowamy?". „Czemu? Czy Jezus nie rodzi się dla nas każdego dnia?" – odpowiadał.

Do tajemnicy Wcielenia wracał często: „Trzeba modlić się o to, ażeby ludzie potrafili obronić się przed zabobonem, iż to, co ewangeliczne, nie jest ludzkie".

Siostra Dolorosa: Kiedyś zadzwonił do nas syn pracownika kurii. Jego ojciec miał udar. Kardynał, choć czuł się wtedy źle, natychmiast wstał i pojechaliśmy do szpitala. Nie było dyskusji.

Prof. Franciszek Ziejka wspominał, że w czasie śmiertelnej choroby jego żony kardynał dzwonił do nich co kilka dni: – Zazwyczaj nie rozmawialiśmy bezpośrednio o chorobie, chociaż zawsze z jego ust padały słowa zachęty do wytrwania, słowa ważne szczególnie dla żony.

– Przed świętami dostawał mnóstwo listów – opowiada siostra Dolorosa. – Mieliśmy cztery pudła po bananach wypełnione kopertami. Ja je otwierałam, kardynał czytał, nad każdym robił znak krzyża i sięgał po następny. Potem brał kilka z nich i odprawiał msze święte w intencjach nadawców.

Zmarłym i ich rodzinom towarzyszył w ostatniej drodze. – Zapamiętałam jeden szczegół – dodaje siostra. – Kardynał nigdy nie sypał ziemi łopatką. Zawsze schylał się i podnosił ziemię ręką. Gdy żegnał kogoś znajomego, podchodził i całował trumnę.

Drzewo

W ostatnich latach coraz bardziej podupadał na zdrowiu.

– Cierpiał, ale nigdy nie narzekał – mówi siostra. – Pytany, jak się czuje, odpowiadał: „Lepiej niż na to zasługuję".Chętnie wspominał: pielgrzymki Jana Pawła II, ważne wydarzenia z życia krakowskiego Kościoła, ale też radosną atmosferę spotkań z młodzieżą i koncerty w filharmonii.

Myślami wracał do dzieciństwa. Oglądał zdjęcia, na których on – mały ↦

Pismo Święte i okulary kardynała w izbie pamięci w sanktuarium Ecce Homo w Krakowie, sierpień 2019 r.

M.LASYK / REPORTER

chłopiec z ciemną grzywką – siedzi z całą rodziną w przydomowym ogrodzie, na wakacjach w Rabce, na plaży w Orłowie. Jeszcze nie wybuchła wojna, jeszcze żyje jego ojciec. Dom jest bezpieczną przystanią.

W sierpniu 2016 r. trafił do szpitala w stanie krytycznym. W Krakowie trwały Światowe Dni Młodzieży, a on leżał podłączony do medycznej aparatury.

– W niedzielę siedziałam przy nim – opowiada siostra Dolorosa. – Na laptopie kątem oka widziałam, jak samolot z papieżem kołuje nad miastem, wznosi się coraz wyżej. A nasz kardynał powoli odchodził do Domu Ojca.

W rodzinie Macharskich, gdy rodził się syn, ojciec sadził w ogrodzie dęby. Willę przy ul. Wyspiańskiego 11 wciąż otacza spory ogród i nadal jest w nim jeden dąb. Czy to któryś z tych dwóch? Czyj? Franciszka czy jego starszego brata Władysława?

Drzewo jest wysokie i rozłożyste. Pień jest mocny i stabilny, na wietrze łagodnie szumią liście.

© DOROTA BIDZIŃSKA

Wykorzystałam fragmenty wspomnień o kard. Macharskim opublikowane w książce Huberta Wołącewicza „Kardynał Franciszek Macharski" oraz albumie „Biały Marsz". Wypowiedzi kardynała pochodzą z publikacji „Z bratem naszego Boga" i „Widziane z Franciszkańskiej".

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywil- nym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 49/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie o powierzchni 0,02,73 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 1115 arkusz mapy 19, dla której nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Milenialsi w klasztorze

KAROL KLECZKA

Eksperyment wydawał się szalony: poszukujący sensu współcześni 30-latkowie spędzili pół roku w żeńskim zgromadzeniu. Spotkanie tych dwóch światów przyniosło ciekawe owoce.

Słyszeliście tę historię o zakonnicach, które prosiły przez wstawiennictwo św. Józefa, żeby Bóg im zesłał jałówkę, i nawet do skarbony wrzuciły modlitwę opatrzoną odpowiednim rysunkiem? Dostały kotka, bo siostra, ilustratorka, nie miała wielkiego talentu. Ktoś zażartuje, że to dobrze, że nie modliły się o powołania, ale wyobraźcie sobie taką sytuację. Ciszę listopadowego, mglistego wieczoru przerywa nagłe pukanie do furty. Siostra Marian Rose schodzi, by otworzyć, być może mając nadzieję, że do klasztoru zabłąkała się jakaś przyszła nowicjuszka.

„Bóg jest Panem niespodzianek, a Jego łaska wieje, kędy chce" – mogła pomyśleć starsza zakonnica, bo zamiast młodej dziewczyny Wszechmogący zesłał trzech zziębniętych brodaczy. Jednym z nich był Adam Horowitz, 32-letni działacz społeczny i aktywista, który pokonał doprawdy wyboistą drogę do żeńskiego klasztoru.

„Szukaliśmy takich wspólnotowych sposobów życia, które polegają na dzieleniu się miłością. Nie ograniczają międzyludzkich stosunków do relacji ściśle prywatnych" – nieco poetycko tłumaczy Horowitz. Gdy czyta się jego zapiski, a zwłaszcza tekst „Co robi miły żydowski chłopiec w klasztorze?", poświęcony historii jego spotkania z zakonnicami oraz zawiązania projektu „Nuns and Nones", nie można odmówić ich autorowi poetyckiej wyobraźni.

Robinson w poszukiwaniu sensu

Horowitz na co dzień pracuje w trzecim sektorze z ludźmi kultury i działaczami społecznymi, a w ramach prowadzonych przez siebie projektów tworzy miejsca spotkania przedstawicieli różnych środowisk, by dzięki wspólnemu przebywaniu i dyskusji uczyli się wzajemnego słuchania. Cel jest jeden i może się wydawać trywialny, ale tak już chyba jest z rzeczami, których każdy pragnie – Horowitz stara się pomóc innym lepiej żyć. I sam takiej pomocy również potrzebował.

Jak każdemu wizjonerowi towarzyszy mu poczucie niezwykłości obecnych czasów oraz powołanie do kruszenia podziałów w świecie. Czasem popada w eschatologiczne tony, gdy nawołuje do tego, by ludzie różnych tradycji i tożsamości razem podejmowali kroki ku nieznanemu „nowemu", ale to tylko wyraża trzecią istotną cechę tego człowieka, jaką jest otwartość poznawcza.

Taki plan na życie może się wydawać marzycielskim. Nic dziwnego, bo Adam Horowitz jest klasycznym milenialsem, czyli członkiem pokolenia będącego jednym z bardziej znienawidzonych przez krytyków kultury, lecz szczególnie pokochanym przez operatorów bankowych kredytów. Dorastanie w późnym kapitalizmie wyprodukowało pokolenie robinsonów szukających kursu na nadanie życiu sensu w epoce, w której wyznacza go nieprzerwana konsumpcja.

W 2016 r. Horowitz uczestniczył w rekolekcjach prowadzonych przez pastora Wayne'a Mullera. Szybko złapali kontakt i okazało się nawet, że mieszkają niedaleko siebie w Santa Fe. Horowitz, choć wychował się w judaizmie, także w innych tradycjach religijnych poszukiwał odpowiedzi na pytanie, co może zjednoczyć ludzi, którym zależy na realizacji wspólnego celu. Od kogo uczyć się budowy wspólnoty, która posiada właściwą dyscyplinę, aby skutecznie działać? Aktywista mógł być ogromnie zaskoczony, gdy pastor dał mu namiary na zakonnice z katolickiego zgromadzenia sióstr miłosierdzia.

Pierwszy kontakt

Jeszcze w listopadzie tego samego roku Horowitz z grupą przyjaciół doprowadził

S. GLORIA MARIE JONES

Alan Webb, Sarah Bradley, dominikanka s. Gloria Marie Jones i Adam Horowitz po spotkaniu „Nuns and Nones"

do spotkania, które zaowocowało projektem „Nuns and Nones". W jednym z pomieszczeń Harvard Divinity School gromadzą się dwie grupy, które na pierwszy rzut oka dzieli wszystko: wiek, pochodzenie, wykształcenie, a przede wszystkim przekonania religijne. Z jednej strony katolickie zakonnice, z drugiej milenialsi, czyli najmniej religijna grupa w Stanach. Trudno przetłumaczyć na polski zgrabną zbitkę językową zawartą w nazwie projektu. Gdyby można było zbudować liczbę mnogą od zaimka „nikt", to chyba najlepiej tłumaczyłaby angielskie *nones* opisujące grupę świeckich uczestników projektu. *Nuns*, czyli siostry zakonne, oraz *nones*, czyli – no właśnie – „nijacy"?

„Byli wśród nas członkowie pierwszego pokolenia migrantów, biali i kolorowi, queer i trans. Rozpoczynaliśmy spotkania od wyboru preferowanych zaimków, tak aby nikogo nie urazić" – opisuje inicjator spotkania. Grupa osób, które łączy wspólna cecha: jeśli ktoś kazał wypełnić im rubrykę w statystycznym spisie dotyczącym wiary, podkreśliliby opcję „żadne z powyższych". Zjednoczyło ich też jedno pragnienie. „Chcieliśmy poznać i zrozumieć odmienne od naszego sposoby życia w społeczeństwie i wykorzystać ten dar dla uleczenia ran, wzajemnej służby i pracy na rzecz sprawiedliwości" – pisze Horowitz.

Właśnie w takim egzotycznym gronie zaczęła kiełkować dyskusja na temat wspólnych lęków, marzeń i wyzwań, jakie stawia współczesność. Z każdą kolejną wymianą zdań kruszyły się lody dzielące siostry i milenialsów, a podobieństwa zaczęły pojawiać się same. Po obu stronach zasiadły osoby ponadprzeciętnie aktywne w kwestiach społecznych. O silnej tożsamości, często manifestujące swe poglądy publicznie i edukujące innych. Otwarte na dialog ze światem, aby nauczyć się czegoś nowego, i nieustannie poszukujące. „Wierzę, że więcej nas łączy, niż dzieli" – mówiła po pierwszym spotkaniu siostra Mary Dacey, zwracając się do grupy młodszych o cztery dekady milenialsów. Nie powinno to dziwić, bo amerykańskie zakonnice to prawdziwe rewolucjonistki.

Siostry na barykadach

Jeśli ktokolwiek wyobrażając sobie siostrę zakonną w USA ma przed oczami przebojową Whoopi Goldberg śpiewającą z chórem dzieciaków „Oh Happy Day", jest w błędzie. Reformy Soboru Watykańskiego II ogromnie wpłynęły na życie zakonne w Stanach Zjednoczonych: począwszy od organizacji zgromadzenia, przez działalność publiczną, po wygląd i symboliczne porzucenie habitów, aby być bliżej zwykłych ludzi. Zakonnice zaczęły kończyć studia wyższe, a także zabierać aktywny głos w kwestiach społecznych.

Nie było łatwo, bo gdy dyskutowały na temat celibatu czy kapłaństwa kobiet, przyczepiano im łatkę radykalnych feministek. Gdy publicznie mówiły o walce z klerykalizmem, snuły refleksje w dziedzinie bioetyki czy organizowały posługę duszpasterską dla osób homoseksualnych – Watykan zlecał kontrole ich działań. Wizytacje nie wykazały żadnych większych nieprawidłowości, a w raporcie końcowym wyrażono wdzięczność siostrom za ich ewangelizacyjny zapał, oddanie i pracę, ale wizerunek rewolucjonistek pozostał.

Trudno o lepsze partnerki dla działań Horowitza, bo w czasach, w których nie funkcjonowało to, co dziś znamy jako trzeci sektor, siostry zakonne animowały oddolne ruchy społeczne związane nie tylko z życiem Kościoła. To siostry można spotkać na marszach i pikietach, to one wdrażają programy towarzyszenia wykluczonym. Między milenialsami i siostrami pojawiła się synergia, ale także coś więcej – zakonnice miały patent na to, jak skutecznie działać w grupie.

„To były silne przywódczynie, które przyjęły śluby ubóstwa. Które żyły, rozeznawały i dzieliły się ze wspólnotą. Dawały miłość i troskę dla tych, którzy najbardziej jej potrzebowali. Tworzyły pojemne struktury, aby wypełniać ludzkie potrzeby" – wspominał Horowitz po pierwszym spotkaniu. Nie trzeba było długo czekać na kolejne seminaria dyskusyjne. Siostry były spragnione obecności młodych ludzi pełnych pasji, a milenialsi łaknęli ich doświadczenia i zdecydowania w działaniu.

Wspólny lot w kosmos

Tamten listopadowy weekend okazał się tak dużym sukcesem, że organizatorzy już wkrótce zaczęli pracę nad kolejnym spotkaniem. Doszło do niego w maju 2017 r. i cieszyło się takim powodzeniem, że do grupy dołączyły siostry z całego regionu Bay Area. Grupa milenialsów również zdecydowanie się powiększyła. Niecały rok później, w kwietniu 2018 r., przyjechały także zakonnice z pozostałych stanów. Organizatorzy „Nuns and Nones" i towarzyszące im siostry poczuli, że trzeba zrobić kolejny krok. Narodził się nowy pomysł: milenialsi nakłonili siostry do wprowadzenia pilotażowego programu pobytu w klasztorze.

Założenie było proste. Grupa młodych miała wprowadzić się do klasztoru i mieszkać w nim kilka miesięcy, pomagając siostrom i dzieląc z nimi niemal cały dzień, prócz godzin pracy. Organizatorzy inicjatywy zaczęli kierować zapytania do wspólnot zakonnych, które zechciałyby ↦

↦ przygarnąć taką eksperymentalną grupę. To wymagało dużej odwagi z obu stron, bo przecież kto w wieku 20-30 lat porzuciłby życie w wielkiej, dynamicznej metropolii dla zamkniętej przestrzeni świata poza światem – i to jeszcze wypełnionej religią, której się nie wyznaje. Taka decyzja wymaga jasno zdefiniowanego sensu i czegoś na kształt skoku wiary. Dotychczasowe spotkania młodych z zakonnicami dobrze wróżyły, ale jednak życie we wspólnocie ma swoje zasady.

Zaufanie było potrzebne również ze strony sióstr. Średnia wieku zakonnic w USA zbliża się do osiemdziesiątki, funkcjonują w klasztorach i posiadają swoje nawyki. Co innego spotkać się raz na rok, żeby spędzić weekend na nawet bardzo ważnych i wzniosłych, lecz jednak krótkich wymianach zdań, a co innego przebywać przez pół roku z człowiekiem o zupełnie innym rytmie życia. Mimo to znalazła się wspólnota gotowa, by przyjąć do siebie piątkę młodych.

„Zarówno my, jak i siostry byliśmy jak astronauci, którzy szykowali się na tę misję od lat – niepewni załogi, z którą przyjdzie nam ruszyć, aż do dziś" – pisze Horowitz. Pierwsza grupa pięciu śmiałków: trzech mężczyzn i dwie kobiety ruszyła do klasztoru Mercy Center w Burlingame w Kalifornii. Mieli w nim zostać od listopada 2018 do maja 2019.

Zakochani w dyscyplinie

Choć rano udawali się do swojej normalnej pracy, to wieczory, weekendy i święta spędzali w klasztorze. To wystarczyło, by doświadczenie pobytu we wspólnocie, jej rytmu modlitwy i odpoczynku, a przede wszystkim dyscypliny radykalnie wpłynęło na perspektywę uczestników pilotażowego pobytu. Siostra Patsy Harney w reportażu „New York Timesa", który relacjonuje to wyjątkowe przedsięwzięcie, wspomina, że uderzyły ją pytania zadawane przez milenialsów. „Młodzi cały czas chcieli rozmawiać o... ślubach zakonnych. Spędzali dosłownie całe dnie na lekturze reguły wspólnoty. Przykleili się do niej. Szukali tajemniczej przyprawy, która daje smak naszym działaniom" – mówi zakonnica.

„To radykalne, cholernie twarde kobiety, które poświęciły swoje życie dla sprawiedliwości" – opowiada z drugiej strony Sarah Bradley, jedna z uczestniczek projektu, na co dzień aktywistka społeczna. Dzięki pobytowi we wspólnocie zakonnej doceniła czystość seksualną. „Zdałam sobie sprawę, że jest zaproszeniem do właściwego związku i nie chodzi tu wyłącznie o celibat. W czasach #MeToo potrzebujemy właściwych relacji. Potrzebujemy wiedzieć, czym jest szacunek względem osobowości drugiego człowieka i siebie samego oraz co to znaczy być wiedzionym przez miłość, a nie egoistyczne potrzeby" – opowiada działaczka.

ADAM HOROWITZ:

Zarówno my, jak i siostry byliśmy jak astronauci, którzy szykowali się na tę misję od lat – niepewni załogi, z którą przyjdzie nam ruszyć, aż do dziś.

Uczestnicy pokochali rytualizm obecny w powtarzalnych codziennych aktywnościach starszych sióstr. „Wielu milenialsów powtarzało: »szukam rytuałów, by pracować w mojej lesbijskiej społeczności« albo »potrzebuję rytuałów, by robić to czy tamto«" – wspomina siostra Carle. Jedna z uczestniczek projektu tak bardzo poszukiwała elementu stałości w swoim świecie, że choć sama identyfikuje się jako osoba niewierząca, to zaczęła regularnie uczestniczyć w codziennej mszy wraz z siostrami. Na innych działało klasztorne ubóstwo czy posłuszeństwo, wzywające do wysłuchania drugiego człowieka i nawiązania z nim dialogu. W świecie pozbawionym zewnętrznego celu wyznaczenie go sobie samodzielnie, a następnie utrzymanie rygoru to nieraz nadludzkie zadanie.

„To może brzmieć jak słuchanie rozkazów, ale siostry pomogły mi zrozumieć posłuszeństwo jako przygotowanie mojego serca na dialog i głębokie wsłuchanie się w prawdę" – wspomina Sarah. Choć pobyt piątki pionierów skończył się w maju, jego owocem jest społeczność będąca płaszczyzną codziennej wymiany doświadczeń dwóch różnych światów. Jej uczestnicy z obu stron – tej klasztornej i „światowej" – podkreślają w opublikowanych wspomnieniach, ile sobie wzajemnie zawdzięczają.

Obecnie organizatorzy projektu powiększają zespół i starają się udzielać wsparcia lokalnym, zawiązującym się spontanicznie grupom dyskusyjnym, które zrzeszają świeckich i zakonnice. Tak jak w przypadku grupy Horowitza, zaczyna się od spotkania i rozmowy. Grupy działają nieco partyzancko i eksperymentalnie, ale zachęcają wspólnoty zakonne do otwierania drzwi na milenialsów i na kolejne pobyty, a zakonnice są zainteresowane obecnością młodych w murach klasztoru.

Przykładem jest historia Katie Gordon, jednej z animatorek „Nuns and Nones" i dziennikarki radiowej. Katie nagrywa podcasty i przemierza Stany w poszukiwaniu wspólnot, które otwarłyby przed nią drzwi. Dzięki temu w czerwcu tego roku spędziła kilka dni w klasztorze Mount St. Benedict w Erie w Pensylwanii. „Porzuciłam Kościół katolicki w wieku 14 lat i w pewnym sensie ta decyzja spowodowała, że zaczęłam poszukiwać. (...) Klasztor to ostatnie miejsce, o którym pomyślałabym jako o domu, ale zanurzenie się w tradycji benedyktyńskiej pokazało mi, czego milenialsi, tacy jak ja, mogą się nauczyć z monastycyzmu" – mówi dziennikarka. Nie jest w tym sama, bo siostry przyciągają coraz więcej młodych kobiet, które pragną włączyć się w życie tej wspólnoty, a wokół benedyktynek zaczęła organizować się wspólnota świeckich.

Brat

„Im więcej czasu spędzam w klasztorach, tym bardziej znajduję powołanie do tego, by pogłębić nie tylko swoją wiedzę, ale i praktykę judaizmu. A im więcej czasu spędzam z siostrami i z rabinami, tym bardziej czuję się zaproszony do zbadania i wcielenia w życie mistycznych prawd, które znajdują się w sercu każdej tradycji religijnej" – pisze Adam Horowitz.

Gdy niedawno przybył do klasztoru, w którym nie znał furtianki, siostra zapytała go: „To co, myślisz, żeby zostać księdzem?". „Nie..." – pokręcił niepewnie głową. „Acha, przepraszam, rabinem!" – spróbowała ponownie zakonnica. „Nie, raczej nie. Ale może bratem" – odpowiedział Horowitz. „Brat" – to nim stał się w trakcie tej nieprzewidywalnej podróży.

© KAROL KLECZKA

SZYMON

Hołownia:
Hodowanie prałata

Mądry ksiądz, z którym rozmawiałem o kryzysie toczącym nasz Kościół, zwrócił moją uwagę na to, jak bardzo w historii relacji Boga z ludźmi prawie wszystko już było (choć nam się wydaje, rzecz jasna, że to wszystko dzieje się po raz pierwszy). W Starym Testamencie, gdy Lud Wybrany odmawiał oczyszczenia się z przewrotności, Bóg i tak go z nich oczyszczał, tyle że rękami pogan. Terminu „poganin" chcę użyć tu nie w jakimś pejoratywnym sensie – to po prostu ktoś spoza wspólnoty, patrzący na nią z zewnątrz. Czy tej właśnie roli nie spełnił Tomek Sekielski i jego wstrząsający film pokazujący, jak blisko i jak głęboko w naszych strukturach ukrywała się przez lata obrzydliwa pedofilia? Czy dokładnie tym samym – ludźmi przychodzącymi z zewnątrz, by oczyścić coś, co powinniśmy oczyścić my – nie są reporterzy Piotr Głuchowski i Bożena Aksamit (zmarła podczas pracy nad tą książką), autorzy „Uzurpatora", wydanej w tych dniach, wstrząsającej do głębi biografii jednej z ikon polskiego katolicyzmu lat Solidarności i początków wolnej Polski, prałata Henryka Jankowskiego?

Przeczytałem tę książkę jednym tchem. A później musiałem odchorować. Bo naprawdę ciężko powstrzymać odruch wymiotny, gdy czyta się zeznania osób oskarżających prałata o gwałcenie ich, gdy były małymi dziećmi. Gdy wraz z autorami śledzi się losy młodocianych faworytów proboszcza świętej Brygidy, którzy dzielili z nim łoże (bo przecież w nocy może trzeba będzie mu podać leki albo telefon, gdy zadzwoni ktoś ze Stanów – każdy tak robi, nieprawdaż?). Historie o służących prasujących ozdobioną kwiatkami i serduszkami bieliznę księdza, które żartując zastanawiają się, w których majtkach ksiądz uprawia seks, po czym z przerażeniem odkrywają, że prałat stoi obok, słyszy ich rozmowę i niezrażony odpowiada, że zawsze w tych w serduszka.

Tak, wiem, prokuratura dotąd zawsze wszystko mu umarzała. Gdy dostawała – ocenione przez psychologów jako autentyczne – zeznania wykorzystanych dzieci, gdy chodziło o antysemickie i nienawistne kazania, samowole budowlane, fałszowanie dokumentów, posiadanie amunicji. „Nie ma bata na prałata". Ciężar poszlak prezentowanych przez Aksamit i Głuchowskiego każe zadać pytanie nie tylko o to, kogo z tzw. szeregowych obywateli, którego dotknęłoby choć jedno z takich oskarżeń, nie spotkałyby konsekwencje, które Jankowskiego nawet nie zamierzały musnąć. Rodzi też pytanie zgoła inne: jak polski katolik ma się nie schować ze wstydu pod stół, czytając o księdzu, który – jak pokazują reporterzy – wynajduje sobie ministrantów z biednych rodzin, ich matki znieczula oferując pracę u siebie (a one bywają zachwycone tym, że tak wspaniała osoba zwróciła uwagę właśnie na ich synka), po czym – za pieniądze podarowane przez dobrych ludzi na pomoc walczącym z komuną Polakom – deprawuje, doprowadzając do tego, że kończą jako męskie prostytutki, narkomani, osoby o kompletnie zdezintegrowanej osobowości? O księdzu hołubionym jednocześnie przez tylu kościelnych dostojników, szanowanych – również przeze mnie – polityków, dziennikarzy, biznesmenów, intelektualistów.

„Uzurpator" to dla mnie bowiem w pierwszym rzędzie wcale nie opowieść o autobiograficznych kłamstwach księdza Jankowskiego (ukrywającego niemieckie korzenie, dorabiającego sobie heroiczne wątki), o jego opisanej w publikacjach IPN współpracy z SB (pod pseudonimem „Delegat") i rozgrywaniu przywództwa Solidarności zgodnie z wytycznymi prowadzących oficerów, to nie tylko relacja o faraońskim stylu życia, o uginających się od bażantów i szczupaków stołach, gdańskich meblach, kolekcji fikuśnych sutann, lśniących mercedesach, kolekcjonowanych z dziecięcą pasją orderach. To nawet nie – swoją drogą fascynująca – opowieść o człowieku specyficznego formatu (który potrafił publicznie zapytać kobietę: „Laskę już robiłaś?", a dziennikarza: „Pokazać fiuta?"), który wyłącznie dzięki smykałce do interesów (bo nie był to ani charyzmatyczny mówca, ani intelektualista) robi karierę w lokalnym Kościele, a następnie w obywatelskim ruchu rodzącym się wtedy w kraju awansuje do patriotycznego ikonostasu, obok świętego Stanisława czy księdza Popiełuszki. A – po tym, jak Gdańsk przenosi się do Warszawy – odstawiony na boczny tor (bo nie zostaje biskupem polowym, o czym marzył), odreagowuje frustrację przez nakręcanie antysemickich, antybrukselskich i antyliberalnych fobii. Wreszcie – wikła się w absurdalne interesy, wiąże ze sprytniejszymi od niego drapieżnikami. Na koniec – bankrutuje (choć doczeka się i rehabilitacji, gdy do Gdańska trafi w charakterze metropolity abp Sławoj Leszek Głódź).

Książka Bożeny i Piotra to dla mnie nie tyle biografia złego człowieka (bo Jankowski, choć dopuścił się nieprzytomnych ilości zła, potrafił też okazać hojność, przyjaźń; są ludzie, którym nie można nie wierzyć, gdy mówią, że tak właśnie było). To przede wszystkim porażające oskarżenie ludzi dobrych, prawych, szlachetnych. Którzy doskonale widzieli nie tylko jego absurdalne bogactwo, ale nade wszystko to, że u prałata po pokojach kręcą się służący – dzieci, wymuskani nad miarę chłopcy, z którymi ma raczej niezdrowe relacje (pisano o tym, o czym wspomina Głuchowski, w reportażu w „Wyborczej" w 1993 r. w charakterze obserwacji, ciekawostki – i co? i nic). Którzy dziś mówią: „no przecież nikt nie myślał, że to aż tak". Którzy pochłonięci konspiracyjną robotą, ale i znieczuleni wonią innego świata, do którego zapraszał ich mający kieszenie wypchane dojczmarkami duchowny, rozdający przyjeżdżające TIR-ami dary, załatwiający leki ich dzieciom, zgodzili się wewnętrznie na to, by grzech i zło przekwalifikować na – jakże ludzkie – „słabości". Nobliści, wielcy działacze opozycji, tuzy wolnych mediów, gdańscy samorządowcy, przedsiębiorcy, poprzednik metropolity Głódzia, niby pohukujący, ale faktycznie okazujący, że jest wobec niego bezradny. Jankowski nie byłby nigdy tym, kim był, gdyby oni mu na to nie pozwolili swoją wystudiowaną czy autentyczną nieuważnością, nagłym brakiem cywilnej odwagi. To oni go stworzyli, oni go podlewali, on zrobił tylko to, co sam mógł – po prostu między nimi wyrósł. ©

ŚWIAT

ZACHODNIA WOJNA DOMOWA

Brexit to brytyjska odmiana konfliktu kulturowego, który trwa dziś w wielu miejscach Zachodu. Tożsamość liczy się w nim bardziej niż argumenty.

DARIUSZ ROSIAK

To jeszcze nie koniec, jeszcze długo nie. Ani wygrana posłów z Borisem Johnsonem w Izbie Gmin, ani orzeczenie sądu, który uznał zawieszenie parlamentu za niezgodne z prawem, nie kończą brexitowej sagi. Jakiekolwiek byłoby orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie legalności działań Johnsona – miało ono zapaść już po wysłaniu tego numeru „Tygodnika" do druku – brexit uruchomił procesy, które zmieniają brytyjską politykę. Oraz, paradoksalnie, upodobniają ją do wielu państw kontynentalnych.

W Wielkiej Brytanii następuje obecnie kluczowa zmiana społeczno-polityczna, której brexit jest tylko zewnętrznym symptomem. Tak jak rządy Kaczyńskiego w Polsce, Orbána na Węgrzech, Trumpa w USA, popularność Salviniego we Włoszech i innych polityków zwanych populistycznymi w różnych krajach Zachodu są symptomami zmian, oczekiwanych i popieranych przez całe rzesze mieszkańców Europy i Ameryki Północnej. A także znienawidzonych przez równie wielkie rzesze ich przeciwników.

Brexit jest brytyjską odmianą wojny kulturowej, toczonej dziś w wielu miejscach świata Zachodu. Tożsamość liczy się w niej bardziej niż argumenty. Jeśli wspierasz brexit (nieważne: z umową „rozwodową" czy bez), to prawdopodobnie nie mieszkasz w Londynie, nie jesteś wykształcony, nie zarabiasz kokosów i nie masz przed sobą długich lat życia. Jeśli chcesz zmienić werdykt wydany przez (nieznaczną większość) Brytyjczyków w czerwcu 2016 r., to pewnie czytasz „Guardiana", uznajesz Johnsona za uzurpatora, a głosujących na brexit za ciemniaków, którzy nie wiedzą, co dla nich dobre. Albo jesteś z nami, albo przeciw nam. Jeśli przeciw, to nieważne, jakie są twoje poglądy na gospodarkę, edukację i podatki.

Brexit unieważnia politykę. W każdym razie politykę, która działała w Zjednoczonym Królestwie przez ostatnie dekady, a nawet wieki.

Z dystansem do świata (i siebie)

Na pierwszy rzut oka Wielka Brytania jest państwem najmniej nadającym się na pole wojny kulturowej. Najlepiej bowiem rozwija się ona w narodach rozemocjonowanych, podatnych na ideologie, pełnych kompleksów, które politykom łatwo przerobić na głosy.

Tymczasem zbytnia emocjonalność jest w Wielkiej Brytanii traktowana jak ułomność: tradycyjnie ceni się tu bardziej ironię i celny żart aniżeli toczenie piany albo płaczliwe jeremiady. Niektórzy do dziś czują niesmak w związku z histerią, jaka ogarnęła kraj po śmierci księżnej Diany w 1997 r.

Wskutek podejścia nacechowanego dystansem do świata i samych siebie Brytyjczykom w zasadzie obca jest skłonność do gnębienia ludzi o niesłusznych poglądach. Ich partie przez wieki były koalicyjnymi konglomeratami ludzi o różnych przekonaniach, ich polityka zawsze wychodziła z centrum. Brytyjczycy bardziej cenili polityków, których motywowały raczej moralna przyzwoitość i dążenie do realizacji pragmatycznych celów niż zagłębianie się w jałowe spekulacje na tematy ogólne. Nie można było wygrać tu wyborów odwołując się do skrajnych postaw, bo skrajni to byli komuniści, faszyści i Official Monster Raving Loony Party (Oficjalna Partia Czubów Szalejącego Potwora); z całej tej trójki ci ostatni cieszyli się zresztą największym powodzeniem.

Zapewne dzięki takiej postawie Brytyjczycy uniknęli plag ideologicznych wieku XX. Jak mówił myśliciel i wykładowca z Cambridge George Steiner, cytowany w książce Jeremy'ego Paxmana „An-

DANIEL LEAL-OLIVAS / AFP / EAST NEWS

Satyryk Kaya Mar z jedną ze swoich najnowszych prac; przedstawia ona Borisa Johnsona kryjącego się za królową, która walczy z przewodniczącym Izby Gmin Johnem Bercowem, Londyn, 3 września 2019 r.

glicy. Opis przypadku": „ta ziemia została pobłogosławiona potęgą umysłowej miernoty. Nie zależy wam na ideach do tego stopnia, by cierpieć ich konsekwencje".

Konserwatyści z natury

Nawet jeśli ich prawo nawet wynika z idealistycznych pobudek, to przekutych w pragmatyczne rozwiązania. Brytyjski system konstytucyjny (właściwie angielsko-walijski, bo Szkoci mają oddzielny i Irlandczycy z Ulsteru w dużej mierze też) oparty jest na zasadzie precedensów: jeśli coś nie działa albo wymaga poprawy, większość parlamentarna ustanawia nowe prawo. Nie ma ogólnonarodowych debat ani odwołań do abstrakcji. Nie ma nawet spisanej ustawy zasadniczej, opartej na ideowych podstawach. Debata publiczna też nie toczy się wokół tematów górnolotnych i skomplikowanych – raczej dotyczy pragmatycznych detali, z których składa się codzienne życie.

W Wielkiej Brytanii od XVII w. nie było rewolucji. Jeśli zdarzają się dramatyczne zajścia uliczne, jak w Brixton w 1981 r. czy w Tottenham w 2011 r., to przez kolejne dekady są one rozpamiętywane jak anomalie pogodowe, jak huragan, który nieoczekiwanie przeszedł przez Wyspy. Wyjątkiem jest Irlandia Północna: wojna wokół statusu konstytucyjnego tego kraju pochłonęła tysiące ofiar i częściowo burzy mit o flegmatycznych i wyluzowanych Wyspiarzach. Częściowo, bo dotyczy Irlandii, a Irlandczycy to jednak nie Brytyjczycy.

Londyn to nie Paryż z płonącymi przedmieściami, Brytyjczycy nie napadają na właścicieli lepszych aut dlatego, że za mało zarabiają, ani nie mordują się nawzajem w imię wolności, równości i braterstwa. Są z natury konserwatystami – nawet ich największa rewolucja drugiej połowy wieku XX została przeprowadzona przez konserwatystkę. Uznawano ją za symbol rozpasanego liberalizmu, ale ulubionym zwrotem Margaret Thatcher było: „Nie tylko wolność, ale wolność na gruncie prawa".

Odcienie szarości

Referendum brexitowe uruchomiło mechanizmy, które modyfikują polityczne i społeczne DNA Zjednoczonego Królestwa. Johnson – prący jak buldożer, przekonany o swej wielkości, gotów wszelkimi sposobami osiągnąć cel – jest idealnym premierem na ten czas właśnie dlatego, że doskonale uosabia ten zwrot. Nie jest to w żadnym razie wartościująca ocena jego działań – za upadek polityki brytyjskiej w dotychczasowym kształcie odpowiadają obie strony kulturowej wojny. Nawet jeśli ta druga, opozycyjna, wygląda (zwłaszcza z zagranicy) atrakcyjniej.

Weźmy procedury zastosowane przez posłów w Izbie Gmin – w większości mediów przedstawiane jako jednoznacznie usprawiedliwione. Tymczasem równie ↦

dobrze można bronić tezy, że przejęcie przez posłów kontroli nad procedurami parlamentarnymi jest sprzeczne z brytyjską konwencją i niedemokratyczne. W brytyjskiej tradycji to rząd ustala porządek głosowań w Izbie Gmin i fakt, że przewodniczący Izby John Bercow (skądinąd jedna z najpopularniejszych twarzy Brexitanii) pozwolił na dokonanie wyrwy w tej tradycji, można traktować jako skandal. Podobnie kuriozalne z punktu widzenia dotychczasowej praktyki jest wyznaczenie przez posłów sposobu negocjowania przez rząd umowy i sposobu wyjścia z Unii.

Ubezwłasnowolnienie Johnsona w relacjach z Brukselą jest zresztą ewenementem nie tylko na skalę brytyjską – żaden rząd nie spowiada się posłom z każdego kroku podejmowanego w międzynarodowych negocjacjach, a to właśnie wymusili brytyjscy parlamentarzyści na rządzie Johnsona. Jeśli dodamy do tego fakt, że na 650 posłów czterystu reprezentuje okręgi, które głosowały za brexitem, a mimo to nie znaleziono jak dotąd w Izbie Gmin większości za przeprowadzeniem go w jakiejkolwiek formie – to biało-czarny podział, na demokratyczną Izbę Gmin i antydemokratycznego Johnsona, nabiera odcieni szarości.

Oczywiście, naczelnym argumentem zwolenników pozostania Wielkiej Brytanii w Unii jest przekonanie, że wyborcy nie wiedzieli, za czym głosują w 2016 r. (ponoć na pewno nie głosowali za twardym brexitem – wyjściem Londynu bez umowy), teraz zaś wiedzą i zmienili zdanie, a zatem należy uszanować ich demokratyczną wolę. I skoro Johnson nie przebiera w środkach, by wyprowadzić kraj z Unii 31 października, to posłowie jedynie przechytrzyli premiera w interesie narodu.

Nowa jakość debaty

W tym rozumowaniu opozycji, podchwyconym przez niektóre media, kryje się jednak kilka założeń wysoce dyskusyjnych. Po pierwsze, żadne sondaże nie potwierdzają dramatycznej zmiany postaw Brytyjczyków. Cytowane są anegdotyczne przykłady zwolenników brexitu, którzy zrozumieli swój błąd, pokazywane są marsze tysięcy ludzi w poparciu dla drugiego referendum. Ale równie obficie można cytować dawnych przeciwników brexitu, którzy zmienili zdanie. Sondaże nie są wyznacznikiem czegokolwiek – tuż przed referendum zwolennicy pozostania w Unii prowadzili kilkoma punktami.

> Referendum brexitowe jest jak puszka, z której przez ponad trzy lata wychodzą coraz większe robaki. Rozłażą się wszędzie, zatruwają ludziom życie **i jak dotąd nie znalazł się dezynfektor, który by je wytłukł.**

Najczęstszą reakcją na brexit jest zmęczenie. Gazety nie chcą o nim pisać, ale muszą. Ludzie nie chcą o tym myśleć, marzą raczej: niech to się wreszcie skończy. Niech politycy coś zdecydują – w jedną albo drugą stronę. Referendum brexitowe z 2016 r. jest jak puszka, z której przez ponad trzy lata wychodzą coraz większe, coraz bardziej powykręcane robaki. Rozłażą się wszędzie, zatruwają ludziom życie i jak dotąd nie znalazł się dezynfektor, który by je wytłukł.

Obrona Brytyjczyków przed brexitem jest też obraźliwa wobec ponad siedemnastu i pół miliona ludzi, którzy głosowali za wyjściem z Unii. Niewykluczone, że dokładnie wiedzieli, za czym głosują: za odejściem od polityki obecnej w Wielkiej Brytanii od poprzedniego wielkiego przesilenia w końcu lat 70. XX w., kiedy to ogromna potrzeba zmiany – po dramatycznym kryzysie, spowodowanym rządami Partii Pracy zaowocowała thatcherowską rewolucją. Od tego czasu kształtował się porządek przejęty przez kolejnych premierów i rządy – bez względu na ich barwy i cenę, którą trzeba było płacić za utrzymanie *status quo*. Ten porządek wyznaczały słynne słowa pani Thatcher: „There is no alternative" („nie ma alternatywy"). Być może w jej czasach nie było, ale niemożliwe, żeby nie było alternatywy przez kolejnych 30 lat.

Być może w czerwcu 2016 r. Brytyjczycy całkowicie świadomie pokazali establishmentowi środkowy palec. Może był to głos za odejściem od prowadzonej przez kolejne dekady polityki zaciskania pasa, oszczędności na programach społecznych, niekontrolowanej imigracji, a przede wszystkim poczucia, że Unia Europejska zbyt silnie ingeruje w ich życie.

Nieważne, czy tak było w istocie – są poważne argumenty na korzyść członkostwa w Unii. Jednak przed tym głosowaniem argumenty zwolenników członkostwa nie przekonały większości Brytyjczyków, a do dziś debata wokół brexitu nacechowana jest kłamstwami, manipulacją i przesadą. Czyli wszystkimi cechami polityki tożsamościowej, która stanowi paliwo napędzające wojnę kulturową.

Demony nie odejdą

Brytyjczycy czekają na przerwanie brexitowego klinczu. Zapewne takie przełamanie nastąpi, choć nie wiadomo, kiedy to się stanie. Prawdopodobnie jeszcze w tym roku Wielką Brytanię czekają wybory; niewykluczone, że Johnson rzeczywiście okaże się najkrócej urzędującym premierem w brytyjskiej historii.

Kampania przed tymi wyborami będzie agresywna, oby tylko w politycznym sensie. Emocje, które wyzwoliły się wśród Brytyjczyków przez ostatnie trzy lata, nie wyparują, a pamiętajmy, że w kampanii przed brexitem zabito człowieka: na tydzień przed referendum skrajnie prawicowy aktywista zamordował posłankę do Izby Gmin Jo Cox, zwolenniczkę pozostania Wielkiej Brytanii w Unii. Na schodach miejskiej biblioteki w miasteczku Birstall w północnej Anglii strzelił do niej trzy razy, a potem ugodził ją nożem krzycząc: „To dla Wielkiej Brytanii!".

Bez względu na to, kto będzie rządził krajem, brytyjska polityka traci swoją odrębność i staje się podobna do reszty zachodniego świata. Co jest paradoksem: przecież Brytyjczycy wychodzą z Europy po to, by odzyskać kontrolę na swoim losem i kształtować go w sposób indywidualny.

Tymczasem w praktyce mają wybór między Johnsonem – byłym dziennikarzem, który zbudował swoją karierę m.in. na kłamstwach i manipulacjach w sprawie Unii Europejskiej – a Jeremym Corbynem: zadeklarowanym marksistą i zwolennikiem nacjonalizacji, uwikłanym w oskarżenia o antysemityzm. Dwie skrajności w kraju, który przez wieki od skrajności stronił.

Brexit pewnie kiedyś nastąpi, ale demony, które uwolnił, nie odejdą.

© DARIUSZ ROSIAK

Lesbos jest zmęczone

SONIA NANDZIK, AKTYWISTKA:

Do dziś Grekom wydaje się, że ich kraj nie może wyjść z kryzysu, bo są tu uchodźcy.

SONIA NANDZIK

Warsztaty medialne w obozie Moria, wrzesień 2018 r.

MARCIN ŻYŁA: Na Lesbos, grecką wyspę na Morzu Egejskim, znów przypływają uchodźcy i migranci. 29 sierpnia, w ciągu zaledwie godziny, dotarło tu 13 pontonów z 546 osobami. Skąd ten wzrost?

SONIA NANDZIK: Wsród nas, pracujących z uchodźcami, nie ma wątpliwości. To efekt poluzowania kontroli po stronie tureckiej i sygnał dla Europy od prezydenta Erdoğana: „Jeśli Unia nie przeznaczy dla nas nowych funduszy, mogę znów wywołać kryzys".

Dotąd większość łodzi zatrzymywała turecka straż przybrzeżna. Często przemocą – ktoś umieścił na YouTubie film, na którym widać, jak żołnierze okładają kijami pasażerów, w tym dzieci. Frontex, unijna agencja ds. ochrony granic, stara się nie dopuścić, aby pontony wpłynęły na greckie wody, ale gdy już się to stanie, eskortuje je do wybrzeża.

Sytuacja jest najgorsza od lat?

Kiedy w 2015 r. zaczął się kryzys uchodźczy, każdego, kto tu trafiał, szybko przewożono do kontynentalnej Grecji. Teraz w trzech obozach wokół 35-tysięcznej Mityleny, stolicy Lesbos, mieszka ok. 12 tys. uchodźców. Największy i najbardziej znany to obóz Moria, dziś bardzo przepełniony. Drugi nazywa się Kara Tepe. Tu sytuacja jest lepsza: obóz jest sprzątany, rodziny żyją w kontenerach, dzieci są szczepione i chodzą do szkoły. Mieszka w nim ok. 1,4 tys. ludzi. Jest też obóz Pikpa, dla uchodźców narażonych na przemoc, m.in. osób LGBT.

Uchodźcy mieszkają też w gajach oliwnych. Jedna z organizacji dostarczyła niedawno maty do jogi, aby nie spali na gołej ziemi. Teraz przybyło tu tak wiele osób, że brakuje jedzenia i ludzi do pomocy.

Greckie służby są uszczuplone. Nie ma pieniędzy, aby monitorować sytuację nocą.

Po dwudziestej dzieją się rzeczy straszne. Kwitnie prostytucja, dochodzi do bójek, co 2-3 dni ktoś jest dźgany nożem. Dwa tygodnie temu zginął tak 16-letni Afgańczyk. Drugi chłopak, który brał udział w tej samej bójce, zmarł w szpitalu.

Kiedy zaczynają się walki, policja i wojsko pierwsze opuszczają obóz. Niedawno zamieszki wybuchły w dzień, gdy młodzież bez rodziców zażądała przeniesienia na kontynent. Policja od razu zareagowała gazem łzawiącym. Warunki panujące w Morii wyzwalają niestety złe emocje. Na jedną toaletę przypada 80 osób. To musi generować przemoc.

Skąd pochodzą uchodźcy i migranci?

75 proc. przyjechało z Afganistanu, 6 proc. z Demokratycznej Republiki Konga, 5 proc. z Syrii. Każdy jest poddawany indywidualnej procedurze. Urzędników i tłumaczy jest jednak za mało. Nawet ci, którzy są na wyspie długo, dostają informację, że rozmowa odbędzie się za kilka miesięcy.

O procedurze azylowej można opowiedzieć za pomocą pieczątek, które zbierają uchodźcy. Najpierw dostają dokument z czerwonym stemplem – potwierdzenie, że trwa procedura azylowa, która nie pozwala na opuszczenie wyspy. Czarna pieczątka oznacza, że wolno im poruszać się po całej Grecji. Małą niebieską otrzymują osoby szczególnie narażone na ryzyko. Jeśli uchodźca dostanie azyl, potwierdzeniem jest duża niebieska pieczątka.

Ci, którzy teraz dotarli na Lesbos, zostaną co najmniej rok. Może dostaną pozwolenie wyjazdu z wyspy, ale z adnotacją, że będą musieli wrócić na wywiad – już na własny koszt.

Jak reagują mieszkańcy Lesbos?

Są zmęczeni sytuacją, jakby uśpieni. Nasza organizacja, ReFOCUS Media Labs, uczy uchodźców produkcji medialnej: inżynierii dźwięku, fotografii, grafiki komputerowej. Chcielibyśmy, aby z nowymi umiejętnościami mogli wesprzeć lokalną gospodarkę. Ale trudno nam nawiązać współpracę z restauracjami czy hotelami.

Dlaczego?

Kiedy w 2015 r., równolegle z uchodźczym, zaczął się kryzys gospodarczy, obniżono płace, zablokowano bankomaty. Dziś niektórym Grekom wydaje się, że kraj nie może wyjść z zapaści, ponieważ są uchodźcy. Panuje niepewność. Kiedy na przełomie miesiąca ONZ wypłaca uchodźcom po 90 euro na utrzymanie, przed bankomatami ustawiają się kolejki. Potem wypłatę dostają Grecy. Oni też wolą podjąć gotówkę – trauma po kryzysie jest za duża, by ufali państwu. ©

ARCHIWUM PRYWATNE

SONIA NANDZIK *jest założycielką fundacji ReFOCUS Media Labs, zajmującej się edukacją uchodźców. Prowadziła projekty w Serbii, Maroku i Bangladeszu, obecnie pracuje na Lesbos.*

Bar i sklep Sine's 5 and 10 Cents w Quakertown, Pensylwania, sierpień 2019 r.

Kiedyś wszyscy chodzili do Sine's

TEKST I ZDJĘCIA: **JAN SMOLEŃSKI** Z QUAKERTOWN (PENSYLWANIA, USA)

Tak przynajmniej twierdzi Becky. Nawet jeśli przesadza, to prawdą jest, że miał tu kto przychodzić. Centrum miasta tętniło życiem.

Becky przygląda się rzędowi kilkudziesięciu wiszących na haczykach kubków.

– Który z nich należy do Nancy Cygan? – pyta. – Chciałabym jej zostawić wiadomość.

Krzątająca się za ladą Linda bez zawahania zdejmuje jedno z naczyń i podaje Becky.

Chwilę wcześniej żartobliwie zrugała Richarda, który strącił za ladę plastikowy kubek. Linda może sobie pozwolić na takie połajanki, bo Richard – podobnie jak Nancy Cygan (jej nazwisko wymawia się „Sajgan") – to stali klienci. A Linda, z kilkoma dekadami pracy w Sine's na karku, zna dobrze ich wszystkich.

Prawda jest taka, że inni coraz rzadziej przychodzą.

Dwa centy za sztukę

Sine's 5 and 10 Cents Store – zwany Sine's 5 and 10 (*five and dime; dime* od potocznej nazwy dziesięciocentówki) lub po prostu Sine's – to rodzinny sklep z mydłem i powidłem w kilkutysięcznym miasteczku Quakertown w Pensylwanii. To także miejsce, które zatrzymało się w czasie.

Po prawej stronie od głównego wejścia znajduje się oklejona zielonym laminatem lada lunchowa, *lunch counter*. Nazwa trochę myląca, bo w Sine's zjeść można nie tylko lunch (od godziny 11 do 14 – kanapki i burgery), ale też śniadanie (od 8 do 10.45 – głównie jajka smażone pod różnymi postaciami). Lody i napoje gazowane serwują, jak głosi przypięta nad półkami za ladą kartka, cały dzień.

Pocztówki z rysowanymi widokami Quakertown, przedstawiającymi m.in. stary budynek poczty i kino Karlton.

Za ladą stoi zamykany piecyk, ten sam od 63 lat (nie ma już do niego części zamiennych). Na ścianie wisi kilkadziesiąt kubków stałych klientów, które Linda i pracujący z nią w Sine's brat Bill Junior – tak naprawdę nie taki junior, o czym przypominają siwe włosy – bezbłędnie rozpoznają. Wzdłuż lady przytwierdzono do ziemi obciągnięte sztuczną skórą okrągłe taborety. Na końcu blatu stoi stara wielka beczka z piwem korzennym – napojem gazowanym na bazie sasafrasu, smakującym jak lekko gazowany, rozwodniony syrop na kaszel.

Za końcem lady, po lewej, jest przejście do sąsiedniego pomieszczenia, pełniącego rolę swego rodzaju muzeum z pamiątkami. Na ścianie wisi tu kolekcja starych szyldów reklamowych – hot dog i cola za 50 centów, a hamburger z napojem za 75 – a pod sufitem i w gablotach kilka starych mundurów szkolnych orkiestr marszowych i kurtek szkolnych zespołów sportowych. Poza tym można znaleźć stare narzędzia i przedmioty kuchenne, a na tyłach pomieszczenia wystawione są przez cały rok ozdoby bożonarodzeniowe.

Na lewo od głównego wejścia rozciąga się sklep. Można w nim kupić wszystko, od cukierków-mordoklejek (po dwa centy za sztukę), przez nitki i igły, narzędzia do pracy w domu i ogrodzie, garnki oraz talerze, aż po pończochy, długopisy, zeszyty czy zabawki.

Na półkach sporo wolnego miejsca, jakby od dawna nie dokładano towaru. Na wielu artykułach osiadła gruba warstwa kurzu. Siatki do upinania włosów – obowiązkowa rzecz każdej szanującej się pani domu z lat 50. i 60. XX w. – muszą tu leżeć nieruszone od kilku dekad, bo ich opakowania spłowiały, choć promienie słońca nie miały szans na nie paść.

Obok można znaleźć staromodne fartuchy do gotowania – żółte i niebieskie, z wzorami w małe kwiatki. Becky mówi, że podobne nosiła jej babcia. Tuż przy fartuchach leżą ceraty na stół w czerwoną i niebieską kratkę. Na stojaku przy maszynie do dorabiania kluczy smętnie zwisają pojedyncze sztuki jeszcze niewyciętych kluczy. Obok kasy, na ścianie, pocztówki z rysowanymi widokami Quakertown, przedstawiającymi m.in. stary budynek poczty i kino Karlton. Arthur Harr, dziadek Lindy i Billa Juniora, kupił 10 tys. takich pocztówek jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku.

W sklepie co prawda jest kasa fiskalna, ale skanera kodów kreskowych nie ma.

– Na każdy towar osobno naklejamy cenę – mówi z uśmiechem Bill Junior.

O tym, że mamy rok 2019, przypominają kalendarze i notesy na rok 2020.

Gdy Becky była mała

Becky wychowała się w Quakertown. Gdy w 1972 r. wyjeżdżała na studia, obiecywała sobie, że nigdy tu nie wróci, ale słowa nie dotrzymała. Teraz mieszka 15 minut drogi od miasteczka, w osiedlu dla emerytów.

Kiedy była mała, wraz z najlepszą przyjaciółką Beth Ann odwiedzały Sine's przynajmniej raz w tygodniu.

Wtedy Sine's był największym sklepem w mieście. Założył go w 1912 r. Howard B. Sine. Znajdował się wtedy w innym miejscu, ale 14 lat później, w 1936 r., biznes rozrósł się na tyle, że trzeba było przenieść lokalizację kilka przecznic dalej – do budynku po piekarni przy Broad Street, głównej ulicy miasta.

Obecnie sklep należy do rodziny Harrów. Gdy Howard B. Sine zmarł, biznes przejęła jego jedyna córka Theresa, która w międzyczasie wyszła za Arthura Harra. To ten, który kupił 10 tys. pocztówek.

Gdy Becky i Beth Ann przychodziły wtedy do Sine's, spacerowały pomiędzy regałami zapełnionymi akcesoriami do szycia, emaliowanymi garnkami, szklanymi kubkami, tablicami informacyjnymi, młotkami, gwoździami, artykułami modelarskimi. W zasadzie, jak Becky dziś przyznaje, nigdy nic nowego się nie pojawiało, ale i tak przechadzanie się wśród sklepowych regałów było jedną z większych atrakcji w tym małym mieście.

Quakertown było na tyle małym, konserwatywnym miasteczkiem, że ludzie do dzisiaj rozpoznają się nie po tym, w którym roku kończyli szkołę średnią, lecz po tym, z którym dzieckiem z rodziny Cyganów chodzili do klasy.

Nie było to trudne, bo rodzina Cyganów, katolicy z korzeniami w okolicach Krakowa, mieli dziewiątkę dzieci. Linda kończyła szkołę z Gregiem Cyganem, a jej brat Bill z Nancy, siostrą Grega. Z kolei Becky i Beth Ann chodziły do klasy ze Steve'em Cyganem. Relacje z rodziną Cyganów łączą też roczniki. Becky wychowała się na tej samej ulicy co Nancy Lewis, ale się nie znały, bo Nancy była o cztery lata starsza. Poznały się dopiero, gdy Nancy wyszła za Mike'a Cygana i została drugą Nancy w rodzinie Cyganów. ↦

W kolejce po lunch

– Po przechadzce pomiędzy półkami zamawiałyśmy zapiekane grzanki z serem i piwo korzenne. Zawsze prosiłam też o dodatkowy boczek. Z boczkiem wszystko smakowało lepiej – wspomina Becky.

Nie zawsze dało się usiąść. W porze obiadowej była kolejka. Na przełomie lat 50. i 60. zresztą w ogóle nie było stołków, bo ruch był tak duży.

– Kiedyś za ladą pracowało pięć kobiet! – wspomina te czasy Linda. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jak na siebie nie wpadały i nie myliły tych zamówień. We dwie osoby tu przecież jest za ciasno – śmieje się.

Quakertown, choć niewielkie, przeżywało w tym okresie boom przemysłowy – tak jak większość Stanów Zjednoczonych. A zwłaszcza takie stany jak Pensylwania, należąca do tzw. Stalowego Pasa – regionu, gdzie intensywnie rozwijał się przemysł ciężki. Dziś ta część Stanów nazywana jest Pasem Rdzy.

W tamtych czasach w samym centrum miasta, przy Broad Street, niemal naprzeciwko Sine's, pracowała duża fabryka kuchenek i piecyków. W mieście było też kilka szwalni. Najbliższa znajdowała się rzut beretem na południowy wschód, kolejna w podobnej odległości, ale w przeciwnym kierunku. Dwie przecznice od Sine's funkcjonował zakład produkcji pończoch. Przy samych torach, na skrzyżowaniu Front Street i Park Avenue, znajdowała się największa fabryka cygar, zresztą jedna z wielu. Po drugiej stronie torów produkowano chipsy ziemniaczane. Kolejne zakłady przemysłowe znajdowały się naprzeciwko szkoły średniej, inne na Broad Street, kawałek od centrum, w miejscu, w którym wiktoriańskie dworki z okrągłymi wieżyczkami zastępowały nieco mniejsze, typowo robotnicze domy z gankiem.

Jak wspomina Becky, wszyscy chodzili do Sine's. Nawet jeśli trochę przesadza, to prawdą jest, że miał tu kto przychodzić. Miasto tętniło życiem. Naprzeciwko fabryki na Broad Street było kino Karlton, obok mieścił się urząd pocztowy. Była księgarnia religijna, sklep spożywczy, szewc, krawiec. Kobiety szły na zakupy, panowie do pracy, a dzieci uciekały tu przed nudą. Na filmowych ujęciach z 1968 r., udostępnianych przez Towarzystwo Historyczne z Quakertown, widać, że chodniki były pełne pieszych.

Sine's 5 and 10 Cents Store, Quakertown, Pensylwania, sierpień 2019 r.

W kolejce po lunch ustawiali się robotnicy z fabryk produkujących kuchenki i cygara, odzież i czipsy. Listonosz zawsze siadał przy końcu lady.
Gdy Becky tu wróciła, fabryk już nie było.

W kolejce po lunch ustawiali się robotnicy. Listonosz zawsze siadał przy końcu lady, zaraz obok wejścia. Oprócz nich jedli tu też pracownicy okolicznych urzędów. W mieście nie było drugiego takiego sklepu, w którym można by kupić, co dusza zapragnie.

Szczęście w nieszczęściach

Kiedy kilka lat temu Becky wróciła w okolice Quakertown, fabryk już nie było.

Tę przy Broad Street wyburzono. Na jej miejscu powstał parking supermarketu. W fabryce pończoch zrobiono siłownię *crossfit*. Szwalni już nie ma. Fabryka cygar przez lata stała pusta, obecnie odnawiają ją na lofty albo biura.

Quakertown spotkało to samo, co dziesiątki podobnych miasteczek w USA: dezindustrializacja. Produkcję ubrań przeniesiono do Azji, wytwórnie cygar również trafiły za granicę. Zatrudniające masowo zakłady przemysłowe w centrum miasta zastąpiły – potrzebujące dużo mniej pracowników – punkty usługowe, supermarket i postawione na obrzeżach chłodnie.

Przy tym wszystkim Quakertown i tak miało szczęście, bo – w przeciwieństwie do innych podobnych miasteczek – nie wyjechali stąd ludzie. Dzięki dogodnemu położeniu mieszczące się tu firmy prawnicze mogą obsługiwać stolice trzech sąsiednich hrabstw, a nawet Filadelfię, największe miasto Pensylwanii. Quakertown leży również niedaleko nieco większych ośrodków, takich jak Allentown czy Bethlehem, i może służyć za „sypialnię" dla ludzi, którzy pracują w tych miastach.

Ale kancelarie prawnicze nie zatrudniają zbyt wielu ludzi. A ci pracujący poza Quakertown, umęczeni ośmiogodzinnym dniem roboczym i kilkudziesięciominutowym powrotem do domu, myślą o łóżku bądź kanapie przed telewizorem, a nie o spacerach po Broad Street.

To odbiło się na mieście. Księgarnia chrześcijańska wciąż co prawda działa, a w dawnym kinie Karlton jest kawiarnia o tej samej nazwie, ale centrum opustoszało, a wraz z nim także Sine's. Teraz rodzinny sklep i bar ma najwięcej klientów w weekend, a nie – tak jak kiedyś – w dni powszednie.

Nie planujemy nic zmieniać

Do tego na obrzeżach Quakertown wyrosły centra handlowe z hipermarketami – takimi jak Wallmart (w całych Stanach zatrudniający półtora miliona ludzi) albo Home Depot (posiadający 2200 sklepów w Stanach, Meksyku i Kanadzie). Wybór towarów jest w nich dużo większy, a ceny niższe. Obok supermarketów po-

wstały fast foody – tam także oferta jest ciekawsza, a ceny podobne jak w Sine's. Co jednak najważniejsze: wszystkim wracającym z pracy łatwiej jest tam zrobić zakupy, bo zwyczajnie jest to po drodze.

Do tego doszły idealne dla zabieganych zakupy przez internet. Nawet Becky, choć jest już na emeryturze i ma czas, a Sine's darzy sentymentem, uwielbia Amazona, a codzienne sprawunki robi w nieco bliższym supermarkecie.

Linda i Bill Junior, którzy w Sine's pracowali od dziecka, chcieliby, żeby ich dzieci lub wnuki kiedyś przejęły rodzinny biznes. Informują o tym nawet na stronie internetowej.

Na razie jednak żadne z nich nie staje regularnie za ladą.

– Nie jest łatwo – przyznaje ze strapioną miną Bill.

Ale Sine's ma swoich wielbicieli. Co czwartek na śniadaniu spotyka się tu grupka koleżanek, które w 1959 r. kończyły liceum. Także Nancy Cygan przychodzi tu na śniadania.

W 2012 r. Sine's obchodził setne urodziny. Sprzedawano rocznicowe koszulki, kubki i pocztówki. Przywieziono „banana car" (jak nazwa wskazuje, to samochód w kształcie banana), dzieciaki mogły sobie pomalować twarze. Był też *barbershop quartet* – kwartet składający się z samych mężczyzn śpiewających *a capella*. Z okazji sto siódmych urodzin nic nie zaplanowano, ale sto dziesiąte – kto wie.

Artykuły na kolumnach turystycznych, opowiadające o hrabstwie Buck, w którym leży Quakertown, wspominają o Sine's jako tradycyjnym rodzinnym sklepie z mydłem i powidłem dla nostalgików, wzdychających za minionymi czasami.

Nie jest też tak, że Sine's kompletnie nie nadążył za duchem czasów. Sklep ma stronę internetową i profil na Facebooku. Czasami profil okazuje się bardzo przydatny, jak wtedy, gdy w sklepie siadła elektryczność w środku pory lunchu. Zazwyczaj jednak pojawiają się na nim informacje o promocjach i życzenia dla znajomych z okazji urodzin lub rocznicy ślubu.

I to by było na tyle w kwestii ustępstw. – Nie planujemy tutaj nic zmieniać – rozwiewa wątpliwości Bill.

© JAN SMOLEŃSKI

Lato miłości w państwie Kimów

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Był to widok niezwykły: na ulicach Pjongjangu grano rock and rolla i głośno domagano się wolności słowa. 30 lat temu do stolicy Korei Północnej zjechała młodzież z całego świata. Co z tego wynikło?

Można sobie wyobrazić, jak wielkie zdumienie musiało zapanować w stolicach bloku sowieckiego, gdy do organizacji Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów – sztandarowej wówczas imprezy, „wędrującej" przez kolejne kraje socjalistyczne – zgłosiła się Korea Północna.

Wcześniej kojarzyła się ona z państwem, które nieustannie prosi o wsparcie, tymczasem organizacja takiego wydarzenia wiązała się z ogromnymi kosztami. Także dlatego festiwal odbywał się nieregularnie. Po dwunastej edycji, w 1985 r. w Moskwie, władze Związku Sowieckiego uznały wręcz całe przedsięwzięcie – mimo jego walorów propagandowych – za zbyt kosztowne, aby je kontynuować.

Jednak ówczesny przywódca Północy – prawie 80-letni już Kim Ir Sen (dziadek obecnego, trzeciego już przedstawiciela dynastii Kimów) – był zdeterminowany. Wszak chodziło o honor państwa, o zachowanie twarzy: w jego przekonaniu w ten sposób Północ mogłaby przyćmić letnie igrzyska olimpijskie, które w 1988 r. odbyły się u południowego sąsiada.

Gdy w 1981 r. organizację igrzysk olimpijskich przyznano Korei Południowej, władze w Pjongjangu były oburzone. Domagały się, aby połowa konkurencji sportowych odbyła się na ich terytorium. Wprawdzie przeprowadzono w tej sprawie obustronne rozmowy, ale porozumienie okazało się niemożliwe.

Gdy dialog upadł, Korea Północna postanowiła zrobić wszystko, by przeszkodzić konkurentowi. Jednak do bojkotu rzekomo „imperialistycznej" i „faszystowskiej" olimpiady dołączyli tylko najbliżsi sojusznicy Pjongjangu, jak Kuba, Etiopia czy Albania.

Na złość sąsiadowi

Towarzysze z Północy nie zamierzali jednak odpuścić. Jak wielokrotnie w historii podzielonego Półwyspu, próbowali sterroryzować sąsiada i zasiać polityczno-społeczny zamęt.

Najbardziej tragicznym wśród tych działań było wysadzenie pasażerskiego samolotu Korean Air 858 w 1987 r., ze 115 osobami na pokładzie. Odratowana po samobójczej próbie północnokoreańska agentka Kim Hyun-hui (drugi agent nie przeżył połknięcia kapsułki z cyjankiem) ujawniła brutalne praktyki szkoleniowe wywiadu Północy, którego agenci mieli być gotowi do największych poświęceń. Zamach miał nadszarpnąć reputację Korei Południowej. Gdyby została uznana za niestabilne państwo, wielu uczestników mogłoby zrezygnować z udziału w igrzyskach. Wbrew nadziejom władców Północy, impreza okazała się jednak sukcesem.

Równocześnie z aktami dywersji Północ przygotowywała odpowiedź natury bardziej cywilizowanej. Ruszyły śmiałe inwestycje, stolica kraju zaczęła przypominać wielki plan budowy. Duet Kimów – bo oficjalnie na czele państwa wciąż stał Kim Ir Sen, ale faktyczną władzę sprawował już Kim Dzong Il, za przyzwoleniem ojca – planował we wszystkim być lepszy od Południa. Festiwal Młodzieży i Studentów w 1989 r. miał przyćmić olimpiadę.

Wybudowano więc największy stadion na świecie, mogący pomieścić 114 tys. ludzi – do dziś rekord nie został pobity. Monumentalny był też projekt hotelu Rjugjong, wysokiego na 330 metrów i też mający zdobyć trofeum najwyższego na świecie. Przedsięwzięcie okazało się jednak zbyt kosztowne, budynek w kształcie piramidy straszy do dziś. ↦

Dla gości festiwalu przeznaczono więc zbudowane od zera osiedle mieszkaniowe (dziś jest to jedna z lepszych dzielnic Pjongjangu), w którym pojawiły się przyzwoicie zaopatrzone potiomkinowskie sklepy i stołówki. Zresztą każdy sklep w stolicy otrzymał specjalny przydział towaru, przeznaczony wyłącznie dla obcokrajowców – na wypadek, gdyby któryś przez przypadek wszedł i o coś poprosił.

Szacunkowe dane mówią, że na organizację Festiwalu Młodzieży i Studentów kraj wydał jedną czwartą swojego rocznego budżetu.

Fasada i incydenty

Odzew był wielki. Na festiwal stawiły się delegacje 177 narodów – rekord ten pobiła dopiero ostatnia odsłona wydarzenia w Soczi. Było to pierwsze wizerunkowe zwycięstwo reżimu, gdyż w seulskich letnich igrzyskach udział wzięło 159 nacji.

Reżim Kimów miał pewne doświadczenie w organizacji dużych imprez sportowych i ideologicznych. Pjongjang w latach 70. XX w. przyciągał radykalnie lewicową młodzież z Europy i Ameryki, kusząc wizją socjalistycznej utopii, antyimperialistyczną retoryką, konferencjami dotyczącymi rozbrojenia nuklearnego (sic!) i tajemniczo brzmiącym słowem „dżucze" – tak w skrócie określano ideologię Kimów, polegającą na dążeniu do politycznej, ekonomicznej i militarnej samodzielności państwa; w praktyce pogłębiała ona izolację.

Studenci, którzy w 1989 r. dotarli do stolicy Korei Północnej, nie przypominali jednak ani hipisów, ani lewicowych partyzantów, ani amerykańskich „Czarnych Panter". Radykalizm okresu lewicowej kontestacji dawno się wypalił. Choć organizująca imprezę Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej miała charakter komunistyczny, dla wielu uczestników festiwalu ideologia miała niewielkie znaczenie; w podróż do egzotycznego, jak się zdawało, państwa Kimów pchała ich przede wszystkim ciekawość.

W tym czasie sowiecki porządek chwiał się już w posadach – i w Europie Środkowej, i w samym Związku Sowieckim – i trudno było wierzyć w jego ideologiczne obietnice. Krytyczne spojrzenie na socjalizm w wydaniu sowieckim było powszechne. Spodziewano się rychłych zmian również w Korei Północnej.

Młodzi ludzie nie byli skorzy tańczyć pod dyktando północnokoreańskich aparatczyków. Liczba niepożądanych incydentów zaskoczyła władze.

Muzyka, miłość, kontrola

Większość uczestników przyjechała na wiele tygodni przed rozpoczęciem festiwalu. Z ich wspomnień wyłania się obraz wielkiej spontanicznej imprezy. Szacuje się, że wzięło w niej udział 22 tys. młodych ludzi – nigdy wcześniej ani później tylu obcokrajowców nie bawiło się i nie spacerowało po ulicach Pjongjangu.

Wyjątkowa była też atmosfera. Dziennikarz Bradley K. Martin, znawca Korei, zapamiętał wszechobecnego rock and rolla. Zespoły grały w wielu miejscach miasta. Poza muzyką i sportem, młodzież dyskutowała o niedawnej masakrze na pekińskim placu Tiananmen.

Większości przybyszów nie spodobało się to, co zobaczyli w Korei Północnej. Gospodarze ponoć nie mogli uwierzyć, gdy podczas ceremonii otwarcia delegacje Włochów i Skandynawów okrążały nowo otwarty stadion z plakatami domagającymi się wolności słowa i poszanowania praw człowieka w Korei i Chinach. Północnokoreańscy studenci nie wytrzymali, gdy Duńczycy podnieśli swoje banery, zakłócając przemówienie Kim Ir Sena – na stadionie doszło do bójki.

Szybko pojawiły się kolejne powody niezadowolenia. Niekończące się mowy partyjnych notabli czy praktyki totalitarnej kontroli powodowały wśród gości irytację. Wszystkie dyskusje polityczne kontrolowano, skracano „nieodpowiednie" wystąpienia, niektóre odwoływano.

Wśród uczestników rozniosła się informacja, że do kraju nie wpuszczono reporterów amerykańskiej Associated Press. Agencja naraziła się, gdy w 1979 r. opublikowała wspomnienia Ali Lamedy – wenezuelskiego poety, który popadł w niełaskę i na siedem lat trafił do północnokoreańskiego obozu. Było to jedno z pierwszych międzynarodowych świadectw o tutejszym gułagu (w tym czasie wciąż niewiele wiedziano o skali represji na Północy). Brak przedstawicieli AP niektórzy odebrali jako potwierdzenie obaw.

Spontaniczna kontestacja

Uczestnicy festiwalu na różne sposoby próbowali kontestować reżim. Ten jednak potrafił się bronić. Po feralnym początku, w stolicy pojawili się uzbrojeni żołnierze. W miejscu, gdzie Skandynawowie ponownie próbowali przeprowadzić protest, tłum lokalnych statystów skutecznie zablokował inicjatywę. Kolejna próba skończyła się tym, że na miejsce przyjechała laweta z głośnikami, z których okrutnie głośno łomotała tradycyjna muzyka koreańska.

Ponownie plan upadł. W książce „Under the Loving Care of the Fatherly Leader" Bradley K. Martin opisuje próbę dotarcia do kwatery delegacji włoskiej, najbardziej niepokornej, w której odbywała się impreza. Po godzinie krążenia po obrzeżach miasta taksówkarz odwiózł go z powrotem do hotelu, przepraszając, że się zgubił. Bardziej aktywnej młodzieży przydzielono dodatkowych opiekunów i na imprezie zamykającej festiwal rozsadzono w różnych miejscach.

Mimo tych utrudnień, ostatniego dnia szwedzkiej delegacji udało się ustawić plakat z napisem „Gdzie jest Amnesty?". Były też inne inicjatywy, oddolne i spontaniczne. Np. Tobias Kjellström, który jako młody muzyk uczestniczył w festiwalu, wspomina dwie dziewczyny, które nad swoim mieszkaniem wywiesiły balon z napisem: „Lesbijki są wszędzie". Gdy policja kazała im zdjąć balon, uznany za prowokację, dopisały: „Ale nie w Korei Północnej!".

Północnokoreańskim służbom najwyraźniej to wystarczyło, bo zostawiły balon w spokoju.

Kłopotliwy kwiat zjednoczenia

Jednak Koreańczycy mogli pochwalić się przynajmniej jednym sukcesem, który rekompensował kłopoty z obcokrajowcami. A przynajmniej tak im się początkowo zdawało.

Do Pjongjangu dotarła Lim Su-kyung, 20-letnia studentka z Korei Południowej. Studencka organizacja Jeondaehyop, do której należała – opowiadająca się za zjednoczeniem Półwyspu i przeciw Ameryce – próbowała uzyskać zgodę na udział w imprezie u władz Południa. Gdy to się nie udało, z pomocą północnokoreańskich służb specjalnych zdecydowano się przemycić na Północ jedną reprezentantkę. Okazała się fenomenem. Jej charyzma i spontaniczne przemówienia przyciągały tłumy. Mieszkańcy Północy byli nią zafascynowani, a media północnokoreańskie okrzyknęły ją „kwiatem zjednoczenia".

Lim Su-kyung szybko okazała się jednak kłopotem dla reżimu. Z jednej strony, krytykując ówczesny wojskowy rząd Południa, wydawała się potwierdzać propa-

TOBIAS KJELLSTRÖM

Na ulicach stolicy Korei Północnej zagrały kapele z całego świata. Festiwal Młodzieży i Studentów, Pjongjang, 1989 r.

gandę. Z drugiej, z jej słów można było wnioskować, że mieszkańcy Południa cieszą się prawami niedostępnymi na Północy. Gdy opowiadała o brutalności policji i cenzurze, słuchacze zastanawiali się, jak to możliwe, że na Południu można wyrażać swoje niezadowolenie. W efekcie studentka przyciągała niebezpiecznie dużo uwagi.

Również jej wygląd był dla mieszkańców Północy zaskoczeniem. W jeansach, białym podkoszulku, z obciętymi do ramion włosami wyglądała szokująco.

W tamtym czasie żadna Koreanka z Północy nie wyszłaby w takim stroju na ulice (założenie jeansów do dziś jest zagrożone karą). Pojawiły się obawy, że przez swą popularność odbiera scenę Kim Ir Senowi.

Reżim odetchnął więc z ulgą, gdy Lim przekroczyła granicę w strefie zdemilitaryzowanej. Po czym błyskawicznie została aresztowana, a następnie skazana na pięć lat więzienia (wyszła po odbyciu połowy wyroku).

Był to w sumie kolejny niewygodny fakt dla północnokoreańskich mediów: mieszkańcy Północy zakładali, że na Południu musi zostać potraktowana według znanych im kryteriów – czyli stracona.

Głód i koniec odwilży

Gdy wspomina się festiwal z 1989 r., rzadziej mówi się o tragedii ludzi, którzy musieli pracować w niewolniczych warunkach na ten wizerunkowy sukces kraju.

Tymczasem dla mieszkańców był to podwójny cios. Po pierwsze, wcześniejsze zbiory w rolnictwie były fatalne. Rząd kupował luksusowe produkty dla gości i równocześnie nie wahał się, po raz kolejny, obcinać racje żywnościowe swym obywatelom. Po drugie impreza, która odbywała się pod hasłem „O antyimperialistyczną solidarność, pokój i przyjaźń", w pewnej mierze pogłębiła nieufność Koreańczyków do reszty świata.

Władze ściśle regulowały kontakty z przybyszami. Wszyscy mieszkańcy Pjongjangu otrzymali książeczki z odpowiedziami na pytania, jakie mogliby zadać obcokrajowcy (i byli z tego odpytywani). Np. jeśli ktoś zapytałby, ile waży monument Kim Ir Sena, należało odpowiedzieć, że tyle, co wysiłek całego narodu. „Turyści zrobili sobie ze mną zdjęcie aparatem z natychmiastowym wydrukiem. Szybko zostało zarekwirowane przez bezpiekę" – wspominał na łamach „NK News" uciekinier z Północy, Choi Sung-guk. Wielu ekspertów nie ma wątpliwości, że gigantyczny nakład środków na festiwal był jednym z powodów epidemii głodu w kolejnych latach.

Historyk Andrei Lankov, który specjalizuje się w tematyce Północy, uważa, że festiwal był początkiem końca północnokoreańskiej odwilży. Reżim poczuł, że traci kontrolę. Wprowadzono szereg nowych restrykcji. Karano tych, co za bardzo zbliżyli się do obcokrajowców. Pozamykano kluby muzyczne. Zaostrzono cenzurę. Z kin zniknęły nawet filmy o potworach, a zamiast nich pojawiła się najbardziej siermiężna propaganda.

Powrót do Pjongjangu

Choć Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Pjongjangu stał się jedną z przyczyn prowadzących do ekonomicznego upadku Korei Północnej, w kraju do dziś jest oficjalnie pamiętany jako wielki triumf ideologii „dżucze".

Dyktatura nie wspomina natomiast Lim Su-kyung. Po latach przyjechała ponownie do Pjongjangu, jednak odmówiła złożenia kwiatów pod pomnikiem Kim Ir Sena. Przez co większość swego pobytu spędziła w hotelu.

Wróciła do Seulu szybciej niż planowała, gdyż mało kto w Korei Północnej był zainteresowany „kwiatem zjednoczenia". © ROMAN HUSARSKI

ARCHIWUM AUTORKI

FAŁSZ RODZI FAŁSZ

Polski autor podszywa się pod niemieckiego anarchistę, by uwiarygodnić mord rytualny i dać odpór wyrokowi ze Szwajcarii. Oto opowieść o antysemickiej publikacji sprzed 85 lat.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Gdy wyszło na jaw, że biskup tarnowski Andrzej Jeż podczas homilii cytował fałszywy antysemicki tekst, wybuchł skandal. Biskup w oświadczeniu napisał, że zlecił kwerendę, która ma sprawdzić, czy przedwojenne katolickie gazety – jak tygodnik „Nasza Sprawa", z którego zaczerpnął cytowany fragment – posługiwały się antyżydowską propagandą.

Nie potrzeba kwerendy: ponad 80 lat temu katolickie tytuły związane z Narodową Demokracją chętnie sięgały do antysemickich publikacji. To historia odkrycia jednej z nich – fałszywki, drukowanej w odcinkach w „Słowie Pomorskim" w maju 1935 r. i opowiadającej o mordzie rytualnym w Chojnicach, do którego miało dojść w 1900 r.

Żydzi wrogami wszystkich

Kujawsko-Pomorska Biblioteka Cyfrowa. To na tej platformie, w domenie publicznej, można znaleźć zdigitalizowaną

książkę zatytułowaną „Mord rytualny w Chojnicach". Autor: „W. Marr". Rok i miejsce wydania: 1935, Toruń. Pierwotnie książka drukowana była w odcinkach od 8 do 26 maja 1935 r. w „Słowie Pomorskim". Dziennik ten, będący lokalnym organem Narodowej Demokracji, miał 10 tys. egzemplarzy nakładu.

„Toczący się ostatnio proces berneński odsłania coraz więcej duszę »narodu wybranego«. Proces ten toczył się około autentyczności »Protokołów Mędrców Syjonu«. Żydzi na tle tego procesu w zeznaniach świadków i rzeczoznawców ujawniają się jako groźna potęga, która cały cywilizowany świat spycha w przepaść, która rządzi wielu państwami, a za pomocą prasy urabia opinję świata" – tak zaczyna się sensacyjna opowieść o zabójstwie, do jakiego doszło 11 marca 1900 r. w niewielkich Chojnicach (wtedy niemieckim Konitz) na Pomorzu.

Dalej czytamy (pisownia oryginalna): „Nie będziemy tu powtarzali, że losami Europy doby ostatniej kierowali żydzi, że oni to kształtowali jej mapę po rozejmie 11 listopada 1918 r., że dzięki ich machinacjom ginęły organizmy państwowe, że wreszcie oni kierują siłami odśrodkowemi, rozsadzającemi państwa i społeczeństwa. Żydzi są wrogami wszystkich i wszystkiego co nie-żydowskie. Wolno im oszukiwać, mordować i niszczyć nieżydów – jest to nawet pewną zasługą, którą im Jehowa zapisze na ich dobro. Bezsprzecznie największą hańbą jaka okrywa żydostwo są mordy rytualne".

Rozruchy w Konitz

Do zabójstwa faktycznie doszło. 18-letni uczeń gimnazjum Ernest Winter wyszedł po niedzielnym obiedzie z domu i zaginął. Jego szczątki zaczęto odnajdywać, stopniowo, dwa dni później. Wraz z kolejnymi makabrycznymi odkryciami pojawiły się oskarżenia, że za zabójstwem stoją Żydzi. Sprawą natychmiast zainteresowały się gazety, również berlińskie. „Staatsbürger-Zeitung" wysłała nawet do Chojnic korespondenta Wilhelma Bruhna.

Tymczasem niejaki Max Heyn, miejscowy fotograf i wydawca kartek pocztowych, miesiąc po odnalezieniu pierwszych fragmentów ciała Ernesta w witrynie swego zakładu fotograficznego wystawił na tle czarnej draperii zdjęcie chłopca. Potem codziennie dołączał do portretu zdjęcia miejsc, w których znaleziono kolejne części szczątków. Równocześnie po domach wraz z antysemickimi ulotkami roznoszono „Staatsbürger-Zeitung", pełną oskarżeń wobec Żydów. Atmosfera była coraz gęstsza. Zdesperowani przedstawiciele społeczności żydowskiej w Chojnicach poprosili burmistrza o pomoc. Ich sytuacji to nie poprawiło.

Pierwsze antysemickie rozruchy wybuchły 21 kwietnia. Do ataków na domy, sklepy i warsztaty dochodziło co kilka dni. 10 czerwca nastąpiło apogeum: kilkuset mężczyzn wdarło się do synagogi: wybili szyby, połamali ławy, zniszczyli bimę i świeczniki, podarli Torę. Budynki wokół synagogi stanęły w płomieniach.

Do Chojnic ruszyły posiłki – piechota z garnizonu w Grudziądzu. Aresztowano najbardziej agresywnych bojówkarzy. Władze zdecydowały, że 600 żołnierzy zostanie w mieście tak długo, jak będzie trzeba.

Szwajcarski proces

Wszystko wskazuje na to, że trzy i pół dekady później pomorski dziennik związany z endecją zdecydował się wydrukować w odcinkach opowieść o rzekomym zabójstwie rytualnym z 1900 r. – reagując w ten sposób na proces, który w 1935 r. zaczął się w szwajcarskim Bernie.

Zrzeszenie Wspólnot Żydowskich Szwajcarii i Wspólnota Izraelicka z Berna podały wtedy do sądu zwolenników faszyzmu, Theodora Fischera i Silvia Schnella, którzy w wystąpieniach odwoływali się do „Protokołów Mędrców Syjonu" – wydanego po raz pierwszy w 1903 r. pamfletu, przygotowanego na zlecenie rosyjskiej tajnej policji i mającego dowodzić globalnego żydowskiego spisku.

Oskarżyciele zarzucili tej dwójce promowanie i propagowanie „literatury pornograficznej", jak nazwano w pozwie najsłynniejszą chyba fałszywkę w dziejach.

Taki sam pozew skierowano do sądu w Berlinie; już po II wojnie światowej okazało się, że ministerstwo propagandy Josepha Goebbelsa wydało na wsparcie oskarżonych 30 tys. marek. Na darmo – w książce nieżyjącego już historyka prof. Janusza Tazbira „Protokoły mędrców Syjonu. Autentyk czy falsyfikat" czytamy, że Fischer i Schnell nie przedstawili wiarygodnych świadków ani dowodów, świadczących o autentyczności antysemickiej książki.

Odwołali się jednak od wyroku do Sądu Najwyższego berneńskiego kantonu, a ten – nie podważając orzeczenia poprzedniej instancji – uznał, że mylnie określono w nim przedmiot sporu mianem *Schundliteratur*. Słowem tym określa się bowiem jedynie dzieła uznane za brukowe, do których antysemicka fałszywka, choć szerząca nienawiść do Żydów, nie należy. Sąd potępił natomiast działania oskarżonych, obarczając ich kosztami procesu.

Książka z Torunia

Proces toczący się w Szwajcarii był uważnie śledzony również w Polsce. W II Rzeczypospolitej „Protokoły" wydano co najmniej dziewięć razy. Po raz pierwszy w 1920 r., ostatni raz – w 1938 r. W żadnym z wydań nie podano nazwiska tłumacza ani informacji, na której z obcojęzycznych edycji zostało ono oparte.

Znanym obrońcą teorii o autentyczności „Protokołów" – wbrew oficjalnemu stanowisku Kościoła katolickiego, wydanemu ostatecznie w 1938 r. – był ks. Stanisław Trzeciak, jedna z kluczowych postaci polskiego przedwojennego antysemityzmu. W drugiej połowie lat 30. Trzeciak był związany z Obozem Narodowo-Radykalnym i Stronnictwem Narodowym. Startował w wyborach samorządowych pod hasłem „odżydzenia Warszawy". W marcu 1939 r. na łamach „Małego Dziennika", którego był publicystą, chwalił Adolfa Hitlera za wprowadzenie antyżydowskiego ustawodawstwa.

Wydana w Toruniu w 1935 r. książeczka, opisująca – z wykorzystaniem całego tabloidowego arsenału – rzekomy spisek żydowski i mord rytualny w Chojnicach, miała w gruncie rzeczy jeden cel: uwiarygodnić „Protokoły" i uświadomić Polakom, jak groźni są Żydzi.

Niemiecki anarchista...

Książkę „Mord rytualny w Chojnicach" zdigitalizowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu. Nie ma w niej nazwiska tłumacza, informacji o pierwszym (niemieckim) wydaniu ani o oficynie, która pierwotnie wypuściła je na rynek. Podana jest natomiast informacja o polskiej drukarni – tej samej, która drukowała „Słowo Pomorskie".

Kim więc jest autor widniejący na okładce i stronie tytułowej? „W. Marr" oznaczać może tylko Wilhelma Marra. ↦

↦ Ten niemiecki dziennikarz i anarchista stał się jedną z czołowych postaci europejskiego antysemityzmu w drugiej połowie XIX w.

W wydanej w 1879 r. pracy Marr pisał, że „zwycięstwo żydostwa jest faktem i nie da się już tego odwrócić. Winni są Niemcy, gdyż dopuścili Żydów do polityki, sądownictwa, wyższego kształcenia, do prasy i sfery finansowej". Twierdził też, że Żydzi nie są w stanie się zmienić nawet w wyniku chrztu, gdyż ich cechy są determinowane biologicznie, a wszelkie próby ich asymilacji stanowią śmiertelne zagrożenie dla kultury niemieckiej, zwiastując „judaizację".

Dlaczego jednak Marr miałby pisać książkę o zbrodni, do jakiej doszło w 1900 r. w Chojnicach? Dlaczego miałby nie podawać pełnego imienia, lecz występować jedynie pod inicjałem („W."). I dlaczego z intelektualisty – nawet jeśli o takich poglądach – nagle miałby stać się autorem o stylu sensacyjnym, wręcz ociekającym krwią? Dlaczego wreszcie polski wydawca w 1935 r. nie ujawnił żadnych informacji o pierwszym wydaniu rzekomo jego książki, poświęconej mordowi rytualnemu?

...i polski autor

Odpowiedź na te pytania jest jedna: historia – drukowana w „Słowie Pomorskim" w maju 1935 r. w odcinkach, a potem wydana w postaci książki – to antysemicka fałszywka produkcji rodzimej, polskiej.

– Wszystko wskazuje na to, że jej autorem jest Stanisław Rzyski, który dwa lata później wydał już pod własnym nazwiskiem książkę „Mord rytualny. Prawdziwe zdarzenie w pomorskim miasteczku". To praktycznie ten sam tekst, te same ilustracje. W ciągu tych dwóch lat sytuacja w Polsce uległa takiej zmianie, że Rzyski już nie musiał podszywać się pod Marra. Mógł się ujawnić – tłumaczy dr hab. Jolanta Żyndul z Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Marr w 1935 r. już nie żył. Zmarł w 1904 r., a więc wkrótce po zbrodni w Chojnicach, w wieku 85 lat. Książeczki pt. „Mord rytualny w Chojnicach" nie ma w spisie jego publikacji. Ponadto: w jego biogramach na angielskich i niemieckich stronach internetowych można znaleźć informację, że pod koniec życia Marr wyrzekł się antysemityzmu, twierdząc, że przewrót społeczny w Niemczech był wynikiem rewolucji przemysłowej i konfliktu między ruchami politycznymi, a nie skutkiem spisku żydowskiego.

GRZEGORZ KRZYWIEC:

Przypadków podszywania się pod konkretnego autora jest bardzo mało. Fałszywki kompilowano z różnych tekstów, można powiedzieć, że karmiły się sobą nawzajem, ale zwykle publikowano je jako anonimy.

Według historyka Moshe Zimmermanna, Marr otwarcie poprosił Żydów o wybaczenie za swoje wcześniejsze publikacje. W eseju zatytułowanym „Testament antysemityzmu" wyjaśnił historię swojej ewolucji politycznej, twierdząc, że początkowo był „filosemitą", odrzucając „nędzne, romantyczne szaleństwo germanizmu". Skarżył się, że współczesny antysemityzm łączy się z niemieckim mistycyzmem i nacjonalizmem. I potępił „przywódców-piwoszy", uprzedzonych wobec żydowskich pisarzy i myślicieli.

Słowa te pisał w 1891 r., na dziewięć lat przed zabójstwem Ernesta Wintera.

Rozmnażanie przez pączkowanie

Jolanta Żyndul jest pewna: zarówno pierwsza publikacja, wydana pod pseudonimem „W. Marr", jak również ta z 1937 r. (już sygnowana przez Rzyskiego) wyraźnie odwołują się do publikacji Maksa Liebermanna von Sonnenberga – jednego z czołowych niemieckich działaczy antysemickich z końca wieku XIX i początku XX. A konkretnie: do jego książki z 1900 r. pt. „Blutmord in Konitz" („Krwawy mord w Chojnicach"). Układ tekstu pokazuje, że w istocie jest to skrócona wersja publikacji Liebermanna von Sonnenberga.

– Przypadków podszywania się pod konkretnego autora jest bardzo mało. Te fałszywki kompilowane były z różnych tekstów, można powiedzieć, że karmiły się sobą nawzajem, ale zwykle publikowano je jako anonimy – mówi dr Grzegorz Krzywiec z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk.

REPR. WOJCIECH KRYŃSKI / FORUM

„Mord rytualny" – zmyślone męczeństwo chrześcijańskiego chłopca, obraz z XVII w., Muzeum Okręgowe w Jarosławiu

To swoiste rozmnażanie przez pączkowanie podkreśla też Jolanta Żyndul, dodając, że już choćby to utrudnia zwykle ustalenie autorów poszczególnych fałszywek.

Jednak w przypadku książki „Mord rytualny w Chojnicach" sytuacja jest prostsza: jeszcze w 1935 r. Stanisław Rzyski chciał pozostać anonimowy, ale już dwa lata później postanowił nie ukrywać swojego autorstwa antysemickiej publikacji. Wolno sądzić, że stało się tak za sprawą zaostrzającego się klimatu społecznego w Polsce.

Endek z Wielkopolski

Kim był Rzyski? Najprawdopodobniej to jego biogram można znaleźć w drugim tomie „Biogramów uczestników Powstania Wielkopolskiego". Urodził się w 1878 r. w wiosce Krąpiewo (dziś w powiecie bydgoskim), a zmarł w 1942 r. W czasie powstania był członkiem polskiego oddziału sformowanego w Dopiewie pod Poznaniem, który walczył z Niemcami m.in. o poznańskie lotnisko Ławica. W Dopiewie powstały zręby jednego z ważniejszych pułków Wojska Polskiego: 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich, późniejszego 68. Pułku Piechoty.

W międzywojennej Wielkopolsce endecja miała ogromne poparcie – skutecznie zwyciężała tutaj z obozem piłsudczyków.

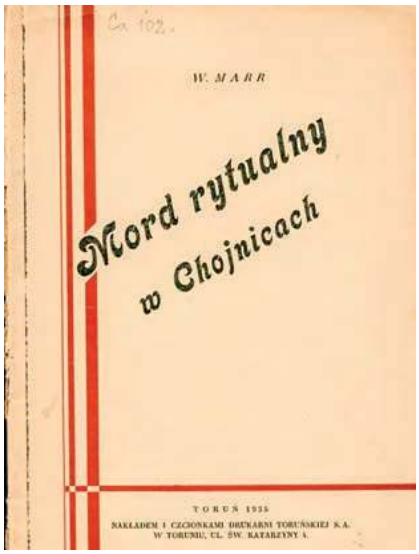

KUJAWSKO-POMORSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Okładka książki o rzekomym mordzie rytualnym w Konitz (Chojnicach), podpisana fałszywym nazwiskiem; wydanie z 1935 r.

Grzegorz Krzywiec uważa, że podszycie się przez Rzyskiego pod Marra nie było przypadkowe. To celowy zabieg: podparcie się autorytetem intelektualisty (już nieżyjącego) miało uwiarygodnić publikację. Skoro Marr był znany jako ideolog nowoczesnego antysemityzmu, kto by dociekał, czy na pewno napisał także i tę książeczkę?

– Moim zdaniem znaczenie ma też data publikacji tej fałszywki. Rok 1935 to czas, kiedy zaczyna się fala antysemickich wystąpień, a dwa lata później w Polsce zaczyna się wprowadzanie *de facto* ustaw norymberskich na poziomie samorządów zawodowych, szczególnie lekarskich i adwokackich – uważa Krzywiec.

Dla historyka szokujące jest nawet nie to, że kilkadziesiąt stowarzyszeń podjęło uchwały wykluczające ze swego grona Żydów, lecz to, że państwo po cichu wspierało te działania. – Oczywiście samorządy zawodowe czy stowarzyszenia nie były podporządkowane państwu, ale władze centralne patrzyły przychylnym okiem na te wykluczające zapisy – mówi Krzywiec.

Antysemicki klimat

Pierwsza fala antysemickiej przemocy wybuchła w Polsce w latach 1931-33 i była ściśle związana z Wielkim Kryzysem. Kolejna zaczęła się w 1935 r. i – jak podkreśla Krzywiec – służyła mobilizacji politycznej.

– Jeśli fałszywkę o rzekomym mordzie rytualnym w Chojnicach drukuje największy organ endecki na Pomorzu, w dodatku zaangażowany w walkę z Niemcami i ochronę żywiołu polskiego, jak wtedy mówiono, to z jednej strony ta publikacja odpowiada na pewne społeczne zapotrzebowanie, ale z drugiej jest inspiracją do konkretnych działań – mówi Krzywiec.

Te działania to antysemickie ataki prowadzone według schematu: najpierw w miasteczku pojawiały się bojówki, które agitowały za bojkotem żydowskich sklepów (poparł go w 1936 r. prymas August Hlond). Równolegle pojawiały się w prasie antysemickie artykuły.

– Akcje bojkotowe, które znamy z Galicji czy Lubelszczyzny, stopniowo przybierają agresywne formy. Bojówkarze zaczepiają ludzi na ulicach, prowokują bójki, niszczą żydowskie mienie, podpalają sklepy czy domy, wreszcie podkładają bomby. Moim zdaniem trudno mówić tu o pogromach, bo z takimi mamy do czynienia, gdy jakaś część społeczności napada pod wpływem jakiegoś zdarzenia na inną. W latach 1935-37 nie mamy pogromów, ale zaplanowaną akcję polityczną, pełną sterowanej przemocy – podkreśla Krzywiec. I dodaje: – Wracając do tej świeżo odkrytej fałszywki, tego rodzaju publikacje często pisali ludzie mający lokalny kapitał kulturowy albo wręcz cieszący się powszechnym szacunkiem.

Zbeletryzowane formy „Protokołów Mędrców Syjonu" można znaleźć w ogromnej ilości w całej przedwojennej prasie. W 1938 r. w Pelplinie wydana została powieść z gatunku *political fiction* autorstwa niejakiego Mariańskiego (to pseudonim; napisał ją Jędrzej Giertych), a opowiadała o żydowskim zamachu stanu, którego celem jest wykrojenie z części Polski państwa żydowskiego. Powieść najpierw drukowano w prasie w odcinkach, później Giertych wydał ją własnym sumptem w formie książki.

Informacja korygująca

„Mord rytualny w Chojnicach", fałszywie przypisany Marrowi, może znaleźć każdy, kto wpisze odpowiednie hasło do internetowej wyszukiwarki. Fragmenty książki widnieją na stronie internetowej o nazwie Święta Tradycja (która jest „poświęcona Najświętszej Ofierze Mszy Świętej Wszechczasów, Wierze, Tradycji i kulturze katolickiej").

Dr Grzegorz Krzywiec nie ma wątpliwości, że biblioteka cyfrowa, odpowiadająca za zdigitalizowane zbiory, powinna uzupełnić opis bibliograficzny tej książki, jasno informując, że jest to fałszywka polskiego autora.

Kiedy zadzwoniliśmy do Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu z informacją o naszym odkryciu, sprawę szybko załatwiono. Po trzech latach od digitalizacji, na polecenie dyrektor Danetty Ryszkowskiej-Mirowskiej, wpis uzupełniono o informację, że publikacja „Mord rytualny w Chojnicach" to polska fałszywka antysemicka. Przekazano informacje o zmianach do katalogu bibliotek akademickich.

Jolanta Klauza z Pracowni Digitalizacji Zbiorów w Książnicy Kopernikańskiej przyznała, dziękując: – Pierwszy raz spotkaliśmy się z taką sytuacją. Dobrze, że fałszerstwo zostało odkryte.

© KATARZYNA KACZOROWSKA

TP *Kluby „TP" zapraszają na spotkania*

LUBLIN, ŚRODA, 18 WRZEŚNIA, GODZ. 18
„Milcząca obecność – krzycząca nieobecność". Gośćmi będą prof. Elżbieta Adamiak i ks. dr Krzysztof Podstawka. Miejsce: Klasztor oo. Dominikanów (ul. Złota 9).

ZIELONA GÓRA:
WTOREK, 24 WRZEŚNIA, GODZ. 18
„Kościół kobiet – kobiety Kościoła". Gościem będzie prof. Elżbieta Adamiak. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

ŚRODA, 25 WRZEŚNIA, GODZ. 16
„Ekologia po chrześcijańsku w ujęciu franciszkańskim". Gościem będzie o. Stanisław Jaromi. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ISRAEL STATE ARCHIVES

Kontrola paszportowa pasażerów, którzy przypłynęli z Gdyni, port w Tel Awiwie, październik 1938 r.

Kraj pod skórą

PATRYCJA BUKALSKA

To opowieść o Polakach mieszkających w Izraelu. Lub raczej o ludziach, którzy w Izraelu uważani są za Polaków, a w Polsce za Żydów.

Po proklamowaniu państwa Izrael, Polanim – jak nazywano Żydów z Polski – stanowili aż jedną trzecią obywateli Izraela. W kolejnych latach mieli odegrać ogromną rolę w kształtowaniu tego kraju: jako architekci, politycy, wydawcy, księgarze, żołnierze.

Skąd taki ich odsetek? Wcześniej, w latach 1918-48, do Palestyny przyjechało 200 tys. polskich Żydów; według spisu z 1926 r. Polacy stanowili prawie 38 proc. palestyńskich Żydów. Potem, już po powstaniu Izraela, przybędzie tu kilka dużych fal emigracji: w latach 1945-55 z Polski przyjedzie 42 tys. osób, a w kolejnej dekadzie ponad 46 tys.

Dlatego książkę Karoliny Przewrockiej-Aderet można czytać na kilku poziomach. Na jednym – to zbiór fascynujących opowieści o ludziach rozdartych między Polską a Izraelem, o Żydach, którzy Polskę opuścili, dobrowolnie lub nie, ale którzy dalej mają ją pod skórą. Drugi poziom – to portret Kraju, Erec, od żydowskiego osadnictwa poprzedzającego proklamowanie niepodległości w 1948 r. do chwili obecnej. Polanim, z którymi rozmawia autorka, ich dobre i złe doświadczenia, pomagają zrozumieć Izrael. Opowiadając o swoim życiu, polscy Żydzi pokazują proces formowania się kraju i narodu, i swoje w nim miejsce.

„Polanim. Z Polski do Izraela" jest też książką o milczeniu: tych, którzy Holokaust przeżyli i nie chcieli o tym mówić, oraz o milczeniu młodego Izraela, który początkowo wypchnął Zagładę ze zbiorowej pamięci. Dopiero proces Eichmanna „doprowadził do znaczących zmian w postrzeganiu ofiar Zagłady. Izraelczycy, przeszedłszy zbiorowe *katharsis*, przyznali w końcu należne miejsce w społeczeństwie tym z nich, które przeżyły".

Jest to też książka o języku polskim: czasem zapomnianym i odnalezionym, czasem pielęgnowanym, a zawsze budzącym emocje. Bo, jak czytamy, „Polanim swobodnie czuć mogą się tylko w języku, w którym mogą się umościć, który znają z pamięci. Który im się konkretnie kojarzy: z obrazem, ze smakiem, zapachem, z osobą. Z krajobrazem i tym wszystkim, co przywodzi wspomnienia. Bo tak ich nauczono. Że nie wiedzieć o języku, to jakby nie wiedzieć wcale".

Ale czasem nawet dla nich nie jest to oczywiste. Sara Guter-Davidson urodziła się już w Palestynie, a polski przypomniała sobie nieoczekiwanie podczas pierwszej podróży do Polski pod koniec lat 80. Było to, pisze Przewrocka-Aderet, jak cud: „Kilka dni po przyjeździe ona sama nagle zaczęła mówić po polsku. Po sześćdziesięcioletniej przerwie, od czasu, gdy jako czteroletnia dziewczynka odmówiła komunikacji w tym języku, zaczęła w nim mówić płynnie, jak gdyby nigdy nic". „Tak, jakby w tej Polsce przypomniało mi się, skąd pochodzę. Bez udziału świadomości. I poczułam, że wróciłam do korzeni" – stwierdziła Sara.

Czasem powrót do języka może być zbyt bolesny. Jak w historii Barucha-Borysa Dorfmana, ocalałego z pogromu kieleckiego. „– Pizda! – krzyknąłeś niecierpliwie, gdy zagadałam po polsku, wprawiając mnie w jeszcze większe zakłopotanie. Może nas nie słyszałeś? Może mówiłam za cicho, a może brzmienie moich słów cię raniło, aż tak, że oganiałeś się od nich ręką jak od natrętnej muchy? Icchak, przyzwyczajony, śmiał się, że język polski, twój pierwszy ze wszystkich, wychodzi z ciebie w chwilach, w których nie masz już siły walczyć o więcej".

Opowieść o Baruchu jest jedną z najbardziej przejmujących w tej książce, dotyka natury zła i przebaczenia. To też jedna z zalet książki: jej autorka nie ucieka od kwestii trudnych. Jest w niej i żal polskich Żydów do Polski, i ich rozczarowanie niechęcią, jakiej nieraz doświadczyli w Izraelu. Taka historia zawiedzionej miłości, jak mówi jeden z bohaterów. A zarazem jest i o choince, śledziu i bigosie w polskich domach, o polskich księgarniach w Tel Awiwie, fabryce skarpetek, o futrach i kapeluszach („Mama przyjechała do Palestyny jak do Nowego Jorku, z futrami, koronkowymi sukienkami, kapeluszami i biżuterią"), o nietypowym rynku genealogicznych usług detektywistycznych i dowcipach o matkach Polkach.

Fascynująca opowieść, która wiele mówi nie tylko o Izraelu, ale i o Polsce.

©℗

Karolina Przewrocka-Aderet
POLANIM. Z POLSKI DO IZRAELA,
Czarne, Wołowiec 2019

VITTORIANO RASTELLI / CORBIS / GETTY IMAGES

Połów monet wrzucanych przez turystów, Fontanna di Trevi, Rzym, 1994 r.

ROMA ANALYTICA

Już w starożytnym Rzymie politycy adresowali przekaz propagandowy do ściśle określonych grup odbiorców. Na przykład na monetach.

KAMIL KOPIJ

Mark Zuckerberg, szef Facebooka, zapewne dobrze zapamiętał dzień 10 kwietnia 2018 r. Tego dnia stanął przed Kongresem USA, by złożyć zeznania w sprawie udziału kierowanej przez niego platformy społecznościowej w skandalu Cambridge Analytica. Jak się okazało, ta brytyjska firma konsultingowa wykorzystywała dane milionów użytkowników Facebooka, by wspomóc swoich klientów w propagandowych kampaniach wyborczych. Szczegółowe informacje, które posiadała CA, pozwalały jej trafić z politycznymi reklamami o określonej treści do osób najbardziej na nie podatnych. Donald Trump czy liderzy kampanii brexitowej to tylko najbardziej znani beneficjenci CA. Z usług firmy korzystali politycy z całego świata.

Wykorzystanie wiedzy o nas, którą sami dostarczamy aktywnością w mediach społecznościowych, bez naszej zgody, może budzić niepokój. Prawda jest jednak taka, że to tylko kolejny krok w historii prób trafienia przez polityków z odpowiednim przekazem do odpowiedniej grupy ludzi. Choć propaganda zwykle kojarzy nam się z masowym przekazem kierowanym do tłumów, tak naprawdę najbardziej skuteczna jest ta skrojona specjalnie wedle poglądów, przekonań i postaw mniejszych grup ludzi. Zdawały sobie z tego sprawę dwudziestowieczne reżimy totalitarne, które modyfikowały przekaz w zależności od tego, do kogo chciały trafić. Ale źródeł targetowania – ↦

↦ bo tak specjaliści od reklamy nazywają tego typu praktyki – szukać można zapewne u zarania polityki.

Sędziowie i mówca

Pierwsze ślady namysłu nad targetowaniem można znaleźć w pismach Arystotelesa. W poświęconej sztuce przemawiania „Retoryce" stworzył pierwszy prosty model procesu komunikacji, składający się z mówcy, przedmiotu mowy i odbiorcy. Najważniejszą obserwacją Arystotelesa było tu jednak uświadomienie sobie, że mówca zwykle wcale nie musi trafić do wszystkich odbiorców, a jedynie do tych, którzy mają wpływ na omawianą sprawę. Grupę tę nazwał sędziami. To oni byli prawdziwymi adresatami przekazu. Pozostali mogli co najwyżej oceniać kunszt mówcy.

Praktyczne zastosowanie tej wiedzy dobrze widać w zachowanych do naszych czasów mowach najbardziej znanego starożytnego oratora, Marka Tulliusza Cycerona. Ich analiza pokazuje nie tylko różnice między mowami sądowymi i politycznymi. Rzymski orator inaczej przemawiał przed senatorami, a inaczej przed ludem. Stosował inne argumenty, ale nieco odmienny jest również ich styl. Każdy rzymski mówca starał się przekonać zgromadzonych do swoich racji czy poparcia kandydatury na urząd, ale równocześnie tworzył swój polityczny wizerunek. Sam Cyceron – choć powszechnie uważany za członka „prawego" skrzydła Senatu, dążącego do ograniczenia roli trybunów ludowych, a więc i samego ludu – w mowach, które wygłaszał na Forum, mienił się najlepszym przyjacielem niższych warstw rzymskiego społeczeństwa.

Dzisiejsi politycy postępują podobnie. Z tą jednak różnicą, że za pośrednictwem elektronicznych mediów fragmenty ich wypowiedzi trafiają do szerszego grona odbiorców niż tylko grupa docelowa. To dlatego często łapiemy się za głowy, słysząc ich wywody. Po prostu nie należymy w danym momencie do targetu.

Trzy denary Pompejusza

Publiczne mowy stanowiły bez wątpienia najważniejsze medium szerzenia propagandy w Rzymie. Nie były jednak jedynym. Propagandowe przekazy „zaklinano" w budowlach i ich dekoracjach, posągach, inskrypcjach oraz monetach. Dyskusja nad przydatnością tych ostatnich w szerzeniu propagandy toczy się między badaczami od siedemdziesięciu lat. Jedni uważają, że monety traktować można jak starożytne „mass medium", dzięki któremu propagandowe przekazy trafiały do dużej części mieszkańców Imperium, głównie tam, gdzie nie miały szansy dotrzeć pozostałe „media". Inni twierdzą, że były to tylko drobne przedmioty codziennego użytku, a ludzie nie zwracali uwagi na wybite na nich przedstawienia i napisy.

Dziś nie potrafimy jeszcze powiedzieć, kto ma rację, i być może nigdy nie będziemy w stanie. Trudno mieć jednak wątpliwości, że ci, którzy wytwarzali monety, baczyli uważnie na to, co na nich umieszczali. Szczególnie widoczne jest to w okresach wzmożonych wewnętrznych sporów i wojen domowych.

Dzięki aferze CA wiemy, że w XXI w. propagandyści starają się skroić przekaz na miarę indywidualnych preferencji i trafić tym samym do pożądanego odbiorcy. Czy to samo robili Rzymianie? Czy tego typu działania w ogóle były możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że większość nowych monet trafiała zapewne do obiegu jako żołd? Z problemem tym po raz pierwszy zetknąłem się w 2015 r., gdy przygotowywałem pracę doktorską poświęconą propagandzie i budowaniu wizerunku przez Pompejusza Wielkiego oraz jego synów żyjących u schyłku rzymskiej republiki.

Wśród zbioru monet, które analizowałem, znalazły się trzy warianty denarów (srebrnych monet) wybitych w 49 r. p.n.e. Wyprodukowano je po to, by sfinansować działania przeciwników Cezara po wybuchu wojny domowej. Emisje te wyróżniają się spośród innych symboliką nawiązującą (w zależności od wariantu) do Sycylii, Apolla oraz Artemidy z Efezu. Już wcześniej badacze sugerowali, że różnice mogły wynikać z różnych miejsc ich wybicia, wskazując szczególnie na Apollonię Iliryjską (dla wariantów z Apollem) i Efez (dla tych z Artemidą).

Nie jest oczywiście wykluczone, że monety te były produkowane w kilku miejscach. Jednak analizując informacje dotyczące działalności obu konsulów, przede wszystkim mobilizacji żołnierzy i okrętów, postawiłem hipotezę, że trzy warianty monet konsularnych były przeznaczone na opłacenie rekrutacji w trzech różnych regionach: na Sycylii, w Grecji i Azji Mniejszej. Ich symbolika miała dobrze kojarzyć się mieszkańcom terenów, które stanowić miały bezpośrednie zaplecze wojsk antycezariańskich.

Ofiara dla bóstwa

Jak dotąd nie udało się zweryfikować tej hipotezy. Aby znaleźć jej potwierdzenie, należałoby stworzyć mapę znalezisk tych konkretnych wariantów monet i szukać regionalnych różnic w ich dystrybucji w Grecji i Azji Mniejszej oraz na Sycylii. Nawet jednak mrówcza praca związana z mapowaniem może w tym przypadku nie przynieść ostatecznej odpowiedzi. Przebieg wojny mógł bowiem zrewidować pierwotne plany przeciwników Cezara, jak to z pewnością miało miejsce na Sycylii, którą wódz zajął szybciej, niż spodziewali się jego adwersarze.

Pierwsze dowody na to, że Rzymianie stosowali czasem targetowanie geograficzne w dystrybucji monet, pojawiły się w 1988 r., gdy David Walker z Uniwersytetu Oksfordzkiego opisał rzymskie monety odnalezione podczas wykopalisk w sanktuarium Sullis Minerwy w angielskim Bath. Brytyjski numizmatyk zwrócił uwagę m.in. na fakt, że odkryto tam nieproporcjonalnie dużo typów z przedstawieniem personifikacji prowincji Brytania. Mogłoby to świadczyć o tym, że rzymska władza próbowała pokazać wyspę jako integralną część Imperium, podtrzymując tym samym lojalność jej mieszkańców. Hipoteza Walkera spotkała się jednak ze sceptycyzmem. Krytycy zwracali m.in. uwagę na to, że ilość informacji, jakie posiadamy na temat znalezisk z różnych prowincji, jest bardzo zróżnicowana, co nie pozwala na wysunięcie tak daleko idących wniosków. Zauważono również, że większość znalezionych w sanktuarium monet była darami dla bóstwa. Pielgrzymi mogli więc świadomie przedkładać pewne typy nad inne.

Trendy związane z możliwym targetowaniem geograficznym przekazów namonetarnych nie są łatwe do zauważenia. Możliwe jest to jedynie, gdy analizuje się duże zbiory znalezisk, zadając przy tym właściwe pytania. Pewnie dlatego na kolejne świadectwa geograficznego targetowania przyszło nam poczekać do XXI w. Przedstawiła je w szeregu publikacji Fleur Kemmers z Uniwersytetu Johanna Wolfganga Goethego we Frankfurcie, która badała znaleziska z terenów dzisiejszej Holandii, szczególnie okolic legionowego obozu w Nijmegen. Porównała ona np. serie monet wybitych w latach 90-91 n.e.,

które znaleziono w tym miejscu, ze znaleziskami z fortu w Hofheim. Były to miejsca stacjonowania legionów biorących udział w mającej miejsce w 89 r. n.e. rewolcie Saturnina skierowanej przeciw cesarzowi Domicjanowi (panował w latach 81-96 n.e.). Legio X Gemina z Nijmegen pozostała wierna dotychczasowemu władcy, natomiast niezidentyfikowana jak dotąd jednostka z Hofheim poparła uzurpatora.

Porównując monety wybite tuż po stłumieniu rewolty znalezione w tych dwóch miejscach, Kemmers zauważyła, że w Nijmegen prawie połowa znalezionych numizmatów nosiła na rewersie przedstawienie Virtus – personifikacji męstwa i odwagi. W Hofheim i okolicach typy z boginią były znacznie mniej liczne, stanowiły jedynie ok. 30 proc. wszystkich znalezisk. Na tej podstawie badaczka wysunęła hipotezę, że cesarz wysyłając do siedziby legio X Gemina żołd polecił, by szczególnie podkreślić lojalność tej jednostki i nagrodzić legionistów monetami z boskim Virtus. W starożytnym Rzymie lojalność żołnierzy była kluczem do cesarskiej purpury. Nic więc dziwnego, że władcy dbali o to, by motywować ich nie tylko żołdem, ale również łechtać ich próżność górnolotnymi hasłami.

Podbój Dacji

Najbardziej imponujące wyniki dotyczące targetowania geograficznego w starożytnym Rzymie uzyskał jednak jak dotąd Corey Ellithorpe z University of North Carolina w Wilmington, który zmapował ponad dwadzieścia tysięcy znalezionych monet cesarza Trajana (panował w latach 98-117 n.e.). Analizując zebrane przez siebie dane, zauważył różnice w geograficznym rozkładzie różnych typów monet. Dostrzegł m.in., że na terenie Dacji, nowo podbitej przez tego cesarza prowincji, znaleziono nieproporcjonalnie dużo monet, których przedstawienia odnoszą się do zwycięskiej wojny Trajana. Znanych jest ponad dwadzieścia różnych typów monet o zróżnicowanej ikonografii. Najczęściej pojawiają się na nich wyobrażenia jeńca siedzącego pod tropajonem – palem ozdobionym bronią zdobytą na pokonanych wrogach, będącym symbolem zwycięstwa – lub personifikacji prowincji siedzącej na tarczy.

Analiza wykonana przez Ellithorpe'a pokazała, że nie wszystkie typy były tak samo licznie reprezentowane. Na terenie tym bardzo mało znaleziono bowiem

Denar konsularny (konsulów roku 49 p.n.e. Gajusza Klaudiusza Marcellusa i Lucjusza Korneliusza Lentulusa Kruza) z triskelesem na awersie i przedstawieniem Jowisza na rewersie. Za zgodą: www.cngcoins.com

Denar cesarza Hadriana z siedzącą na skale personifikacją Brytanii. Za zgodą: www.cngcoins.com

Brązowy sesterc Trajana z przedstawieniem Tybru lub Dunaju przyciskającego do ziemi personifikację Dacji. Za zgodą: Numismatik Lanz (Auction 160, lot 403).

monet, na których umieszczono najbardziej „brutalne" obrazy: cesarza przebijającego włócznią dackiego wojownika oraz męskiej personifikacji rzeki Tyber (według innych Dunaju), rzucającej na ziemię uosobienie Dacji w celu – jak interpretują niektórzy – jej zgwałcenia. Wydaje się, że władza wolała, by w Dacji krążyły w obiegu tylko te monety, które co prawda pokazywały rzymską dominację i bezcelowość dalszego oporu, ale równocześnie nie były nadmiernie uwłaczające dla lokalnej ludności.

Komu imponuje Koloseum

Targetowanie geograficzne nie było jednak prawdopodobnie jedynym sposobem trafiania z odpowiednim przekazem do konkretnego odbiorcy. Wspomniana już Fleur Kemmers zauważyła np. różnice w ikonografii między typami monet znalezionych na terenie samego obozu w Nijmegen a tymi znalezionymi na terenie pobliskich osad cywilnych. Do żołnierzy trafiały przede wszystkim monety o symbolice militarnej, a do ludności cywilnej o symbolice pokojowej. Wygląda więc na to, że rzymskie władze wszelkimi sposobami chciały pobudzić ducha bojowego armii, ale już nie cywilów. Te interesujące wyniki badań wymagają jednak potwierdzenia w innych rejonach Imperium, by mieć pewność, że była to bardziej powszechnie stosowana strategia propagandowa.

Niewykluczone również, że Rzymianie zdawali sobie sprawę z faktu, iż nie tylko różne typy, ale również i nominały monet krążyły wśród różnych warstw i klas społecznych. Już na pierwszy rzut oka widać np., że w okresie cesarstwa przedstawienia słynnych budowli wznoszonych przez kolejnych władców – jak choćby Koloseum – podziwiać można było raczej na nominałach o mniejszej wartości. Te zaś na co dzień używane były przede wszystkim przez niższe warstwy społeczne. Czy działo się tak dlatego, że monumentalne budowle imponowały przede wszystkim biedniejszym mieszkańcom Imperium?

Już dziś przeciętny archeolog znacznie więcej czasu spędza przed ekranem komputera niż w terenie. Wynika to z faktu, że tworzenie baz danych setek tysięcy różnego rodzaju znalezisk – w tym monet – i ich analiza jest teraźniejszością i przyszłością nowoczesnej archeologii. Dzięki nim jesteśmy w stanie nie tylko zweryfikować postawione dawno hipotezy, ale także odpowiedzieć na pytania, o których jeszcze niedawno nawet nie śniliśmy. Odkrywanie śladów dawnych prób trafienia z odpowiednim przekazem do właściwego odbiorcy jest tylko jednym z wielu przykładów. Dobrze pokazuje on jednak, że starożytny Rzym, choć tak od nas odległy i nieraz dziwny, jest zarazem podobny do współczesnego świata. Bo choć Rzymianie nie posiadali telewizji, internetu czy Facebooka, to jednak za pomocą dostępnych środków próbowali szerzyć propagandę podobnie, jak robią to dzisiejsi politycy. © KAMIL KOPIJ

Autor jest doktorem archeologii, pracuje w Zakładzie Archeologii Klasycznej Instytutu Archeologii UJ. Zajmuje się badaniem propagandy politycznej i kreowaniem wizerunku w starożytnym Rzymie, numizmatyką rzymską oraz archeoakustyką. Redaktor portalu www.madreksiazki.org.

POŻEGNANIE

SEN W OBECNOŚCI ROZUMU

Nie odwracał się od ciemnych źródeł twórczości, ale erudycja, ciągłe samokształcenie były dlań sposobem, żeby bijące z tych źródeł energie opanować.

WOJCIECH BONOWICZ

Kiedy napotkanym znajomym mówiłem, że zmarł największy polski malarz, najczęstszą reakcją było pytanie: „Czyli kto?". A kiedy mówiłem: „Zbigniew Makowski", tylko dwie osoby na dziesięć nie były zaskoczone. Sześć nie wiedziało, kto to taki. Dwie coś słyszały, ale nie umiały sobie przypomnieć. Zbigniew Makowski zmarł 19 sierpnia. We śnie. Miał 89 lat.

Fakt, że umarł we śnie, jest ważny. Nie tylko dlatego, że spokojna śmierć wydaje się największą nagrodą, jaką możemy otrzymać po długim życiu. Także dlatego, że dzieła artysty często porównywano do snów. Pisano o onirycznej kompozycji obrazów i książek, w których poszczególne elementy zestawiane były nieoczekiwanie, skojarzeniowo, aluzyjnie. Zwracano uwagę na powinowactwo z twórczością surrealistów, do których Makowskiemu było blisko, ale od których ostatecznie się odsunął. Słowo „sen" pojawiało się w tytułach jego obrazów („Sen kulisty", „Fragment snu"), ale sam artysta powściągliwie wypowiadał się na temat wpływu snów na sztukę, a także ich znaczenia dla poznania samego siebie. „SNY nie są ALLEGORIAMI" – pisał mi (a ja przepisuję, lekko tylko, dla wygody czytelników, zmieniając interpunkcję), „jest to raczej rodzaj (najczęściej jednak!) strasznego KALEJDOSKOPU, który obraca nami, albo – wcale jednocześnie! – nami jest obracany. Owszem trafiają się nam WIELKIE SNY (sam kilka razy doświadczyłem, ale to ogromna RZADKOŚĆ), najczęściej ten KALEJDOSKOP jest jakby schizofreniczny, jak PAJĄK Redona na cienkich nóżkach".

Wprowadzał nas, patrzących i kontemplujących, w stan, który zwykliśmy nazywać śnieniem na jawie. Pamiętam swoją bezsilność wobec piękna jego prac; kiedy Muzeum Narodowe we Wrocławiu zorganizowało mu wystawę, stanąłem w końcu w jednej z sal z opuszczonymi rękami i rozpłakałem się. Uczucie bezsilności jest silniejsze we śnie niż na jawie. A bezsilność wobec piękna jest jedynym rodzajem bezsilności, który nie zawstydza, lecz daje nam szczęście. Stałem pośród pięknie namalowanych nagich kobiecych postaci i opadających między nie symboli – mieczy, kielichów, winkielaków, płomieni – i czułem, jakbym dotykał czegoś niematerialnego, choć zarazem bardzo silnie i zmysłowo obecnego.

Twórczość Makowskiego uchylała drzwi do innego świata. Czym było to „inne", nie da się powiedzieć prosto, bo gdyby się dało, nie trzeba byłoby drzwi i ich uchylania. Nie byłoby na obrazach kluczy i labiryntów, nie byłoby zapadni, schodów, drabin – wszystkich tych motywów, które mówią o wysiłku poszukiwania, o wstępowaniu na górę i zstępowaniu w głąb po wiedzę. „Przebić głową ekran horyzontu" (to jego określenie), wystawić łeb poza ten świat i zobaczyć go w całej jego różnorodności i jedności – oto wielkie ludzkie marzenie. Makowski, uważający się za agnostyka, miał własną „rurę objawieniową" prowadzącą na tamtą stronę. Dziś dodałbym, że ta rura była wiązką możliwości, dostępów, i że żaden dostęp nie był w niej uprzywilejowany, przeciwnie – właśnie z napięć pomiędzy rozmaitymi dostępami rodziło się coś, co można nazwać poznaniem. Rolą artysty jest „objawić objawienie", co znaczy: nie tyle przekazywać konkretne treści, ile uzmysławiać, że one istnieją i że są dostępne.

Metoda

Erudycja Makowskiego była ogromna i zapewne niektórych mogła odpychać. Ale na cierpliwych i skłonnych czegoś się nauczyć działała jak magnes. Zresztą przyciągało do niego mnóstwo innych rzeczy. „Jako rzemieślnik jestem bardzo biegły" – mówił o sobie i to była prawda. Nawet jego najtrudniejsze, zapełnione gęstym tekstem prace są nienagannie skom-

ANDRZEJ RYBCZYŃSKI / PAP

Zbigniew Makowski, 2010 r.

ponowane i starannie wykonane. Nie tylko dzieła na wystawę, ale również prywatne listy powstawały na czerpanym papierze; Makowski rozkładał na nim słowa tak, że całość natychmiast stawała się obrazem. Miał piękny charakter pisma; potrafił łączyć epoki nie tylko umysłem, ale także ręką. Przekopiowane z innych dzieł motywy, zwłaszcza postaci kobiece, otrzymywały od niego nowe życie. Dużo cytował, a nierzadko – jak by się dziś powiedziało – miksował. W rezultacie powstawało coś, co nie było ani archaiczne, ani nowoczesne, wymykało się takim ocenom, choć próbowano jego dzieła jako archaiczne opisywać i, czasami, dyskredytować.

Dobrze pasują doń słowa, którymi włoski myśliciel Tommaso Ceva określił poezję: to sen śniony w obecności rozumu. Właśnie ten nacisk na rozumienie, na aktywność intelektualną, poróżnił Makowskiego z surrealistami. „Wszystkim surrealistom szkodziło to, co Breton nazywał umysłem na wolności. Zbytnie dowierzanie nietemperowanej ekspresji treści wewnętrznej – mówił w obszernej rozmowie z Agnieszką Kuczyńską i Krzysztofem Cichoniem (opublikowanej w książce „Wąski Dunaj No 5"). – W skrzyneczce zwanej podświadomością samorództwo nie następuje, a jeśli nawet, to blaknie jak nie utrwalona fotografia. Nie można wyjąć ze skrzyneczki więcej niż się włożyło".

Makowski nie odwracał się od ciemnych źródeł twórczości, ale erudycja, ciągłe samokształcenie były dlań sposobem, żeby bijące z tych źródeł energie opanować, nadać im intrygującą, wieloznaczną formę. „Ekspresjoniści apelowali do emocji, abstrakcja geometryczna do rozsądku, impresjoniści – do zachwytu na światem, nadrealiści do stanów irracjonalnych. Ja mam tę niebotyczną odwagę, że chciałbym poruszyć wszystkie te struny. Dopiero ten, co myśli, śni, zachwyca się i poddaje irracjonalnemu, będzie w sposób najbardziej pełny przeżywał dzieło sztuki" – wyznał w innym wywiadzie.

Wielki zwój

Sztukę łączy ze snem coś jeszcze: możliwość powrotu do dzieciństwa. Przynajmniej wyobrażonego: być powtórnie sobą małym nie sposób, a jednocześnie można dążyć do tego, co Bruno Schulz nazwał „dojrzewaniem do dzieciństwa", „osiągnięciem dzieciństwa okrężną drogą".

Makowski przyznawał, że wczesne lata życia są zasobem, z którego nieustannie czerpie. Wtedy, mówił, „wszystko było widniejsze". „Jak byłem małym chłopcem, widziałem robotników, którzy podgrzewali smołę do smarowania papy na dachu. Robotnik jaskrawożółtą szczapę drewna zanurzył w beczce ze smołą i nastąpiła straszliwa przemiana – szczapa była czarna i ściekały z niej strumyczki smoły. Podobne doświadczenie, kiedy zobaczyłem, jak mama wsypuje jakiś proszek do balii z wodą, miesza ręką i pokazuje się niewiarygodnie piękna ultramaryna" – mówił w książce.

We wspomnieniach wracają pojedyncze sceny. Ulica Wąski Dunaj, tuż przy Rynku Starego Miasta w Warszawie, gdzie stał dom rodzinny, zniszczony po powstaniu. Matka w szlafroku w wielkie czarne kwiaty na żółtym tle („Żebyś mnie mógł z daleka widzieć"), ojciec, weteran wojny polsko-bolszewickiej, kolekcjonujący reprodukcje i pozwalający synowi na lekturę książek nad wiek poważnych. Własna kolekcja kluczy, potem przez lata rozbudowywana. Krępujące pytania zadawane dorosłym: „Kiedy trzymam ręce przed sobą – jedną tu, a drugą tu – to między nimi jest przestrzeń. A jak ręce biorę za siebie, to co się z tą przestrzenią dzieje?".

Potem wojna – na obrazach prawie nieobecna, w rozmowach wspominana niechętnie. „Opowiadanie o tym, jak ↦

sobie człowiek grób kopał, nie nadaje się dla normalnych uszu. Po co?" – bronił się artysta. Znów tylko sceny: śmierć przyrodniej siostry na gruźlicę gardła w pierwszym roku okupacji; nalot gestapo na szkołę, bo któryś z uczniów trafił śnieżką przechodzącego oficera; ciało zastrzelonej Żydówki, która była akowskim kurierem, leżące z zadartą spódnicą. „Napatrzyłem się w tym mieście na przerażające rzeczy. Z moim bratem ciotecznym Zygmuntem w czasie powstania w getcie znaleźliśmy się blisko muru, patrzymy – coś białego frunie. Podbiegliśmy, co to jest? To była pergaminowa Tora – dotknęliśmy, to się rozsypała".

„Czego mi żal, to Zbyszka Warszawy i warszawskości, odczuwam to jako stratę – napisał mi Janek Michalski. – Zbyszek był warszawiakiem *sui generis*, od pokoleń, chwalił się przodkiem Makowskim, który sekretarzował królowi Augustowi III. (...) W domu ich bywał Witkacy, zaprzyjaźniony z ojcem, majorem WP, który pracował dla kraju (eufemizm na określenie pracownika wywiadu). Zbyszek pamiętał dziwacznego gościa, może się trochę go bał? Był to dom pełen tajemnic. W czasie powstania matkę wraz z synem Ukraińcy trzymali pod stienką, ale puszczono ich do wychodu. Wielkie i trwałe wrażenie wywarł na chłopcu, jak na wielu innych, szkielet spalonego mostu Kierbedzia, którego obraz potem powraca. (...) Z ruin kamienicy na Hożej, zaraz po wojnie, wydobył nadpaloną książeczkę Artura Schopenhauera, w której znalazł indyjską tablicę barw. Było to dla niego olśnienie i znak. Wielki Zwój [praca będąca w posiadaniu Galerii Zderzak – przyp. WB] otwiera się tą mandalą shopenhaueriańską jako inwokacją. Od niej zaczyna się wędrówka duszy – od ożywienia przeszłości, złączenia porwanego czasu w continuum, *omnia unum*".

W przypadku Makowskiego dzieciństwo było więc jednocześnie nasyceniem zmysłów i traumą, a ewentualny powrót musiałby być ponownym zanurzeniem się w jedno i drugie. Wybrał inną drogę: powrót, ale przez kulturę, archetyp, zmaganie ze złem podniesione na poziom mitu. W każdym razie, jeśli wierzyć opowieści artysty, decyzja o malowaniu zapadła podczas okupacji. Studia na ASP przypadają na lata stalinizmu, ale w pracowni Kazimierza Tomorowicza panowała pewna swoboda i można było przynajmniej nauczyć się warsztatu. Makowski chodzi na sporadyczne pokazy zachodniej, zwłaszcza francuskiej, awangardy, zagłębia się w reprodukcjach. W bibliotekach coraz więcej książek jest zastrzeżonych, ale przyszły malarz wyszukuje, gdzie tylko się da, dzieła wielkich mistrzów. Zainteresowanie malarstwem będzie u niego zawsze szło w parze z literaturą; z powstałych później książek artystycznych Makowskiego można by wypisać spory tom całkiem niezłych wierszy jego autorstwa.

PIOTR BARĄCZ / EAST NEWS

Śpiew kobiety

Dyplom robi w 1956 r. Wtedy modna staje się abstrakcja, eksperymentowanie – na zasadzie odreagowania. Tomorowicz chce, by Makowski został na uczelni, ale na to szans nie ma. W tej sytuacji okres poszukiwań się przedłuża. Kluczowy dla określenia przez Makowskiego jego własnego stylu jest przełom lat 50. i 60. Z tego okresu artysta zachował najwięcej wspomnień, głównie z podróży po kraju i za granicę (Split, Wenecja, potem Paryż). Przyjazd do Paryża w maju 1962 r. i spotkanie ze środowiskiem surrealistów (w tym z samym Bretonem) oraz grupą Phases otworzyły przed nim nowe możliwości. Jego prace kupowali znani artyści (Giacometti wiesza dwie w swojej pracowni), pokazywały je ważne galerie i muzea.

Ale Makowski decyduje się wracać. Przeczuwa, że w grupie nie byłoby dla niego miejsca, chce szukać na własną rękę – łącząc, powtórzmy, poszukiwania estetyczne z intelektualnymi. Obrazy zapełnia obiektami symbolicznymi, a z czasem również postaciami i tekstem. Płótna pokrywa akrylem, uważanym za farbę mniej szlachetną niż olej czy tempera, co budzi zdziwienie, ale i zainteresowanie. Od przychodzących na wystawy wymaga skupienia, bliskości, trwania z obrazem.

I tak będzie przez następne dziesięciolecia: będą powstawać równolegle płótna, książki artystyczne i prace na papierze. Intrygujące, czasem niepokojące, czasem zaś emanujące, jak zwykło się mawiać, nadziemskim spokojem. Jak ta przepiękna praca zatytułowana „Tu potens Trivia", którą podesłał mi Janek. „To portret Lizzie Siddal, kochanki Rossettiego – napisał w komentarzu. – Kiedy się otruła, włożył do trumny rękopis jej wierszy, ale po paru latach żal mu się zrobiło i ka-

zał ją ekshumować, żeby je wyjąć. Zbyszek opowiadał mi to z wielkim upodobaniem. Lubił tematy artystowskie i niesamowitości. (...) Lizzie patrzy więc zza grobu, nieziemskim światłem oświetlona, wyzywająca i dumna, kobieta wyzwolona. Otruła się laudanum, a jej kochanek później też się nim truć próbował, ale nie sprostał. Okazuje się być Hekate, Trójdrożną, Panią Rozstajów, patronką Zbyszka. Który rozstajami bardzo się interesował i duszy dziewczęcej stale potrzebował".

Nigdy się z Makowskim nie spotkałem, choć wiele razy do siebie zapraszał; moja wina. Ale wymieniliśmy kilka listów. W pierwszym wysłał mi swoją pracę, na której znajdował się wiersz, powstały zresztą częściowo wskutek zamalowań. W tym wierszu pisał między innymi:

Dopokąd się da,
rozumieć,
a ile tego za nocą i mgłą? – Krok? – Kilka kroków?
Schody. Okopcone sklepienie. Wyjęte z zawiasów okno.
Kołowrót własną definicję nawija jak łańcuch z
brzękiem u studni, kubłem pogiętym.
Echo, lustro, metafory, Charyty bezradne,
mur gliną malowany. Na ziemię zimną upadnę:
MULIER CANTAT, niepojęte.

Łaciński cytat to aluzja do słynnej sceny z „Portretu artysty..." Joyce'a, gdzie śpiew kobiety przerywa i zamyka teologiczną dyskusję bohaterów. Nad wierszem Makowski namalował dziewczynę, leżącą nago na gołej podłodze, z podkurczonymi nogami, rękami obejmującą głowę. Pod spodem jest dopisek: „ostatni dzień sierpnia 1980". Dopiero teraz dotarło to do mnie: cała Polska żyła porozumieniami na Wybrzeżu, a artysta także tego dnia próbował wgryźć się w to, co trudno uchwytne, niepoznawalne, niepojęte...

Po śmierci Andrzeja Wróblewskiego napisał, że „wystarczy być sobą, by być kimś w sztuce". Wysiłek poznawania siebie, tak jak on go rozumiał, to niekończący się proces: każdy znak odsyła do następnych, za każdymi drzwiami mogą zjawić się kolejne. „Sześcian ma sześć ścianek, człowiek ma znacznie więcej" – mówił w książce. – „Ilość tych fasetek jest naprawdę duża, jeszcze w głąb i od środka, skomplikowana kreatura. W końcu można powiedzieć, że w każdym jest cantus firmus, głos podstawowy. W każdym jest, a jak nie ma, to nie ma się kim zajmować".

Ostatecznie wysiłek ten może nas wypchnąć w rejony, w których stracimy grunt pod nogami. Ale nie znaczy to, że stracimy orientację. Marzenie senne nie jest przecież tylko nasze, sny łączą nas z innymi, także tymi, którzy już odeszli. Oni podadzą nam rękę. Na końcu listu o Makowskim Michalski napisał: „Zmarł we śnie i żył we śnie". Bo tak właśnie było.

© WOJCIECH BONOWICZ

WŁASNOŚĆ PRYWATNA, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI GALERII ZDERZAK

Po lewej: Zbigniew Makowski w swojej pracowni. Warszawa, lata 60. XX w.

Powyżej: „Tu potens Trivia", 2003 r.
Poniżej: „Che nel destructo", 1988 r.

MAREK BAZAK / EAST NEWS

KULTURA

NIE MAM NIEPRZESPANYCH NOCY

JANUSZ GAJOS, AKTOR:

W moim zawodzie forma jest rzeczą godną wszelkich zabiegów. Mam znaleźć odpowiednią i skojarzyć ją z treścią. Ale nie zawsze się udaje.

KALINA BŁAŻEJOWSKA: Jakie są Pana plany na urodziny?
JANUSZ GAJOS: Plany? Na urodziny?

Impreza, benefis?
A tak, jakaś impreza się musi odbyć. Ja nie jestem zwolennikiem takich przedsięwzięć, wolę świętować z bliskimi, ale okrągła rocznica każe zaprosić paru przyjaciół.

Wszyscy, którym mówiłam, z jakiej okazji ten wywiad, reagowali tak samo: „Gajos ma osiemdziesiąt lat?!". Nie wygląda Pan.
Niedawno miałem duże spotkanie w Kazimierzu Dolnym na festiwalu Dwa Brzegi i tam Grażyna Torbicka zrobiła sondę na temat mojego wieku. Wszyscy dawali mi o wiele mniej. Należy się cieszyć, bo to chyba wynik postawy życiowej. Myślę, że zawód też troszeczkę pomaga. Jak się dostaje w kość, fizycznie i psychicznie, to wnętrze i zewnętrze musi się do tego ustosunkować.

Wydawało mi się, że jak ludzie dostają w kość, to się szybciej starzeją.
Tak? To przepraszam, zrobiłem jakiś błąd. Mam na myśli rodzaj treningu: prawdopodobnie ludzie, którzy muszą pokonywać duże trudności, uodparniają się na upływ czasu.

A na ile lat się Pan czuje?
Oj, proszę pani, trudno powiedzieć. Chodzę prosto, bez żadnego przyrządu, który by mi to ułatwiał. Nie będę przesadzał, że uprawiam sport, ale od czasu do czasu jeżdżę na rowerze, spaceruję. O starości raczej myślę, niż ją fizycznie odczuwam. Wszystko jest usadowione gdzieś z tyłu czaszki.

Choć spostrzegłem ostatnio, że pojawił się we mnie rodzaj leniwości... Na przykład myślę, że powinienem pójść i zrobić cztery kilometry wkoło domu, a potem mówię sobie: „E, może jutro". To chyba właśnie symptom wieku. Że się przestaje chcieć.

Polecam opaskę do liczenia kroków. Bardzo motywuje.
Liczę, mam krokomierz w telefonie.

I ile Pan robi dziennie? Ja osiem tysięcy, czyli sześć kilometrów.
Ja o wiele więcej, jak przystało na starszą od pani osobę.

Czy człowiekowi, dla którego ciało jest narzędziem pracy, trudniej się starzeć? Aktorkom kończą się role, a aktorom?
Ról pewnie ubywa, ale pozostają te największe, do tej pory przeze mnie nietknięte. Mam na myśli wielkie Szekspiry, tych bohaterów w podeszłym wieku, którzy mówią nam, jak to z tym życiem jest. Nie obsypywano mnie tego typu propozycjami. Bo też moje losy zawodowe toczyły się bardzo dziwnie. Długo nie tak, jak bym chciał, tylko tak, jak by chcieli inni.

Który Szekspir się Panu marzy?

DONAT BRYKCZYŃSKI / BEW

Janusz Gajos, 2017 r.

Nigdy nie grałem króla Leara. Choć gdyby mi pani teraz powiedziała, że jutro zaczynam próby, to bym się musiał zastanowić.

Ale nad emeryturą się Pan nie zastanawia.

Wiem, że coś takiego jest. I chyba należą się za to jakieś pieniądze, prawda? Natomiast myśl o zakończeniu pracy jeszcze mi nie doskwiera.

A nauczył się Pan już odpoczywać? Kilka lat temu twierdził Pan, że nie potrafi.

To się chyba nie zmieniło. Mój zawód wymaga ciągłej aktywności fizycznej, psychicznej i umysłowej, więc gdy dostaję wiadomość: „Masz miesiąc wolnego", to nie wiem, co z tym czasem robić.

Był Pan w tym roku na urlopie?

Byłem. Grecja, Hel – to takie stałe punkty, od bardzo dawna wpisane w kalendarz. Ale nawet nad morzem, czytając dla przyjemności, mam w mózgu otwartą zakładkę z pytaniem: „A jak byś to zrobił? Czy on będzie stał z prawej czy z lewej strony?".

Opowie mi Pan ten wieczór, kiedy nie przyszedł Pan do pracy? Co to była za sztuka?

Tytułów już nie pamiętam, chyba dwa razy mi się tak zdarzyło, bardzo dawno temu. Prosta sprawa: pomyliłem kartki w kalendarzu, skorzystałem z wolnego wieczoru, a potem usłyszałem: „Nie było cię, chcieliśmy grać, ale publiczność wyszła".

Zapewniam panią, że nie chciałbym tego przeżyć ponownie. Okropne, ohydne! Wyobrażałem sobie, jak ktoś staje na scenie i mówi: „Bardzo państwa przepraszamy, ale...". A potem jak ludzie odbierają tę wiadomość, jak wychodzą z teatru, co sobie mówią, o mnie na przykład... Obrzydliwe samopoczucie – nie wiem, czy w innych zawodach ludzie też takie miewają.

Dręczą Pana jeszcze koszmary o spóźnianiu się na scenę?

Już teraz nie.

Kiedy przeszły?

Nie wiem, jakoś się samo uspokoiło.

A co się Panu ostatnio śni?

Kiedyś mi się śniło obficie i kolorowo. Pamiętałem i opowiadałem sny. A teraz budzę się i mam w głowie tylko ślady akcji, postaci. Nie mogę ich do niczego przykleić, nie ma tam żadnego porządku. Może to kolejny symptom starzenia.

Już nie mówiąc o snach, które przynosiły nadzieję na wspaniałą przyszłość... Są takie sny, że człowiek lata w powietrzu. I ja tak latałem. Zna to pani?

Raz mi się przyśniło, zazwyczaj skądś spadam albo się topię. Wracają do Pana obrazy z młodości?

Będę teraz mówić zupełnie szczerze, patrząc sobie prosto w okulary: nie rozpamiętuję młodości. Jeżeli zdarza mi się coś ↦

↦ podobnego, to raczej jest to uczucie ulgi, że tamto już minęło. Człowiek się przeobraża, powstaje nowa forma. Czasem mi się wydaje, że to, co robiłem w przeszłości...

...robił ktoś inny?

Tak. Mam ochotę powiedzieć: jak dobrze, że poszedłem parę kroków naprzód. Nie chcę tu popadać w manierę, że młodzi to nic nie wiedzą, a ja jestem stary i wszystko wiem. Nie chodzi mi o samozadowolenie, tylko głębokie psychiczne przeświadczenie.

Nie lubił Pan siebie młodego?

Teraz nie lubię. Nie jestem swoim dawnym ja zachwycony. Oczywiście szkoda mi tamtej kondycji... Na przykład łapię się na tym, że przed chwilą parę rzeczy chciałem pani powiedzieć, tylko nie pamiętam jakich.

Też tak mam.

Tak? O jaka pani miła, dziękuję! Więc gdyby nie fakt, że organizm się psuje, to bym był zadowolony, że dojrzałem i więcej rozumiem. Dzisiaj jest mi ze wszystkich stron lepiej. Wyłączając takie, które są bolesne. Na przykład nogi. Kiedyś się wstawało na raz, teraz trzeba wstawać na trzy. Nie ma nic za darmo.

Ma Pan teorię, że „zmienia skórę średnio co dziesięć lat".

Ja tak powiedziałem?

W wywiadzie dla „Playboya" z 2009 roku.

Widzi pani, to przemądrzały strasznie byłem. Teraz mnie to śmieszy, przepraszam za to panią. I siebie.

Czyli dziesięć lat minęło i się Pan zmienił, wszystko się zgadza.

Niby tak, ale trochę się wstydzę.

Cofnijmy się do pierwszej dekady. Urodził się Pan we wrześniu 1939 roku, ale Pana najwcześniejsze wspomnienie nie dotyczy wojny. Tylko żuka, który chodził po wózku i bardzo Pana przeraził.

Skąd pani to wszystko wie? To nie był wózek, tylko becik. Nawet mam zdjęcie takiego obwiązanego po brodę małego człowieka – mój pierwszy wizerunek.

A drugie wspomnienie?

To już traumatyczna historia: pod górę jechał wóz z węglem, była zima i koń nie mógł sobie dać rady. Ślizgał się, w końcu upadł. Woźnica strasznie okładał go batem, a koń nie mógł wstać i wydawał z siebie żałosne jęki. Miałem trzy lata i płakałem, darłem się wniebogłosy. To się stało na pewno, tkwi we mnie. Ale jak się okazuje, wielu ludzi zapamiętało z dzieciństwa podobny obraz. Czyli to dość banalne.

Raczej fascynujące, bo prosto z Dostojewskiego. O umęczonym koniu mówi Iwan Karamazow, śni Raskolnikow. Jest też teoria, że Nietzsche oszalał po zobaczeniu takiej sceny.

O, jestem w dobrym towarzystwie!

Wspomnienia stricte wojenne?

Nie obfitują w koszmary. Wiem tylko, bo mówiło się o tym w domu, że zginął brat mojej mamy. Ktoś odczytał jego nazwisko na liście rozstrzelanych. Pamiętam też, że przed tak zwanym wyzwoleniem schowaliśmy się w kotłowni i bawiłem się maską gazową. Była tam pani, która mi się bardzo podobała, oparłem się na jej udach. Wszyscy wybuchnęli wtedy śmiechem: „O, patrzcie, kawaler nam rośnie".

Z Dąbrowy Górniczej przeprowadziliście się do Zabrza. Zajęliście poniemieckie mieszkanie?

Jak większość napływowych. Ojciec był ogrodnikiem, wydzierżawił spory kawałek ziemi pod uprawę kwiatów. Rodzicom się tam dobrze powodziło, ja zacząłem szkołę. Okres nie tyle sielanki, co takiego sobie życka bez specjalnych kłopotów. Bo potem kłopoty były duże.

To znaczy?

Wróciliśmy do Zagłębia, ojciec wydzierżawił czy kupił ziemię w Będzinie i miał zamiar zrobić z niej coś, co by nam zapewniło dostatek. Ale różne rzeczy zaczęły się sypać. Najpierw spadł grad, kulki jak pół pięści. A w ogrodnictwie im bardziej coś oszklone, tym większy daje dochód. I to wszystko poszło w drzazgi. Mam taki obrazek, który chciałbym wymazać: rodzice patrzą na potłuczone szkło i ojciec mówi: „To teraz jesteśmy dziadami". A mama cicho płacze. Już się nie mogliśmy z tego wygrzebać. Zaraz po maturze wyszedłem z domu, zacząłem pracę w będzińskim Teatrze Lalek.

Dorastał Pan w czasach stalinowskich. Miał Pan wrażenie, że rzeczywistość skrzeczy?

W domu coś się szeptało. Dorośli mówili: „Idź się pobaw, bo my tutaj rozmawiamy", i wtedy wiedziałem, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Ale też – nie chcę, żeby to zabrzmiało jak usprawiedliwienie – myślałem, że świat taki po prostu jest, że nic się tu nie poradzi. Bardzo długo towarzyszyło mi to przekonanie.

Pamięta Pan ze szkoły jakieś akademie ku czci, propagandowe hasła?

Każdy dzień zaczynał się apelem. Stawiała się cała szkoła, śpiewało się „Międzynarodówkę" czy coś podobnego, a potem wszyscy rozchodzili się na lekcje. Innej szkoły nie znałem, bo byłem za młody.

Był Pan w ZMP?

Byłem, wszyscy byli. Wydawało mi się, że tak trzeba i koniec. Pamiętam, że poszliśmy gromadą, dwie klasy ósme, do budynku, gdzie odbyła się taka śmieszna rozmowa. „Jakie masz stopnie?". „Piątkę z fizyki." „To bardzo dobrze, chyba przyjmiemy kolegę".

Kolega postanowił pójść na architekturę, żeby budować lepszą Polskę.

I rozpaczliwie próbowałem się nauczyć rysunku. Zacząłem od łączenia dwóch punktów, żeby bez linijki trafić prosto od jednego do drugiego. Wydawało mi się, że jest to technika, którą muszę posiąść.

Koniec końców nawet Pan na tę architekturę nie startował.

Bo doznałem zawrotu głowy.

Gdy zagrał Pan w „Panu Tadeuszu".

Że zagrałem, to małe piwo. Nie chodzi o rolę, chodzi o to, co się ze mną stało. Powąchałem teatr, poczułem zapach wnętrza. Zapach kurzu, który się unosił w szczelinach źle zamkniętych okien.

Czyli to nie było na szkolnej auli?

To było przygotowane przez szkołę, ale grane w Teatrze Lalek. Pamiętam rodzaj zdziwienia, że mówię tego Mickiewicza, a ludzie siedzą i słuchają. Zanurzyłem się w jakiejś wspaniałej, nieznanej mi rzeczywistości.

Nie miał Pan w rodzinie żadnych aktorów.

Myśmy nawet nie chodzili z rodzicami do teatru. Pierwszy raz byłem ze szkołą, na wycieczce do Katowic. Zobaczyłem dziwny, ciekawy świat, ale oglądałem go z oddalenia, na chłodno. Dopiero gdy znalazłem się na scenie, zaczęło się ze mną dziać coś niezwykłego, czego nie rozumiałem. I nie rozumiem do tej pory.

A rozumie Pan te trzy porażki na egzaminach do szkoły aktorskiej? Do czegoś się Panu przydały czy były tylko głupią pomyłką losu?

Nie umiem rozstrzygnąć. To tym bardziej dziwne, że przed egzaminami byłem u dwóch osób, żeby sprawdziły, czy się nadaję, i obie kiwały głową na tak. Choć oczywiście wytknęły mi masę błędów. W Katowicach rozmawiałem z takim człowiekiem od teatru rapsodycznego. Zapytał: „Co mi pan zaproponuje?". A ja – świadczyło to o stopniu mojej bezczelności – że „Wielką Improwizację". Wytrzymał kilka minut i dał mi pierwszą lekcję. Zapytał, czy wiem, co robiłem z rękami i nogami.

Co Pan robił?

On mówi: „Wyginał pan stopy, stawał na palcach, na piętach, rękami coś pan próbował wykonać, ale strasznie niezgrabnie". A potem pokazał na skroń: „Od tych rejonów w górę było nieźle. Dało się zrozumieć, o co panu chodzi. Natomiast reszta ciała się buntowała, nie wiedząc, czego pan chce". Wtedy pojawiła się we mnie intuicja, a później zrozumiałem, że w tym zawodzie forma jest rzeczą godną wszelkich zabiegów. Mam znaleźć odpowiednią formę i skojarzyć ją z treścią. Ale nie zawsze się udaje.

A co to znaczy, że aktor nie powinien udawać? Kiedyś mówił Pan, że tak się stara.

Nieszczęśliwe określenie, wycofuję się. W tej chwili, gdy jestem już bardzo świadomy mojego zawodu, nie mógłbym tak powiedzieć. To w normalnym życiu ciągle się coś udaje i kłamie, a ja jako aktor jestem czysty. Bo tworzę coś nowego, jak obraz, jak rzeźbę. Wykonuję swoją pracę, najrzetelniej, jak potrafię.

Wie pani, długo rosłem w strasznym niepokoju: czy to, co robię, jest w porządku. Aż się dowiedziałem od księdza Tischnera, że dobrze robię. Przeczytałem u niego, że aktor nie ma być prawdziwy, tylko prawdziwie tworzyć. Wtedy mi ulżyło. To najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłem.

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

„Msza za miasto Arras", Teatr Narodowy w Warszawie, 2015 r.

Wcześniej trafił Pan do wojska, a z wojska na Ogólnopolski Konkurs Recytatorski.

Nie chcieli mnie w Łodzi, w Krakowie, no to wojsko przyszło z pomocą. Dwa lata w Żarach trzeba było odpękać, jak to się wtedy mówiło, i zastanowić się, co dalej. A miałem w książeczce wojskowej wpisane „zawód: aktor". I wezwał mnie kapitan od kultury: „W środę będzie konkurs recytatorski, wy tam pójdziecie nas reprezentować". A już było ustalone, znaczy sam ze sobą ustaliłem, że z tym kończę. Kapitan nie przyjął do wiadomości ani formy, ani treści mojej odmowy, po żołniersku powiedział, co mam zrobić. I poszedłem, bo w armii się nie dyskutuje. Powiedziałem „Kwiaty polskie" i wszyscy się zachwycili. Że żołnierz, a tak wspaniale mówi poezję.

Wygrał Pan wszystkie etapy.

Więc odświeżyła mi się stara choroba i po drugim roku służby raz jeszcze pojechałem do Łodzi. A tam ci sami ludzie, którzy oglądali mnie na poprzednich egzaminach, powiedzieli: „No, nareszcie, urósł, zmężniał, przyjmujemy". Dziwne, co?

Mundur, krzepa, kondycja...

Nie, to nie to. Krzepa i mundur mogą komuś imponować, ale nie w tym zawodzie. Choć oczywiście aktor musi wyglądać. A ponieważ przez dwa lata wstawałem o szóstej i biegałem dwa i pół kilometra, to moja cielesność nabrała kształtu i mocy. Może wcześniej im się nie podobałem, bo byłem taki sobie, ani brzydki, ani ładny. I nawet nie wiedzieli, jakie skarby się kryją w środku (*śmiech*).

Dużo ma Pan anegdot z wojska?

Dużo, nie uwierzyłaby pani.

Pytam, bo mężczyźni lubią je opowiadać, ale pod tym śmiechem jest przecież trauma.

Nie ma. Trauma polegała na tym, że przepadł mój plan na życie. Natomiast z wojska nie robiłem tragedii, trzeba się było jakoś znaleźć. Zresztą myślałem, że będzie gorzej. Że to coś jak więzienie.

A nie?

Może kuchnia jest podobna. Nie zapomnę pierwszego posiłku: cała kompania przy długich stołach, każdy dostawał buraki, ziemniaki, mięso, pac! taką ciapę na talerz. Pomyślałem: „Przecież ja tego nie tknę, ja tu umrę z głodu". Ale po paru dniach się przyzwyczaiłem.

Były fajne momenty. Jakbym pani opowiedział o jeleniu...

Słucham.

Tam grasował taki byczek, znaczy nie grasował, tylko został jako małolat przyniesiony przez żołnierzy. Mama, czyli łania, zostawiła go w lesie i wylądował w zespole jednostek wojskowych. ↦

Ktoś za niego odpowiadał? Jakiś żołnierz wyznaczony do opieki?

Nie, ten jeleń był wolnym człowiekiem. Chodził sobie, gdzie chciał, ale miał stałe punkty, na przykład asystował przy porannym apelu. Wydawało mu się widocznie, że to jego obowiązek. Byłem świadkiem, jak wziął nowego dowódcę na rogi. To jest rzecz nie tylko do opisania, to scena filmowa.

Czegoś Pana wojsko nauczyło?

Pewnie dyscypliny.

I przydało się przy „Czterech pancernych"?

Niewiele. Koledzy z planu dawali radę bez wojska.

Ale to Pan stał się największą gwiazdą. Woda sodowa uderzyła do głowy?

Muszę pani powiedzieć bezczelnie, że nie. Raczej mnie to denerwowało. Pewnie dlatego, że zupełnie inaczej sobie tę sławę wyobrażałem. Były już wtedy w Polsce kolorowe pisma, czytałem o życiu gwiazd, a moje zupełnie tego nie przypominało.

Co dokładnie Pan sobie wyobrażał?

Przede wszystkim trochę więcej szacunku. A tu jakiś chłopak na ulicy krzyczy za mną: „Ej, ty, Janek!". Nikt mnie nie traktował z estymą.

Ale dostawał Pan tony listów. Dużo było ofert matrymonialnych?

Nie, a w każdym razie żadnych nie pamiętam. To przeważnie dzieci pisały, pewnie z pomocą rodziców. Co najważniejsze, szybko zdałem sobie sprawę, że ten Janek będzie mi kulą u nogi. Zastanawiałem się, jak z tego wybrnąć.

Twierdził Pan, że spotkał Pana środowiskowy ostracyzm za udział w propagandzie. Ale przecież wielu aktorów było zaangażowanych w reżim.

W tym serialu wystąpiła gromada najlepszych aktorów, z wyjątkiem Łomnickiego i Holoubka. Więc ten późniejszy brak ofert nie był za karę. Raczej chodziło o rodzaj aktorstwa, pewnie bardzo ubogi w środki, niedoskonały. Zdobyłem dzięki niemu specyficzny rodzaj popularności z posmaczkiem lekceważenia. Zwłaszcza wśród ludzi, którzy też uprawiali ten zawód i wiedzieli, że są o wiele lepsi. Może nawet mi współczuli.

KOTOWSKI LEON / BEW

W filmie „Żółty szalik" Janusza Morgensterna, 2000 r.

Myślał Pan wtedy, żeby odejść?

W najczarniejszych momentach. Ale nie miałem odwagi. Starałem się rozumować logicznie i dochodziłem do wniosku, że nie dam rady zmienić zawodu, nie pójdę już na kolejne studia.

Poza tym byłem zdeterminowany, żeby udowodnić sobie i innym, że ja tę przeszkodę przeskoczę. I powoli, powoli coś ruszyło. Nie było już tego czołgu i tego psa, zacząłem dostawać propozycje z teatru telewizji, zagrałem główną rolę u Filipa Bajona w „Wahadełku".

Schizofrenika uwięzionego z siostrą i matką w ciasnym domu.

Miałem wrażenie, że ludzie oglądają mnie na ekranie i mówią: „Jak to? Przecież... Ale że on?" *(parodiuje zdziwione miny)*. Śmieszyło mnie to, a jednocześnie okropnie denerwowało.

Pan się zmienił fizycznie, pewnie pomogło. Przestał Pan być miłym chłopcem, stał się Tureckim.

Przecież celowo poszedłem grać w kabarecie Olgi Lipińskiej tego faceta w bereciku: wykalkulowałem, że to będzie forma ucieczki. A Turecki zyskał taką popularność, że znowu nie mogłem się od niego uwolnić. Aż zagrałem u Wojciecha Marczewskiego w „Ucieczce z kina Wolność".

Premiera 1990, już był Pan po pięćdziesiątce.

I znowu tak zwane Grono, Które Wie Wszystko, zrobiło wielkie oczy. Aż w końcu przestali się głośno dziwić i zaczęli dawać nagrody.

Teraz mówią o Panu „największy polski aktor". Jest jakaś sceniczna umiejętność, której Pan nie opanował?

Mogę mieć do siebie pretensje, że nie dość opanowałem swoje ciało. Bo dobry aktor jest panem swojego wnętrza i zewnętrza.

Płakać na zawołanie dalej Pan nie umie?

Nie. Ale czuję się usprawiedliwiony: mam teorię, że to tylko kobiety potrafią. Graliśmy z Anią Dymną w „Opowieściach Hollywoodu" i Kutz mówi: „Ania, płacz". Ona w taki szloch, że aż trzeba ją było wycierać. A ja za nic w świecie. Nie dam rady. A w ogóle uważam, że płakać ma widownia, nie aktor.

W domu się Panu zdarza?

Szlochać? Nie. No, może się czasem wzruszam.

To nic dziwnego, że na scenie Panu nie wychodzi.

No tak, można powiedzieć, że konieczne do użycia miękkie elementy u mnie są dość twarde. Ale przecież radzę sobie.

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS // JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

W „Kotce na gorącym, blaszanym dachu" w reż. Grzegorza Chrapkiewicza, 2013 r., i w „Garderobianym" w reż. Adama Sajnuka, 2016 r.

Proszę powiedzieć, jak to się robi.

Dmucha się w oczy czymś, co wywołuje szczypanie i łzawienie. Nie trzeba rozpaczać godzinami, żeby odpowiednio znaleźć się w kadrze. Oczywiście mówię o filmie.

A najciekawsza rzecz, której się Pan musiał nauczyć do roli? W wywiadzie przy okazji „Czterech pancernych" mówił Pan o wspinaczce...

Niemożliwe, to ktoś wymyślił, nie mogłem tak powiedzieć.

Konkretnie użył Pan terminu „alpinistyka".

Gdzie to jest? Ja to chcę zobaczyć.

Na YouTubie. Fragment wywiadu Ireny Dziedzic.

Ach, to słynne „Tele-echo"... No to niech mi Bóg wybaczy i wszyscy święci. Widocznie wiedziałem, że jeżeli idę do telewizji, to muszę coś zagrać. Ale żeby takie głupstwa... Nie podejrzewałem siebie, przepraszam.

Uroczy Pan był w tym programie.

Uroczy? Pani mówi serio? Proszę wybaczyć młodemu człowiekowi...

Ostatnio się Pan nauczył po kaszubsku, do „Kamerdynera".

Nie nauczyłem, tylko zasugerowałem Filipowi Bajonowi, że jak mam zagrać Króla Kaszubów, to przecież nie mogę mówić czystą polszczyzną. Dostałem konsultanta, razem tłumaczyliśmy dialogi, potem pomagał mi to wypowiadać.

Nadrobiłam ten film wczoraj. Trochę mi zajęło, żeby Pana rozpoznać na ekranie.

Brawo ja! W końcu o to chodzi w tym zawodzie, żeby pod żadnym pozorem siebie nie przypominać.

Co do języków: nie marzył Pan o karierze na Zachodzie? Proszę się przyznać.

Znowu pani popatrzy na mnie w ten dziwny sposób. Ale nie. Po pierwsze, wydawało mi się, że nie dam rady – że to nie ten wiek i nie te zdolności. Może chodziło o tak zwaną skromność, a może o strach. Po drugie, zawsze uważałem, że rasowy aktor musi doskonale posługiwać się językiem, w którym gra. Jak ja mówię „lipa", to wiem, że dobrze powiedziałem, a jak mówię „linden", to nie jestem pewien. Nic nie wymyślam w tej chwili, dystans do języka naprawdę był dla mnie hamulcem. Oczywiście, można się nauczyć angielskiego na kursie, pojechać, a potem...

...do końca życia być obsadzanym w rolach imigrantów z Europy Wschodniej.

Tak. Ma pani rację. Choć są aktorzy, którzy świetnie dają sobie radę w obcym języku.

Nie żałuje Pan? Że taki talent się zmarnował?

Niech oni żałują! (*śmiech*) Nie mam nieprzespanych nocy, nie miotam się w łóżku myśląc: „Cholera, mogłem być światową gwiazdą, a się nie udało".

Mam jeszcze pytanie o życie osobiste, ale zwlekam z zadawaniem, bo Pan chyba nie lubi o tym opowiadać.

Jak człowiek ma za sobą tyle żyć, to chociaż niech to jedno zostanie w spokoju. Ale proszę pytać.

To prawda, że żenił się Pan cztery razy?

Tak. Ale za to od trzydziestu lat...

... jest Pan szczęśliwym mężem Elżbiety. Jak ze szkołą: do czterech razy sztuka.

Miałem prawie pięćdziesiątkę, to wiedziałem, co robię.

Późne zakochanie czymś się różni od młodzieńczego?

Emocje te same, ale większy spokój. Każde z nas jest po jakichś doświadczeniach, nie musimy sobie mówić niepotrzebnych rzeczy. Taki wyższy poziom miłości. Do beczki słodyczy dodaje się łyżkę rozsądku.

I to jest bardzo dobre.

©℗ Rozmawiała KALINA BŁAŻEJOWSKA

BASSO CANNARSA / OPALE / LEEMAGE/ EAST NEWS

Colin Thubron, 2002 r.

Do krańców świata i umysłu

DOROTA KOZIŃSKA

I co z tego, że zbliża się koniec lata? Nie przestawajcie myśleć o podróży. Czytajcie Colina Thubrona, on wam pokaże, jak to się robi.

W ostatnich miesiącach 1688 r. parlament angielski przeprowadził „chwalebną rewolucję", odsunął od tronu Jakuba II i tym samym definitywnie rozprawił się z dynastią Stuartów. John Dryden, dwadzieścia lat wcześniej mianowany pierwszym oficjalnym Poetą-Laureatem, wypadł z łask dworu i stracił swój urząd. Szybko pogodził się z ujmą na honorze i w gruncie rzeczy odetchnął z ulgą. Zwolniony z obowiązku celebrowania mową wiązaną wszelkich królewskich rocznic i zwycięstw militarnych, zajął się tym, co lubił najbardziej: tłumaczeniem Horacego, Owidiusza, Lukrecjusza i Juwenalisa.

Pięć lat później Dryden zabrał się za przekład dzieł wszystkich Wergiliusza, publikując kolejne owoce swojej pracy translatorskiej w subskrypcji, która ostatecznie przyniosła mu zysk w zawrotnej wysokości 1400 funtów szterlingów. Miał już za sobą dekady doświadczeń w tej sztuce. W 1683 r., w cytowanej dziś przez wszystkich teoretyków przedmowie do „Listów Owidiusza", snuł rozważania nad rozmaitymi modelami przekładu poetyckiego: „Pierwszym jest metafraza, czyli kiedy się autora słowo za słowem, wers za wersem, z jednego języka na drugi przekłada. (...) Drugi sposób to parafraza lub przekład swobodny, gdzie tłumacz trzyma autora wciąż na widoku, by go nigdy nie stracić, ale nie tyle za jego słowami podąża, ile za sensem, a i ten, przyznać wypada, wzmocniony zostaje, choć nie zmieniony. (...) Trzeci sposób to imitacja, gdzie tłumacz (jeżeli tu jeszcze zachowuje to

miano) taką przyznaje sobie wolność, iż od słów i sensu nie tylko odbiega, ale porzuca jedno i drugie tam, gdzie widzi taką możliwość, i jedynie ogólne czerpiąc z oryginału podpowiedzi, dowolne czyni wariacje" (przeł. Zofia Ziemann).

„Glorious John", jak nazwał go później Walter Scott, kochał słowa od dziecka – bawił się nimi, zestawiał je we frazy równie pieczołowicie, jak malarz miesza z sobą pigmenty na palecie, obserwował z zaciekawieniem ich łacińskie, francuskie i włoskie odpowiedniki. Do końca życia nie opowiedział się jednoznacznie za żadnym modelem przekładu: czasem szedł wers za wersem, innym razem wzmacniał sens, kiedy indziej dowolne czynił wariacje.

Colin, syn Gerarda i Evelyn

Jeśli to prawda, że pewne cechy powtarzają się w łańcuchu DNA co któreś pokolenie, Drydenowski gen tłumaczenia świata ujawnił się po 300 latach z górą – u Colina Thubrona, syna Gerarda, oficera pułku North Staffordshire, i jego żony Evelyn z domu Dryden, oficjalnie uznanej za bezpośrednią potomkinię poety. Wprawdzie trzej ukochani synowie Johna Drydena zmarli młodo i ponoć bezdzietnie, nie będziemy jednak wyrokować o prawdziwości tej historii. Podążymy za jej sensem, a i ten, przyznać wypada, wzmocnimy.

Bo w dziejach rodziny Thubrona jest więcej ciekawych zbiegów okoliczności. Jego babka ze strony ojca była córką amerykańskiego wynalazcy Samuela Morse'a, współtwórcy słynnego kodu, używanego do dziś w komunikacji radiowej. Samuel zaś przyszedł na świat jako najstarsze dziecko Jedidiah Morse'a, pioniera geografii amerykańskiej. Dziadek Colina, Ernest Blakelock Thubron, zwany Émilem, był założycielem jednego z pierwszych brytyjskich klubów rowerowych i zapalonym motorowodniakiem: w 1908 r. wywalczył złoty medal olimpijski na igrzyskach w Londynie – w barwach Francji, bo jego łódź o wdzięcznym imieniu „Camille" powstała w paryskich warsztatach Charles-Henriego Brasiera. Wcześniej pracował jako inżynier przy kampanii sudańskiej lorda Kitchenera.

Mały Colin dowiedział się o tym wszystkim znacznie później. Wychował się w Sussex i wspomina swoje dzieciństwo jak lata spędzone w rajskim ogrodzie. Najpierw chciał zostać poetą. Pierwszy wiersz – ponoć koszmarny – sklecił jako ośmiolatek. Wkrótce opuścił Eden i zaczął zbierać doświadczenia podróżnicze. W końcu lat 40. XX w. ojciec Colina objął posadę attaché wojskowego w Ottawie, gdzie chłopiec odwiedzał go w czasie szkolnych ferii, pokonując drogę za Ocean słynnym boeingiem 377 stratocruiserem. Za każdym razem przeżywał wielkie emocje, zwłaszcza podczas przesiadki w Nowym Jorku: podążał wzrokiem za światłami wielkiego miasta, ale wciąż miał na widoku brudny, pełen zmęczonych ludzi, wyniszczony wojną Londyn. Podczas świąt spędzanych na Florydzie próbował ogarnąć rozumem tamtejsze aligatory, jedynie ogólne czerpiąc podpowiedzi ze wspomnień o polowaniach na kijanki wśród łąk w hrabstwie Sussex.

W trasę ruszał sam. Nie robił zdjęć. Wrażenia spisywał drobnym, niewyraźnym pismem, przywodzącym na myśl skojarzenia z kodem dziadka Morse'a. A potem przekładał je na wyrafinowany poemat prozą.

W drogę

Prawdziwą brytyjską edukację odebrał w Eton College, ale nauka podobno szła mu niesporo. Wolał przesiadywać na spotkaniach założonego przez siebie stowarzyszenia poetów, między innymi w towarzystwie Alexandra Ruthvena, lorda Gowrie – późniejszego ministra kultury w rządzie Margaret Thatcher.

W styczniu 1959 r. spotkała go pierwsza śmierć – ukochanej starszej siostry Carol, która zginęła pod lawiną w Alpach Szwajcarskich. Thubron nie uzyskał stypendium do Cambridge i w ogóle zrezygnował ze studiów uniwersyteckich. Kontuzja kolana uniemożliwiła mu karierę wojskową. Z braku lepszego pomysłu zatrudnił się jako stażysta w wydawnictwie Hutchinsona. Londyn go jednak przytłaczał, czuł się w tym mieście jak w klatce; rozpacz i głód podróży zabijał pisaniem powieści, które nigdy nie wyszły poza szufladę.

Na 21. urodziny dostał w prezencie kamerę ósemkę i poczuł szansę wydostania się na wolność. Przeczytał gdzieś, że BBC zamawia amatorskie dokumenty do serii „Travellers' Tales". Zabrał sprzęt i nakręcił filmy z trzech wypraw, do Turcji, Maroka i Japonii, wyemitowane później w brytyjskiej telewizji publicznej.

Przeżywszy pięć minut sławy, Colin postanowił się ustatkować. Zatrudnił się na kilka lat w innym wydawnictwie, tym razem w Nowym Jorku. Moloch osaczył go jeszcze bardziej niż Londyn. Thubron wciąż wracał myślami do rodzinnych podróży na Bliski Wschód. Wreszcie podjął brzemienną w skutki decyzję: spakował manatki i ruszył do Anglii okrężną drogą, przez Nową Zelandię, Australię i Azję Południowo-Wschodnią. Zatrzymał się na trzy miesiące w stolicy Syrii, odświeżył dawne wspomnienia i zebrał materiał do swojej pierwszej książki „Mirror to Damascus", wydanej w 1967 r.

Była to również pierwsza od stu lat anglojęzyczna książka o tym mieście – wciąż jeszcze niedojrzała, ale wyznaczająca kierunek późniejszej ewolucji pisarstwa Colina Thubrona.

Młodzieńcze olśnienie Bliskim Wschodem i krajami basenu Morza Śródziemnego stopniowo ustępowało fascynacji rzeczywistością coraz bardziej odległą, coraz mniej zrozumiałą. Zwrócił się w stronę Rosji, Chin, poradzieckich republik w Azji Środkowej. Spoglądał na ten niewyobrażalny świat oczami poety. Niespecjalnie interesował się polityką. Chłonął atmosferę miejsc, zapamiętywał barwy, dźwięki i zapachy, rozmawiał z przygodnymi ludźmi, cierpliwie wysłuchiwał ich opowieści i rzutował je na przygotowane wcześniej tło: historyczne, społeczne, kulturowe.

Do każdej kolejnej podróży przygotowywał się coraz bardziej skrupulatnie: przez długi czas wytyczał marszrutę, gromadził kontakty, zgłębiał wiedzę o miejscowej przyrodzie, studiował geografię i kulturę materialną regionu. Próbował się uczyć miejscowych języków, choć nigdy nie miał zadatków na poliglotę.

Komandor

W trasę ruszał sam. Nie robił zdjęć. Wrażenia spisywał drobnym, niewyraźnym pismem, przywodzącym na myśl skojarzenia z kodem dziadka Morse'a. A potem przekładał je na wyrafinowany poemat prozą – gęsty, wielowarstwowy,

a zarazem skondensowany do postaci, w której trudno się dopatrzyć choćby jednego niepotrzebnego zdania. Zaskakujący bogactwem środków, zmuszający czytelnika do wyłapywania sensów ukrytych w nietypowych związkach frazeologicznych, wikłający go w grę, w której klucz do zagadki kryje się w wyszukanej manipulacji rytmem, kadencją i brzmieniem słów.

Moje drogi z pisarstwem Thubrona zeszły się przez przypadek. Zaprzyjaźniony redaktor bez przekonania podetknął mi pod nos świeżo sprowadzony egzemplarz „Shadow of the Silk Road", którym właśnie pogardził kolega z działu beletrystyki i podrzucił go, jak kukułcze jajo, do działu non-fiction. Cały ówczesny dorobek Thubrona, do 2009 r. włącznie, leżał w Polsce odłogiem. Przez rynek wydawniczy przetaczała się właśnie pierwsza fala zainteresowania reportażem, na której można było wypromować przekład „Cienia Jedwabnego Szlaku". Otworzyłam książkę na chybił trafił i zatrzymałam wzrok na zdaniu o drodze do Andchoj – miasta w afgańskiej prowincji Farjab, z którego właśnie wróciłam. Ręce mi się zatrzęsły, dreszcz przeszedł po krzyżu i podpisałam umowę.

Nad pierwszym rozdziałem biedziłam się miesiąc. Najpierw uznałam, że za słabo znam angielski, potem dopadło mnie dziwne poczucie, że nie znam polskiego, wreszcie pojęłam, o co w tym wszystkim chodzi, i z nabożną czcią wystukałam na klawiaturze zdanie otwierające: „Pusto tu o świcie". Liczyło raptem cztery słowa, a miałam wrażenie, że w przekładzie trzeba było połączyć wszystkie trzy metody wskazane przez Johna Drydena: metafrazę, parafrazę i – dla równowagi – odrobinę imitacji. W połowie tłumaczenia miałam już pewność, że obcuję z arcydziełem, po skończonej pracy nad całością naszła mnie refleksja, że opanowałam jakiś nieznany, uwodzicielsko piękny język obcy, którym chcę się natychmiast podzielić z całym światem.

Spolszczyłam w sumie trzy książki Thubrona. „Utracone serce Azji" – swoisty poprzednik „Cienia Jedwabnego Szlaku" – znalazło się w 2012 r. na liście książek nominowanych do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Rok wcześniej „Po Syberii" dotarło do finału.

Pisałam wówczas, że „Thubron przekonał się w drodze, że Syberia z jego wyobrażeń nie istnieje i być może nigdy jej nie było. Jest za to kraj bezdusznego okrucieństwa i olśniewająco pięknych krajobrazów: dawny śmietnik imperium, »dokąd zsyłano bakcyle trawiące ciało państwa: przestępców, sekciarzy, dysydentów«, a zarazem – paradoksalnie – dziedzina pierwotnej wolności, nieskażonej zgnilizną świata zewnętrznego. Thubron obserwuje ją z dystansem i czułością, zamiast oceniać, próbuje zrozumieć, choć niektóre epizody z dziejów Syberii wydają się ponad wszelkie pojęcie i miarę ludzkiego cierpienia. A mimo to Syberia wciąż żyje, wybija się niezmordowanie spod wiecznej zmarzliny i z ruin łagrowych baraków. Żeby oddać jej istotę, Thubron posługuje się językiem odrębnym jak ona sama".

Kolejne dwie książki Colina Thubrona, w przekładzie Pawła Lipszyca – wstrząsająca „Góra w Tybecie", zapis osobistej pielgrzymki pisarza na Kajlas, a zarazem w głąb własnej refleksji o trzech najważniejszych śmierciach w życiu, przypieczętowanych odejściem matki; oraz „Za murem", relacja z odbytej w latach 80. podróży do Chin – ukazały się rok po roku, ostatnia w 2015, i przeszły właściwie bez echa. Następnych tłumaczeń nie widać. Czyżby rynek się nasycił?

Poniekąd tak, ale nasycił się nie tyle prozą Thubrona i innych klasyków prozy podróżniczej – Patricka Leigh Fermora, Nicolasa Bouviera, Bruce'a Chatwina – ile nadprodukcją reportażu, nie zawsze literackiego, często niechlujnie redagowanego, w coraz większym pośpiechu i za coraz mniejsze pieniądze przekładanego z języków obcych. Wydawcy padli ofiarą własnej strategii marketingowej, podciągając te arcydzieła pod kategorię nadzwyczaj pojemną, ale stopniowo wychodzącą z mody. Thubron nie jest ani dziennikarzem, ani opisującym wrażenia z podróży obieżyświatem, którego książkę można zabrać na wakacje razem z przewodnikiem Lonely Planet. Jest jednym z największych powojennych pisarzy języka angielskiego, kilkukrotnym laureatem najstarszej na Wyspach Brytyjskich nagrody literackiej The Hawthornden Prize i komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego.

Amur

Thubron jest także – o czym nie wiedzą nawet jego wielbiciele w Polsce – wybitnym beletrystą. Tym bardziej zasługującym na uwagę, że jego powieści, zarówno w strukturze, jak i w treści, są całkowitym zaprzeczeniem jego literatury podróżniczej. Traktują przeważnie o niemożności: dotarcia do celu, pokonania ograniczeń własnego ciała i umysłu, wyrwania się na wolność z miejsca przymusowego odosobnienia.

Wydaną w 2016 r. „Night of Fire" – przejmującą metaforę ludzkiego losu, oddaną przez pryzmat historii sześciu osób zamkniętych w płonącym domu – krytycy postawili na równi z najdojrzalszymi travelogue'ami w jego dorobku. Twórczość Thubrona nie byłaby pełna ani bez historycznej powieści „Emperor" o cesarzu Konstantynie, ani bez nominowanej do Nagrody Bookera „To the Last City" – opowieści o żałosnej wyprawie pięciorga Europejczyków do ruin inkaskiej stolicy Vilcabamba.

W czerwcu Thubron powrócił z kolejnej wyprawy do Rosji – ostatniej przed ukończeniem swej najnowszej książki o rzece Amur, naturalnej granicy dzielącej olbrzymie połacie dwóch najbardziej niewyobrażalnych dla Europejczyka państw świata: Rosji i Chin. Od kilku lat, po raz pierwszy w swym długim życiu, ma do kogo wracać. W 2010 r., w wieku 71 lat, ożenił się z niewiele młodszą Margretą de Grazia, wybitną znawczynią spuścizny Szekspira. Może będzie teraz pisał wolniej i jeszcze staranniej.

Może w zaciszu swego domu w londyńskiej dzielnicy Holland Park stworzy kolejne arcydzieło. Bardzo bym chciała, żeby czytelnicy znów mogli wrócić do corocznego rytuału otwierania świeżych, pachnących farbą drukarską książek Colina Thubrona w polskich przekładach. Życzę tłumaczom, żeby kiedyś doznali podobnych wzruszeń, jakie przypadły mi w udziale, kiedy stawiałam kropkę po ostatnim zdaniu „Po Syberii": „I na tym zmarzniętym stoku zaczyna śpiewać".

© DOROTA KOZIŃSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za 69 zł

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych wydań specjalnych (numery 4/2019 i 1, 2, 3/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne. Chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W ciemni

ANITA PIOTROWSKA

Bohaterowie Ozona reprezentują różne światopoglądy, ale prócz doznanych w dzieciństwie krzywd łączy ich potrzeba doprowadzenia przed sądy tych, którzy złamali prawo i czyjeś życie. Uczynkiem czy zaniedbaniem.

„Dzięki Bogu, sprawy te są już przedawnione". Takie słowa wypowiedział podczas konferencji prasowej w 2016 r. Philippe Barbarin, arcybiskup Lyonu, zwierzchnik francuskiego Kościoła. Miał na myśli ks. Bernarda Preynata, oskarżanego o wieloletnie molestowanie chłopców, których mogły być nawet setki. To zdanie pada również w filmie François Ozona i stąd wziął się jego ironiczny tytuł. Nieintencjonalnie kardynał wyraził w ten sposób ulgę – że domniemany winowajca może dzisiaj spać spokojnie, a i on sam, obarczony zarzutem tuszowania przestępstw, uniknie odpowiedzialności. Co gorsza, kościelny dostojnik wmieszał w to wszystko jeszcze Boga, co uczyniło jego wypowiedź szczególnie dwuznaczną.

Francuski reżyser nie atakuje jednak religii jako takiej. Dramatyzuje na ekranie autentyczne zdarzenia, które w ciągu ostatnich miesięcy, czyli już po premierze filmu na festiwalu w Berlinie, gdzie otrzymał on Wielką Nagrodę Jury, miały swoje kolejne epilogi. Jednym z nich była próba zablokowania dystrybucji filmu we Francji przez prawników ks. Preynata ze względu na trwający jeszcze jego proces. Ale twórca „Dzięki Bogu" sadza na ławie oskarżonych sadza nie tylko konkretnych przedstawicieli kościelnej instytucji, lecz poniekąd także ją samą, odpowiedzialną za systemowe ukrywanie aktów pedofilskich. I, mimo zdecydowanej postawy papieża Franciszka, ciągle niezdolną do samooczyszczenia. Tak jak Tom McCarthy w „Spotlight" skupiał się na pracy bostońskich dziennikarzy śledczych, a Wojciech Smarzowski w „Klerze" na patologiach polskiego duchowieństwa, tak Ozon przede wszystkim oddaje głos osobom skrzywdzonym przez „wilków w koloratkach". Niegdysiejsi katoliccy skauci mają w jego filmie po trzydzieści parę, czterdzieści lat i różnie sobie radzą z traumą. Na wieść o tym, że ich oprawca nadal sprawuje funkcje duszpasterskie, w dodatku prowadzi nauki biblijne dla dzieci, decydują się przełamać milczenie, ażeby dać świadectwo bolesnym doświadczeniom i uchronić przed nimi innych. Wreszcie, by sprawiedliwości stało się zadość, niezależnie od tego, że większość spraw rzeczywiście uległa przedawnieniu.

Film rozpoczyna się żarliwie szeptaną modlitwą – pierwszą bowiem dorosłą ofiarą Preynata, która próbuje dziś reagować na jego bezkarność, jest głęboko wierzący Alexandre, dobrze sytuowany ojciec piątki dzieci uczęszczających do katolickiej szkoły (w tej roli Melvil Poupaud). To on nawiąże kontakt z byłym oprawcą i jego przełożonymi, by przekonać się, jak silny jest bezwład instytucji. Choć nie skończy się na uderzeniu pięścią w stół podczas wizyty w domu diecezjalnym. Prawdziwą lawinę uruchamia dopiero znacznie bardziej gniewny François (Denis Ménochet), który pod wpływem bliskich spotkań z księdzem zdążył utracić wiarę, a teraz postanawia nagłośnić sprawę i nakłonić kolejne ofiary do wyjścia z szafy. Niektóre podejmowały próby samobójcze, inne zaś, jak zraniony psychicznie i fizycznie Emmanuel (Swann Arlaud), ciągle nawiedza wspomnienie ciemni fotograficznej, w której ksiądz Preynat gwałcił swych podopiecznych. Równolegle do aktywności stowarzyszenia Wyzwolone Słowo, powołanego przez ofiary i ich rodziny, obserwujemy proces zarządzania kryzysem przez lyońskich purpuratów. Słyszymy też znany skądinąd zestaw samousprawiedliwień: „mroczna strona duszy", „choroba", „rozdrapywanie ran"... Gdzie tu miejsce na publiczne wyznanie win?

Ozon nakręcił film zaangażowany i jednocześnie wyważony emocjonalnie. Pozwalając przemówić faktom, uniknął pokusy demonizowania księży. Oskarżenie korporacyjnej polityki Kościoła odbywa się z pozycji uzbrojonego w kamerę prokuratora, ale i wiernego sojusznika tych wszystkich, którzy wypluli wreszcie dławiący ich knebel. Którzy przezwyciężając własny ból i wstyd, oczekują, że ich prześladowcy oraz ich instytucjonalni pomocnicy odważą się wreszcie stanąć w prawdzie.

Wiele miejsca zajmuje w „Dzięki Bogu" także rodzinny kontekst pedofilii. Jak zachowali się kiedyś rodzice małoletnich ofiar? Jak mówić o tym do własnych dzieci? Jak budować intymne relacje po tym, co zdarzyło się w ciemni? Wszak syndrom ofiary rozlewa się i zaraża, choroba przeniesiona drogą płciową dotyka związków i całych rodzin. Sam reżyser, lubiący wyrafinowane zabawy z ekranową fikcją („Frantz") czy zakazanymi

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

JEAN-CLAUDE MOIREAU / MAT. PRASOWE

Davan Collin jako syn Alexandre'a w filmie „Dzięki Bogu"

fantazjami („Basen"), tym razem pokornie wycofuje się, chowa za swoimi bohaterami. Narracja ma w dużej mierze charakter epistolarny (co jest francuską specjalnością) i prowadzona jest w czystym, wręcz eleganckim tonie, bez stylistycznych ekstrawagancji. Nawet retrospekcje są tu jedynie mglistymi przebitkami świadomości, przywracającymi na moment to, co głęboko wyparte. Rozmyślna prostota formy pozwala jeszcze mocniej wybrzmieć drastycznym szczegółom z przeszłości, ale też pokazać współczesne zależności ofiar wobec Kościoła. Dla tych, którzy przywiązali się do obrazu laickiej Francji, problem diecezji lyońskiej, latami zamiatany pod dywan, tudzież ukazane w filmie dzisiejsze obawy pokrzywdzonych przed narażeniem się hierarchom czy szeregowym katolikom, musi budzić zdumienie.

„Wybaczysz mu?" – pyta synek Alexandre'a. Jest mniej więcej w tym wieku, w którym był bohater, kiedy jeździł na obozy z ks. Preynatem. Ozon jako zdeklarowany ateista nie ma jednak zamiaru rozmywać tematu chrześcijańską retoryką. Pokazuje, jak oprawca wabi małego skauta słowami „chodźmy się pomodlić", a dziś za pomocą modlitwy próbuje zagadać swoje przewiny. Pozornie „neutralna" scena, w której starsi synowie ofiary przystępują do bierzmowania z rąk współwinnego kardynała Barbarina, przeszywa dreszczem. Czy ich ojciec, ujrzawszy skalę całego procederu i poznawszy z bliska determinację innych ofiar, zdoła ocalić swoją wiarę? Sam scenarzysta i reżyser wierzy w międzyludzką solidarność. Alexandre, François, Emmanuel należą do różnych warstw społecznych, reprezentują różne światopoglądy, ale prócz doznanych w dzieciństwie krzywd połączyło ich coś jeszcze: potrzeba doprowadzenia przed sądy tych, którzy kiedyś złamali prawo i czyjeś życie. Uczynkiem czy zaniedbaniem.

W „Dzięki Bogu" można znaleźć również akcenty polskie. Przywołana została sprawa bp. Wesołowskiego, w gabinecie arcybiskupa wisi zdjęcie przedstawiające bezbronnego chłopczyka z warszawskiego getta, a spory wokół planowanego przez stowarzyszenie happeningu z fallusem kojarzą się z rodzimą debatą na temat znieważania religijnych symboli. Mając w pamięci filmową przypowieść Smarzowskiego czy mocny dokument Sekielskich, bijące w Polsce rekordy oglądalności, można pocieszać się, że przynajmniej rodzime kino stanęło na wysokości zadania. W przeciwieństwie do Francji, nasza rzeczywistość, polityczna i prawna, w dalszym ciągu nie nadąża za prawdą ekranu. ©

DZIĘKI BOGU *(Grâce à Dieu) – reż. François Ozon. Prod. Francja/Belgia 2018. Dystryb. Against Gravity. W kinach od 20 września.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [21 – 27 IX]

1. Yallah! Underground

Dokumentalny, reż. Farid Eslam, Egipt /Niemcy/USA/Czechy /Wielka Brytania /Kanada, Canal+ Dokument, 22 IX, 00.25

„Arabska wiosna" rozbudziła w nich nadzieje na zmianę, ostatnie lata przyniosły jednak zwątpienie i rzuciły nowe wyzwania. Bohaterami filmu są twórcy i twórczynie podziemia muzycznego z Egiptu, Libanu czy Jordanii, którzy dla swojego regionu stali się głosem wolności.

2. Bigda idzie!

Teatr TV, reż. Andrzej Wajda, Polska 1999, TVP Kultura, 24 IX, 20.30

Jak po dwudziestu latach, w zupełnie innej Polsce, zabrzmi adaptacja prozy Juliusza Kadena-Bandrowskiego? Dziś, kiedy zamiast Wajdy mamy Patryka Vegę, a politycy zachowują się, jakby grali w filmie tego ostatniego, diagnozy z czasów międzywojnia mogą być jeszcze bardziej aktualne. W roli tytułowej Janusz Gajos.

3. Ptasiarze

Dokumentalny, Netflix, od 25 IX

Nowa produkcja platformy streamingowej powstawała po obu stronach granicy między USA a Meksykiem. Żyjące tam ptaki żadnych granic nie uznają, lecz bohaterami dokumentu są przede wszystkim ci, którym leży na sercu los najbardziej unikalnych gatunków.

4. Podwójne życie

Komediodramat, reż. Olivier Assayas, Francja 2018, Cineman VOD

Pisarz, wydawca, aktorka, szefowa PR pracująca dla znanego polityka – nie pierwszej już młodości bohaterowie próbują odnaleźć się w dzisiejszym świecie, rządzonym przez rynek, kłamstwa i nowe technologie. Twórca „Sils Maria" i „Personal Shopper" z ironią przygląda się paryskim „wykształciuchom".

Lektor:
Jest tylko litość

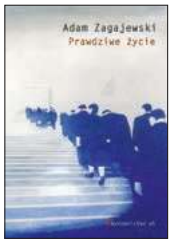

▪ *Adam Zagajewski,*
PRAWDZIWE ŻYCIE
Wydawnictwo a5,
Kraków 2019, ss. 76.

Dobrze jest zacząć od wiersza, który tę książkę otwiera. „Dużo milczy, mało się uśmiecha. Lekarze zalecają mu usilnie / żeby unikał wzruszeń. // Mówi: jednego się nauczyłem / Jest tylko litość – / dla ludzi, zwierząt, drzew i obrazów. // Istnieje tylko litość, / zawsze spóźniona". Kto mówi? „Nieco podobny do Tołstoja starzec" to miniony wiek, wiek XX na emeryturze. Wiek, w którym żyli rodzice i dziadek Karol, lektor na lwowskim uniwersytecie, pilnujący punktualności studentów strażnik ładu w świecie u progu jego końca. A także ocalały z Zagłady późny samobójca Jean Améry, „człowiek kruchy tak jak inni // Bywalec bibliotek oczytany samouk", dla którego tematem kluczowym stały się tortury: „Był samoukiem w tej dziedzinie // Nie wiemy jak można być ofiarą / Albo katem // Wszystko inne jest łatwe / (łatwiejsze powiedzmy)".

Na okładce, na obrazie belgijskiego artysty Jana Vanrieta pochód anonimowych ludzi (widzimy tylko ich plecy) znika gdzieś w oddali. Wypędzeni, wysiedleni, może idący na śmierć, bliscy tym, którzy dziś czekają na niezliczonych granicach. I tym z wiersza „Joga głosów szpitalnego korytarza". „Tutaj już nie ma współczucia / współczucie wyszło i długo nie wraca / nie zostawiło adresu". Litość, współczucie, pamięć, przywoływanie imion, ożywianie zacierających się rysów – tyle można zrobić dla uczestników tego milczącego pochodu. Elegijny ton dominuje w „Prawdziwym życiu", podobnie jak w wydanej pięć lat temu „Asymetrii". Podobnie jednak jak tam przełamywany bywa nagłym błyskiem, zapisem chwili szczęśliwej beztroski, obrazem takim jak w „Figach": „Figi są słodkie, lecz nie trwają długo. / W transporcie szybko marnieją, / mówi właściciel sklepiku. / Jak pocałunki, dodaje jego żona, / zgarbiona staruszka o wesołych oczach", albo we wspaniałej i szczególnie bliskiej mojemu sercu „Magnolii".

Jest też w tym tomie autoironia, jak w „Bezdomnym" („Moi przyjaciele radzą mi / Żebym już przestał lamentować...") albo „Instrumencie", zabawnej parodii monologu dociekliwego dziennikarza. Są poetyckie nawiązania do Różewicza („Deszcz we Lwowie") i Szymborskiej („Powołanie Mateusza"). I jeszcze jedna rozpisana na dwa wiersze elegia, a zarazem pochwała przyjaźni – pożegnanie amerykańskiego poety C.K. Williamsa. Bo „przyjaźń jest prozą miłości". Piękna formuła – i piękna książka. ©℗

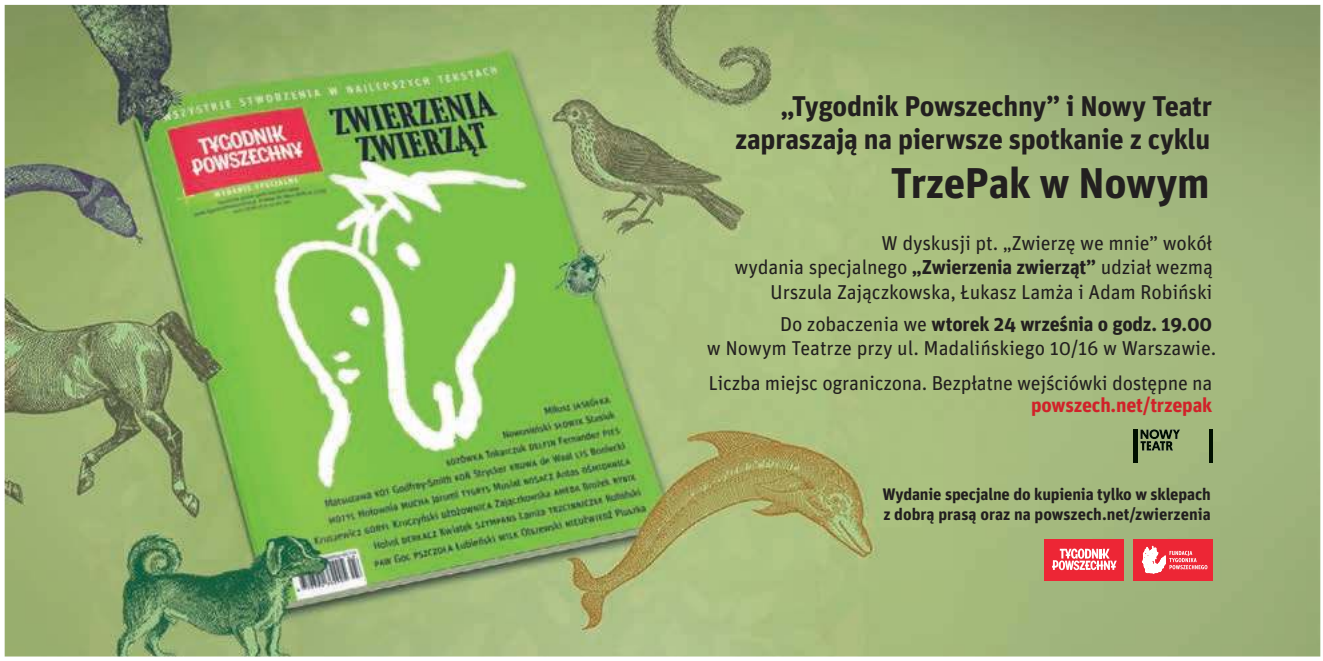

„Tygodnik Powszechny" i Nowy Teatr zapraszają na pierwsze spotkanie z cyklu
TrzePak w Nowym

W dyskusji pt. „Zwierzę we mnie" wokół wydania specjalnego **„Zwierzenia zwierząt"** udział wezmą Urszula Zajączkowska, Łukasz Lamża i Adam Robiński

Do zobaczenia we **wtorek 24 września o godz. 19.00** w Nowym Teatrze przy ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie.

Liczba miejsc ograniczona. Bezpłatne wejściówki dostępne na **powszech.net/trzepak**

NOWY TEATR

Wydanie specjalne do kupienia tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Europejski styl życia

Nikt nie zakładał, że pogodzenie interesów Ludzi, Wolkanów, Andorian i Telarytów pójdzie łatwo, ale kiedy prezydent Zjednoczonej Federacji Planet przedstawiła skład sekretariatu, w kwadrantach alfa i beta się zagotowało, aż zaczął się snuć swąd przypalonej Drogi Mlecznej.

Gdybyście tak jak ja nudę kuchennych obowiązków zabijali oglądaniem scenek z życia brukselskiej bańki, mielibyście te same skojarzenia ze „Star Trekiem". Ludzie odpowiedzialni za stylówę pomieszczeń w unijnych biurach nie wyszli poza sny z XX w., kiedy każdy chłopak miał dwa marzenia: pozbyć się pryszczy i znaleźć się na pokładzie statku „Enterprise".

Wróćmy jednak na Ziemię, tę, która z braku przywódców na miarę kapitana Picarda zmierza ku zagładzie. Było jasne, że układ nowej Komisji Europejskiej wywoła nieco połajanek. Tudno się dziwić Ursuli von der Leyen, że układając puzzle z krzyżujących się ambicji partii i krajów, musiała rozmydlić przykrą prawdę, że realnej władzy i konfitur jest znacznie mniej niż chętnych. Pomogły jej poetycko brzmiące przydziały kompetencji. Z pozoru poważne, np. „demokracja i demografia", jednak w istocie tak puste, że aż się proszą o nieprzyzwoite kalambury, by je wypełnić treścią godną zapamiętania. Co łączy seks z parlamentaryzmem? Zachowam ten dowcip dla przyjaciół.

Ale kto by pomyślał, że na najgorszą minę przewodnicząca wdepnie, powołując Margaritisa Schinasa na „zastępcę ds. ochrony europejskiego sposobu życia". Głupie aluzje, że Grecy znają świetny „sposób na życie", zamarły na ustach, kiedy się okazało, iż zajęciem komisarza ma być dopilnowanie, by Europa zrobiła coś z migracją. Uszczelniła granice, zadbała. żeby wpuszczać tylko tych, którzy mają potrzebne kwalifikacje. Krótko mówiąc: pan Schinas ma być skuteczniejszym niż dotąd bramkarzem klubu dla bogatych.

Gdyby premier Morawiecki powołał pełnomocnika ds. ochrony polskiego sposobu życia z prawem do nadzoru nad strażą graniczną oraz resortem edukacji (mniej więcej takie delegacje otrzymuje Schinas), byłoby zaraz głośno o tym, że katoprawica zamyka nas w zaścianku między kruchtą a ogródkiem piwnym. Podniesiony do skali europejskiej zaścianek zamienia się w „fortecę", krytycy decyzji pani VDL odwołują się do tego pojęcia. Zaścianek czy forteca, nieważne – ale co jest w środku? Jak diabeł z pudełka wyskakuje pozornie proste pytanie, czym jest europejski sposób życia.

Gdy odganiamy od granic tłumy, chcące w nim mieć udział, to jasne, że chodzi o dobrobyt i pokój. Ale przyznajmy, że to dobrodziejstwa świeżej daty, niechże minie kilka pokoleń bez wojen i głodu, zanim dumnie obwieścimy, iż to naprawdę nasz sposób życia. Chrześcijańska bojaźń boża, przyrodzona godność jednostki, równi wobec władzy obywatele – to ogólniki, pasujące w dodatku do Ameryki (i żaden Trump tego na razie nie zmieni). Schodząc na poziom obyczajów, mitów i zasad organizujących codzienność, zostajemy raczej z niczym.

Widać to najlepiej po tym, jak pustym pojęciem jest „kuchnia europejska". Cóż to miałoby być? Europejskość restauracji w wielkich sieciowych hotelach to cienki destylat kuchni francuskiej z akcentami włoskimi i raczej pasuje do tego nazwa „kuchnia międzynarodowa", co kojarzy się z bezpłciową średnią arytmetyczną. Przypuszczam, że podobny wstręt lub rozbawienie czuje przybysz z Indii, widząc nasze restauracje „indyjskie". Przemożny trend skupiania się na bardzo lokalnie zdefiniowanych potrawach i tradycjach pokazuje, że chcąc poznać Europę od stołu, szukamy partykularyzmów, a nie wspólnego mianownika. Między bufetem na Oktoberfeście a kolacją z sera, oliwek i butelki wina dla turystów kupujących wycieczkę śladami komisarza Montalbano zieje przepaść. Może biegną ponad nią trudno uchwytne w słowach mosty, ale jeśli urzędowo spróbujemy wyznaczyć ich mapę, prysną jak bańka mydlana.

W świecie „Star Treku" obowiązywała tzw. pierwsza dyrektywa: „Prawo do życia każdej istoty zgodnie z jej naturalną ewolucją kulturową jest święte. Personel Gwiezdnej Floty nie może zakłócać normalnego rozwoju życia i kultury innego gatunku. Nie wolno stosować wiedzy, siły lub technologii wobec rasy, która nie jest w stanie rozumnie posługiwać się tymi narzędziami". Sensownie pomyślane. Ale to przecież amerykański serial. ©℗

Mamy w Polsce zrozumiałą skłonność do uznawania za „europejskie" tego, co przychodzi z południa i oczywiście zachodu. Dlatego np. za radosny objaw postępu przyjmuje się coraz to nowe uprawy winorośli szlachetnej. W zapomnienie idą te „nieszlachetne" gatunki, często hybrydy z gatunkami azjatyckimi, które rosły na przysłowiowej działce u dziadka. Wina z nich zrobić się nie da (a wręcz nie wolno, Unia zakazuje nazywać to winem), ale miewają czasem fantastyczny aromat. Jeśli macie do nich dostęp, polecam świetne odświeżające risotto. Najpierw trzeba zrobić zagęszczony przecier z owoców: pół kilo winogron lekko rozgniatamy, wkładamy do garnka i gotujemy pod przykryciem kwadrans, przecieramy potem przez sito (co bywa żmudne, bo miewają bardzo grubą skórkę). Sok doprowadzamy prawie do wrzenia, dodajemy łyżkę skrobi kukurydzianej, dokładnie mieszamy, studzimy – powinno się ładnie zagęścić. Przygotowujemy risotto z 320 g ryżu, uprażonego najpierw na ucho, potem gotowanego wolno w lekkim bulionie warzywnym. Kiedy już będzie gotowe, mieszamy intensywnie z łyżką masła, dodajemy rozdrobnione 250 g słodkiego bundzu (i ewentualnie garść parmezanu), na wydaniu polewamy strużkami przecieru. Można dla urody ozdobić posiekanymi pistacjami.

THOMAS SÖLLNER / ADOBE STOCK

ZIELICHA

Nie ma człowieka, który nie umiałby wejść w kontakt z roślinami. Zacznij od trawnika. Dotknij go. Nie tak. Spróbuj z czułością, jakbyś dotykała kogoś bliskiego – mówi Hanna Świątkowska.

TEKST ANNA GOC ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

Dokąd pójdziemy? Rozejrzyj się tylko. Nie musimy szukać specjalnego miejsca. Spójrz na ten trawnik. Jaki jest gęsty. Jak potrafi otulać. Jaki opiekuńczy. Widać, że długo żyje. Wypełniony, bogaty. Gdyby nie to, że jest skoszony, byłby wielopiętrową łąką. Już wiesz, że o jakości decyduje różnorodność. I że im różnorodniej, tym lepiej dla wszystkich.

Tu jest inaczej niż w sklepie, gdzie warzywa z przemysłowych upraw są jak mięso wystawiane na ladzie. Tam jest martwo. Stając obok nie odczuwam żadnej energii. Ale nie sugeruj się mną.

ZATRZYMAJ SIĘ TU NA CHWILĘ. Od trzydziestu lat jestem w kontakcie z ziołami. Najpierw robiłam to dla siebie. Później prowadziłam warsztaty i udzielałam porad zielarskich. Teraz prowadzę tylko warsztaty. Zaczynamy od imion ziół. Choć w tym plemieniu nikt ich sobie nie nadaje. Kto by się tam chciał imieniem wyróżniać? I bez tego wiadomo, kogo na co stać.

Imiona roślinom nadają ludzie.

Malwa. Już przekwitła, bez kwiatów, ale jeszcze z liśćmi zmiękczającymi i łagodzącymi blizny.

Wierzbownica. Spójrz, jak potrafi bez żalu i złości oddać nasiona, mimo że jej liście są świeże, a kwiaty wciąż w kolorze zimnego różu. I ona może zdziałać cuda, choćby na męskie hormony. Ale nie na wybrane, tylko na cały układ hormonalny. Ot, co: mądrość.

Bodziszek. Kwitnie ich u nas dużo, ale najbardziej znany jest ten łąkowy, z ciemnoniebieskimi kwiatami. Powstrzymuje krwawienie, dezynfekuje skórę. Jego sproszkowanymi liśćmi możesz posypywać rany, ale tylko te cielesne.

Obok tojeść kropkowana. O tej porze roku można jeszcze jeść jej kwiaty. Oczyszcza nas. A za nią róża. Im dziksza, tym jej płatki smaczniejsze. Piękna i innym piękna dodająca. Gdybyś chciała wodę kwiatową z jej płatków, wystarczy, że wsypiesz je do kawiarki zamiast kawy.

Ogórecznik. Niepospolity wygląd, smak ogórka. Szorstka łodyżka pokryta włoskami. Bywa i mądry: jego kwiaty pite z winem przez rzymskich legionistów przed walką dawały im energię; i użyteczny: z włochatych łodyżek, utartych z miodem, jest dobry syrop na gardło. Daj mi swoją dłoń. Proszę: kwiaty ogórecznika na jutrzejszy poranek. Ale jesteś rozwibrowana. Skąd to wiem? Jeśli czuję wibracje roślin, to ludzi tym bardziej.

No i cudotwórca: nagietek. Jednej rzeczy tylko nie potrafi – działać przeciwbólowo, doraźnie. Warty uwagi także o poranku: jeśli o dziewiątej jego płatki są rozłożone równolegle do ziemi, to znaczy, że tego dnia nie będzie padać.

CZY ZIOŁA WIEDZĄ, CO JE CZEKA? Są zagubione. To kolejny rok, gdy kwitną nie w porę. Wrotycz był już w pierwszej połowie

Hanna Świątkowska, Szkoła Wrażliwości, Kapkazy k. Bodzentyna, sierpień 2019 r.

lipca, choć jeszcze kilka lat temu zakwitał w trzecim tygodniu sierpnia. Tego lata równocześnie pojawiły się wiązówka błotna i cykoria polna. Pięć lat temu razem nie do znalezienia. To cykoria przyspieszyła swój cykl. Stres?

Być może, choć stres w tym plemieniu raczej nie występuje. Tak, nazywam rośliny plemieniem. Bo między nimi coś się dzieje, jest życie. Są żywymi istotami. One na pewno czują niedobory wody. Próbują się dopasować. Wiedzą, że muszą wydać kwiaty, a potem nasiona i owoce. Naiwność roślin? Powiedziałabym, że rośliny nie mają przekonań. Ani oczekiwań tego, co się może wydarzyć. Żyją teraz. Rosnące tu jednoroczna cynia, dwuletnia malwa, wieloletnie wrotycz czy wierzbownica, gdy przychodzi jesień lub zima, tracą wszystko to, co widzimy nad ziemią. Mają korzenie, a w nich swoją mądrość. Pamięć wywodzącą się z pokoleniowego trwania.

Pióreczka, które puszczam teraz na wiatr, to owoce wierzbownicy wielokwiatowej. W środku są nasiona, z których za rok albo dwa wyrosną nowe rośliny. One bezgranicznie wierzą, że życie trwa. A nie? Nawet jeśli za 50 lat cykorie znikną, życie będzie trwało. I one to wiedzą.

CHWASTY, JAKIE PIĘKNE. Uporczywe – jeśli już raz się pojawią, nie da się ich pozbyć. Gdy byłam mała, nazywaliśmy je z tej okazji krzyżakami. To podagrycznik. Pożyteczny, więc łatwo poszedł w zapomnienie. Przez stulecia wykorzystywany jako warzywo, smakuje i pachnie jak seler. Gdy rosła u nas tylko dzika marchewka, której korzeń jest trudny do zdobycia ↦

i niezbyt smaczny, a seler czy pietruszka nie zdążyły przybyć znad Morza Śródziemnego, używano podagrycznika. Ceniono go za oczyszczającą moc. Można by go stosować zamiast popularnego dziś czystka. Ale kto by się tam chciał chwastem oczyszczać, co innego czystek. Podagrycznik jest dobry na surowo, nadaje się do gotowania, kiszenia, na pesto.

Ludziom, którzy do mnie przychodzą na warsztaty czy spacery ziołowe, mówię: by być w dobrej kondycji, wystarczyłoby codziennie jeść podagrycznik, mniszek lekarski i pokrzywę. Podagrycznik usuwa złogi, głównie z nerek i stawów. Mniszek lekarski wspomaga pracę wątroby i regeneruje ją. A pokrzywa czyści krew i podnosi odporność.

Nie wszyscy chcą wierzyć, że leczy się człowieka, a nie chorobę. Najlepiej zapobiega się chorobom dbając o zdrowie. W codziennym stosowaniu, prozdrowotnym, jak i w leczeniu, zioła wymagają czasu. A ludzie oczekują efektów od razu. Nigdy nie dawałam gotowych mikstur, tylko listę ziół, po które najlepiej byłoby wyjść samemu. Po korzenie roślin wczesną wiosną, nim pojawią się ich naziemne części, lub jesienią, gdy już znikną, podobnie jak po korę drzew. Pączki zbieramy tylko lepkie i błyszczące, choć z nimi oszczędnie, bo one są roślinom potrzebne, by mogły żyć. Liście najlepiej wtedy, gdy osiągnęły już swój kształt, ale są miękkie i delikatne. Kwiaty – w pełni kwitnienia. Nasiona – gdy są już zupełnie dojrzałe.

Ludziom, którzy do mnie przychodzą, mówię: by być w dobrej kondycji, wystarczyłoby codziennie jeść **podagrycznik, mniszek lekarski i pokrzywę.**

A TU, POPATRZ TYLKO NA NIĄ. Jaka dumna. Wyniosła. Niezależna. Dziewanna. Posadzisz ją raz w ogrodzie, wyrastać będzie zawsze. Za każdym razem w innym miejscu, taki jej kaprys. W tym roku spodobało jej się tutaj. Wiosną zawsze jej wypatruję. Sprawdzam w trawach, czy już są jej liście, puchate i w kształcie rozety. Miłe w dotyku, nieprzypadkowo używane do robienia okładów. Zawsze mam dziewannę w domu, co najmniej dwa słoiki żółtych kwiatów, które działają antywirusowo. Kwiaty można wyskubywać z pędu albo zbierać te opadłe. Najlepiej w pełnym słońcu, bo wtedy się otwierają. Choć susz ziołowy zrobić nie tak łatwo. Dobry powinien zachować kolor podobny do tego naturalnego. Co przy dziewannie się zwykle nie udaje, bo kwiaty brązowieją. Dopiero potem, podczas parzenia, odzyskują żółty kolor.

ZWOLNIJMY, USIĄDŹMY. Poczujmy to, co jest dookoła. Najlepiej tu, przy brzozach. Nie znam brzozy, która powiedziałaby „nie" na kontakt z człowiekiem. Ona zawsze jest promienna, nawet zimą. Spójrz za kilka miesięcy na jej gałęzie. Przy niskim, zimowym słońcu będą miały różową poświatę.

Brzoza lubi się nami opiekować. Daje nam swój sok. Wie, czego potrzebujemy po zimie. Tym sokiem otwiera wiosnę, wyznacza początek nowego cyklu. Na jego pobranie daje od kilku dni do nawet miesiąca. Sygnałem, że już czas, są pączki na czubkach gałęzi – stają się lepkie i miękkie. Ten moment można też wyczuć przykładając dłoń do kory. Spróbuj, możesz nawet teraz, jesienią. Ale nie tu, gdzie jest twarda i spękana, tylko wyżej, tam, gdzie jest gładka i łagodna. Czujesz? Przepływ jest spowolniony, ale pulsowanie wyczuwalne.

Czekamy na ten moment z synem i robimy niewielki odwiert wkrętarką elektryczną. Czy ją to rani? Brzoza czuje nawiercanie, ale daje nam na nie zgodę. Wiem to. I ty też będziesz wiedzieć. Przychodzę, zwykle bez uprzedzenia, ale pytam: „Słuchaj, moja droga, potrzebuję twojego soku, dasz?". Siadam przy niej. Czekam. Jednej doby potrafi spłynąć i dziesięć litrów, więcej w ciągu dnia, gdy drzewo jest ogrzane.

Jeśli nie chce oddać soku, nie uda ci się go pobrać. Nawierty najlepiej robić wczesnym rankiem, gdy brzoza zaczyna wybudzać się z nocy, albo przed zmierzchem. A pojawiającymi się na gałęziach małymi listkami mówi nam: dosyć. Nasz wspólny czas tej wiosny się skończył.

DRZEWA ZAWSZE WYCHODZĄ DO NAS ZE SWOJĄ OFERTĄ. Możesz mieć wspaniałą relację z jednym drzewem, co nie oznacza, że nie powinnaś próbować nawiązać podobnej z innym.

Drzewa bywają charakterne. Wierzby – wymagające, stanowcze, czasem zimne i odpychające, innym razem opiekuńcze, ale tylko wobec swojej najbliższej przestrzeni. Lipy znane z łagodności, spokoju, cichości, stabilizujące i wnoszące optymizm. Czasami smutne, ale nie smutkiem beznadziejności, tylko melancholii. Dęby zdecydowane, mocne i szczodre. Jarzębiny – szczodrobliwe i ufne. Topole, wbrew przekonaniom, podobnie jak klony – optymistyczne.

Są indywidualistami także wewnątrz gatunku. Jak ten świerk stojący obok. Kapryśnik. Sporo czasu mi zajęło, nim przyzwyczaiłam go do kontaktu z ludźmi. Świerki często nie mają ochoty się z nikim spotykać. Nieopodal jest sad, a w nim jabłonie, obok aktywny i dynamiczny modrzew, no i ten świerk. Przyprowadzam tu osoby, którym opowiadam o ziołach. I często słyszę, że na ich próby kontaktu świerk odpowiada: wolałbym nie. Zachęcam: spróbujcie go ugłaskać, weźcie małe gałązki w dłonie, podzielcie się sobą. Zwykle pomaga. To stare, silnie zakotwiczone drzewo. Ma żywotne ko-

rzenie związane z energią przodków, jak wszystkie świerki. To się czuje. System korzeniowy drzewa sięga przynajmniej o jedną trzecią dalej niż jego korona. Jeśli zbliżasz się do niego, tak jak teraz, on już wie, że jesteś obok. Stoisz na najbardziej aktywnej części jego korzeni. Poczekaj chwilę, zaraz będziesz wiedziała, czy cię do siebie zaprasza, czy nie.

ZAWSZE BYŁAM W TYM PLEMIENIU. Wolałam być na łąkach, w miejscach, gdzie jest więcej ziół niż ludzi. Najlepiej, jeśli były same zioła. Moja babcia dobrze znała rośliny. Zioła były w kuchni, pomagała nimi ludziom. Ja zaczęłam je wykorzystywać, gdy syn chorował, a jedyną odpowiedzią lekarzy były antybiotyki. Potem zaczęłam sięgać po zioła w domu. Z liści podbiału robić gołąbki, spalonym podbiałem solić. Pojawiający się wiosną krwawnik dodawać do masła, robić kosmetyki, na przykład z róży i nagietka, które podjadają moje koty.

A ONA CHRONI NAS PRZED TYM, CO ZŁE. Bylica zwyczajna ma moc oczyszczania energetycznego. Przez naszych przodków uważana za magiczną, symbolizowała płodność. Podobnie jak dla Indian biała szałwia, do dziś roślina szamańska. Choć na naszym terenie bylica jest silniejsza.

Skąd to wiem? Sprawdziłam. Miałam okazję porównać moc tych roślin podczas spotkania w kręgu, w którym brali udział szamani szkoleni przez rdzennych Indian. Używali obu, na zmianę, i potwierdzili moc działania bylicy. Silnie jonizuje powietrze, podnosi poziom wibracji, działa ochronnie. Ma intensywny, gorzki zapach, dlatego warto połączyć ją z innymi ziołami. Jadąc ode mnie, rozejrzyj się, co rośnie wzdłuż dróg szybkiego ruchu. To będzie ona. Stróżuje przy drogach, zawsze na pierwszej linii. Zbiera to, co najcięższe. Naturalne przestrzenie muszą być ochraniane. Jeśli mają przetrwać, należy im się opatulanie, i bylica to robi. Ma u nas sporo krewnych – na przykład piołun, bylicę polną, i uprawiane: bylicę boże drzewko i estragon. Piołun jest rośliną szamańską, jego dym wprowadza w inne stany świadomości. Używając go trzeba zachować umiar, inaczej może być niebezpieczny, nawet dla życia.

NIE, NIE NAZWAŁABYM SIEBIE SZAMANKĄ. Choć okadzam bliską mi przestrzeń. Ludzie robili to od wieków. Sięgali po kadzidła, gdy ktoś umierał. Dymem oczyszczało się przestrzenie, w których ktoś chorował. Albo gdy w domu działo się coś ważnego. Okadzano ludzi, by wpłynąć na ich nastrój, poprawić sen. Dymu kadzideł używano, wysyłając modlitwy i prośby do bóstw. Dym roślin, które mają energię absorbującą, zabiera ze sobą intencję.

Ale w naszym kręgu kulturowym to wiedza zapomniana, niezachowana. Inspiracji można szukać między innymi wśród szamanów syberyjskich, bo oni mają podobne rośliny.

Jeśli potrzebujesz roślin do okadzania, oczyszczania ciała albo pomieszczenia, możesz zrobić z nich wiązki, najlepiej ciasno związane. Liście szałwii białej są dobre, bo łatwo się ze sobą sczepiają. Innym sposobem okadzania jest przygotowywanie proszku: najpierw rozgniatasz susz, a potem posypujesz nim rozgrzaną płytę. Jeśli chcesz mieć dłuższy efekt, wykorzystujesz węgielki, na przykład takie jak w kadzielnicach kościelnych, można je znaleźć w sklepach ezoterycznych czy z dewocjonaliami.

Dziewanna, w tle Hanna Świątkowska z autorką

NATURA NIE MA STAŁEJ OFERTY. Teraz, jesienią, zioła dają nam to, co może się przydać, by przetrwać zimę. Zima to czas odpoczynku, wyciszenia. Kiedyś nazywano ją małą śmiercią. Dlatego surowce, które teraz możemy znaleźć – owoce, korzenie, nasiona – mają dużą zawartość skrobi, glukozy, tłuszczów.

Coraz częściej spotykam ludzi, którzy wiedzą, że aby dbać o zdrowie, trzeba najpierw poznać siebie. Jesteśmy wtedy bliżej natury, bo my też jesteśmy naturalni. Można zacząć od umiejętności świadomego oddechu. Jeżeli ktoś szuka pomocy, to bez wejścia we własny oddech niewiele da się zrobić.

Spróbuj: opuść ramiona... Niech twoje łopatki się złączą... Pocałują. Wypuść z siebie powietrze. Jeszcze... Niech całe powietrze z ciebie wypłynie. A teraz pozwól, by wpłynęło z powrotem... Porównaj ten oddech, który teraz w ciebie wpłynął, do tego, którym zwykle oddychasz. Sprawdź, jak ten nowy dociera daleko.

CZUJESZ, JAK SIĘ WSZYSTKO USPOKOIŁO, KIEDY ZASZŁO SŁOŃCE? To jest pora, kiedy rośliny odpoczywają po całodziennym słońcu. Ich czas wyciszenia. Aktywne są jedynie korzenie. Zobacz, jak nam pięknie towarzyszą nietoperze. Już chyba pięć przeleciało. Jakby nas chroniły. ©℗ ANNA GOC

HANNA ŚWIĄTKOWSKA, *zielarka, zootechnik. Absolwentka Akademii Rolniczej w Krakowie. Autorka książki „Zielnik pierwszej pomocy" (wydanej jako e-book). Od ponad 30 lat mieszka w woj. świętokrzyskim, gdzie prowadzi warsztaty zielarskie.*

ANDRZEJ

Stasiuk: *List*

Panie, a może byś odłożył na chwilę swoje bieżące zajęcia i wejrzał na mój kraj? Wiem, że masz mało czasu, chociaż jesteś wiekuisty. Mało, bo kraje jednak nie są wieczne i trzeba im spieszyć z pomocą, zanim się pogrążą w jakimś wysoce wstydliwym stylu. Ale do mojego chyba dawno nie zaglądałeś. Wiem, że są ważniejsze, większe, bardziej potrzebujące pomocy. Mój jest średni, ale przecież sroce spod ogona nie wypadł, dlatego proszę Cię, abyś wejrzał. Zwłaszcza na tę jego część, która tak głośno Twoją chwałę głosi. Czyli na zawodowe sługi Twoje oraz na ich elektorat. Lewicę możesz sobie darować, ponieważ raczej nie nadużywa Twego imienia, oraz nie wzywa Cię nadaremno. Można rzec, że lewica w osobliwy sposób zadowolona jest z dzieł Twoich. Natomiast Twoim zawodowym sługom (oraz ich elektoratowi) przydałaby się jakaś pociecha. Żeby przestali trzęść portkami ze strachu.

Bo na razie to jest tak, jakby żyli w jakimś przedpieklu, w Sodomie i Gomorze, w świecie, gdzie tylko czarne diabły, antyprokreacyjny seks z figurami, Moloch, hufce Goga i Magoga plus rozcieńczenie wszechpolskiej krwi za pomocą apokaliptycznej transfuzji. I to wszystko w środku Bożego Świata, w środku Dzieł Twoich, które powinni wielbić. Panie, proszę, ześlij im cnotę męstwa, bo mają pełno w gaciach. Ześlij, proszę, bo zachowują się tak, jakby nie byli u bierzmowania. Najgłupszy juhas wie, że nie można straszyć owiec. Ich serca i tak podszyte są nieustannym lękiem. Spłoszone wpadają w panikę i ulegają rozproszeniu, a wilki i ciernie czyhają na nie. Najgłupszy juhas to wie. A Twoi pasterze sieją strach i zamęt w owczarni. Sami struchlali pędzą stado tam, gdzie wilki i ciernie. Jakby paśli je nie na Twoich zielonych pastwiskach i nie nad Twymi wodami, ale w jakimś Tartarze. Panie, zestrachany pasterz to nie jest pasterz, tylko z koziej dupy trąba. Patrzę, jak się pocą ze strachu pod tymi swoimi strojami. Jakby Belzebub bez przerwy dyszał im w kark. Jakby im tyłki przez te tkaniny wytworne przypiekał ogień piekielny. Więc ześlij im, proszę, chociaż tę jedną cnotę kardynalną. Z resztą możesz poczekać, bo przecież nie wiadomo, czy i tej jednej się nie oprą. Ale spróbuj, proszę. Bo żal owiec i żal kraju. W całym tego słowa znaczeniu średniego, ale przecież i jego szkoda wydawać na pastwę końca wstydliwego. Że się sfajdał ze strachu przed Gogiem i Magogiem, bo mu się wydawało, że jest przynajmniej Izraelem. Albo zemdlał, bo mu chcieli zrobić globalistyczną transfuzję.

Wiesz, Panie, ja się tu niby do Ciebie modlę, ale w głębi duszy też czuję niepokój. No bo co, jeśli oni wcale się nie boją? Wcale a wcale się nie boją, tylko straszą owce, żeby się bały? Łatwo jest wystraszyć owce. Wiem, co mówię, bo sam mam ich kilka. Są lękliwe i nie mają pamięci. Już po chwili zapominają, że dawały się głaskać, że jadły mi z ręki suchy chleb i wpadają w przerażenie, gdy się zjawiam. Muszę je uspokajać pogwizdywaniem i cmokaniem, i zaczynać znajomość od nowa. W czym niby ludzkie stado, człowiecza owczarnia mają być lepsze od owczego? Tak samo łatwo je wystraszyć, a potem poklepywaniem, suchym chlebem i cmokaniem uspokajać. Od nowa i od nowa.

Myślę, Panie, że ci Twoi zawodowcy dobrze o tym wiedzą, tylko im się wydaje, że Ty nie wiesz, bo jesteś zajęty gdzie indziej. Może im się też wydawać, że Cię w ogóle nie ma, więc mogą nas straszyć do woli. Po to, żebyśmy potem przychodzili, że niby nas biorą w obronę przed tym, czym nas straszyli. Nie do Ciebie przychodzili, tylko do nich. Bo do Ciebie niby z jakiej racji, skoro nas nie straszysz? Wiesz, jestem już dość stary i pamiętam te czasy, gdy straszyło się piekłem, i chyba do nich tęsknię, chociaż jako dziecko nieźle się bałem. Ale teraz tęsknię. Żeby mnie ktoś postraszył piekłem. To w końcu było bardziej ludzkie niż straszenie drugim człowiekiem. Kończę już i nie zawracam Ci głowy. Ale na Twoim miejscu to bym sprawdził, o co im naprawdę chodzi. Pozdrawiam. Łączę wyrazy szacunku i podziwu. A.S. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY
MAGAZYN
CONRAD 02
„TP" 38/2019

KERSTIN DECKER
DIDIER ERIBON
CHARLOTTE GORDON
OŁESIA JAREMCZUK
ARNE JYSCH
ANNA KIEREJEWSKA

MICHAEL MAAR
ZYTA RUDZKA
HOLGER TESCHKE
SERHIJ ŻADAN

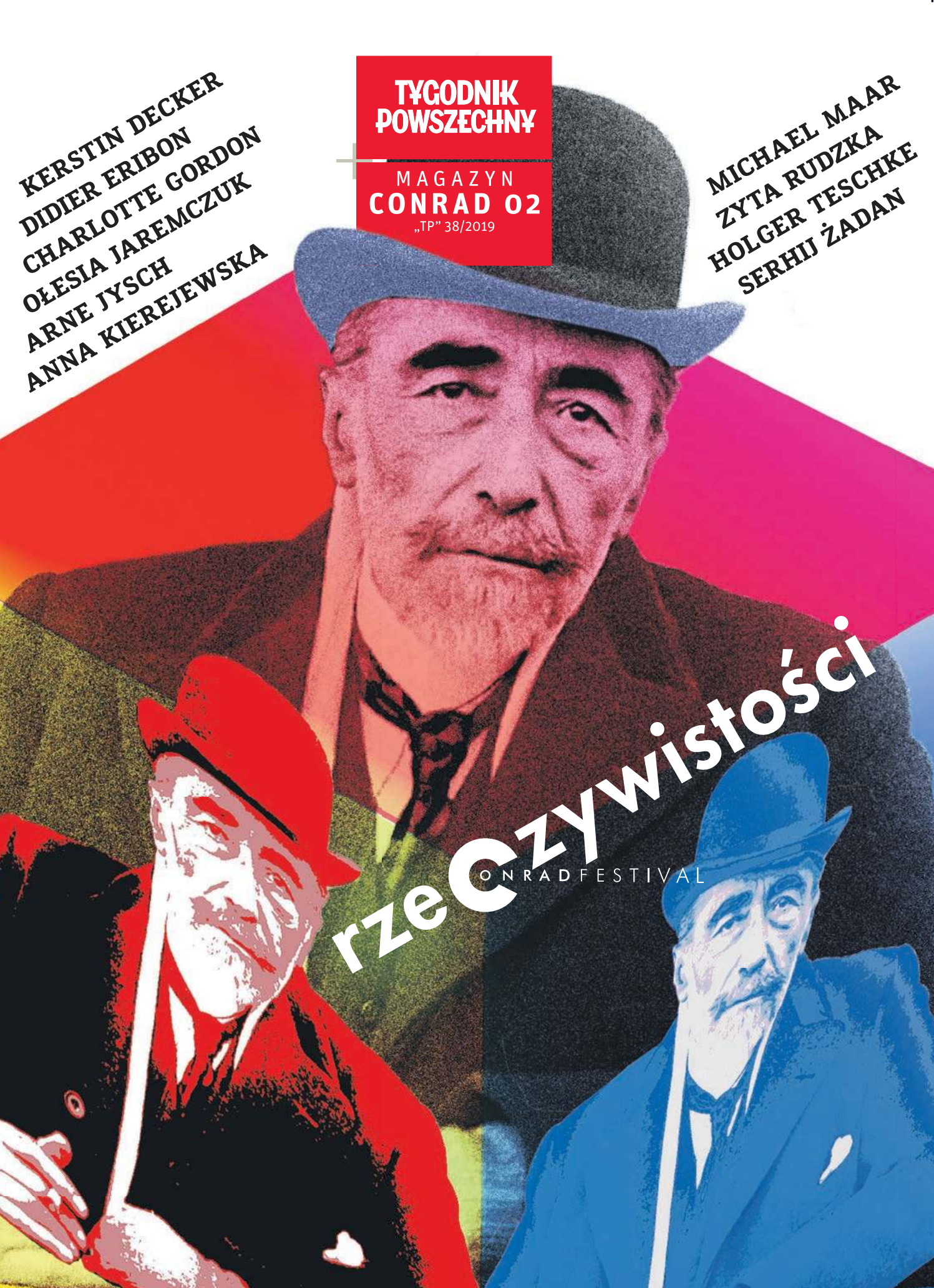

rzeczywistości

CONRADFESTIVAL

Festiwal Conrada
21 – 27 października 2019

GRZEGORZ JANKOWICZ

W poemacie „An Ordinary Evening in New Haven" (Zwykły wieczór w New Haven) z 1950 r. Wallace Stevens, amerykański poeta i prawnik, pisze, że jednym z naszych największych marzeń jest dotarcie do samej rzeczywistości, do świata, którego nie będzie nam przesłaniać żadne słowo. To ostatnie jest bowiem źródłem potencjalnych deformacji, stanowi zasłonę, z którą się nieustannie szamoczemy. Chcemy dotrzeć – przekonuje Stevens – do hotelu, a nie do hymnów, które spadają na rzeczywistość wraz z wiatrem, oblepiając ją jak jesienne liście.

Hotel i hymny – pomiędzy nimi porusza się człowiek. Świat jest zmienny, a my jesteśmy podróżnikami, którzy jedynie od czasu do czasu zatrzymują się w jakimś miejscu na krótki postój. Łatwo takie zdarzenie zignorować, jednak powinniśmy je docenić, gdyż właśnie w takich chwilach rzeczywistość może odsłonić przed nami swoje prawdziwe oblicze. Hymny to figura naszych domysłów na temat świata, naszych opowieści, całej tej gadaniny, za pomocą której komunikujemy się z innymi. Słowo powinno uchwycić rzecz, ale jedynie ślizga się po jej powierzchni i dla niepoznaki zmienia się w pochwalną pieśń. Tworzymy hymny, by zagłuszyć niepokój, którego źródłem jest nieprzystawalność języka i świata.

Stevens doskonale wie, że marzenie o rzeczy odartej ze słów jest niemożliwe. Języka od rzeczywistości nie da się oddzielić. Najważniejsze jest jednak to, że poszczególne hymny nie są dla wszystkich. Pieśń łączy, ale też wyklucza. Kogoś do mnie i do mojej wspólnoty przyciąga, ale innych z tej wspólnoty przegania. Dlatego nie powinniśmy mówić o jednej rzeczywistości, lecz o rzeczywistościach – o różnych światach, najprzeróżniejszych hotelach, przyobleczonych w słowa strzegące ich granic. Jak te granice wpływają na nasze życie? Kiedy nas chronią, kiedy zaś ograniczają? Dlaczego raz potrafimy je sforsować, innym razem natomiast musimy uznać ich nienaruszalność? O tym m.in. będziemy rozmawiać w październiku z gośćmi zaproszonymi na Festiwal Conrada.
Przybywajcie! ©℗

Grzegorz Jankowicz
dyrektor programowy
Festiwalu Conrada

W NUMERZE

85
Tomasz Swoboda
Powrót do źródeł wykluczenia

89
Rozmowa z Charlotte Gordon
Żywoty buntowniczek

92
Paweł Pieniążek
Rock, ale już bez punk

97
Michał Sowiński
Ruchome dekoracje

102
Iwona Luba
Berlin jako Babilon

Redakcja
Grzegorz Jankowicz
Okładka
Marek Zalejski
/ FOTO HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES
Skład
Andrzej Leśniak
Fotoedycja
Grażyna Makara,
Edward Augustyn

Organizatorzy:

Kraków

KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

kbf

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Menedżer Festiwalu
– Urszula Chwalba
(uchwalba
@biurofestiwalowe.pl)

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA

Powrót do źródeł wykluczenia

TOMASZ SWOBODA

Didier Eribon opisuje miejsce, w którym się urodził, a także procesy, które go ukształtowały. I miejsce, i procesy były źródłem opresji, z którą walczy do dziś.

Dziennikarz, filozof, socjolog, wykładowca akademicki. Autor kilkunastu książek, w tym biografii Michela Foucaulta oraz rozmów z wielkimi antropologami, Georges'em Dumézilem i Claude'em Lévi-Straussem.

Po lekturze „Powrotu do Reims" jestem przekonany, że Didier Eribon co najwyżej z pobłażliwością odnosi się do tego rodzaju biogramów. Jego książka pokazuje bowiem, że listy dokonań rodem z encyklopedii nie mówią o człowieku nic. A już na pewno nie mówią nic o świecie, w którym ten człowiek żył i dorastał. Tymczasem to właśnie ten świat oraz rządzące nim mechanizmy dominacji i przemocy są kluczowe dla zrozumienia, kim jesteśmy.

Autoanaliza

Czym jest książka Eribona? Od biedy można by ją określić jako autobiograficzny esej. Jest to jednak formułka równie nietrafna, jak wiele innych, które krytyka francuska stosowała w odniesieniu do tej książki. Może za najbliższe uchwycenia gatunkowej charakterystyki „Powrotu do Reims" – choć brzmieniowo niezbyt szczęśliwe – należałoby uznać „autosocjoterapię" i „etnografię intymności". Zwłaszcza tę ostatnią, z uwagi na skojarzenia z tekstami Michela Leirisa, dla którego etnograficzna misja w Afryce stała się okazją do eksploracji samego siebie. I do odkrycia, którego znaczenia dla nowoczesnej humanistyki nie sposób przecenić, i bez którego nie byłoby też książki Eribona, a mianowicie, że jedyną drogą do prawdziwego obiektywizmu jest skrajny subiektywizm. Innymi słowy: że tylko pisząc szczerze o sobie samym, o swojej pozycji w świecie, jesteśmy w stanie powiedzieć coś wiarygodnego.

Znamy to, znamy. Leiris był może potrzebny, aby to steoretyzować, ale przykłady żywotów człowieka mniej lub bardziej poczciwego – w XX w. raczej mniej niż bardziej – już dawno weszły do historii literatury i filozofii, przede wszystkim francuskiej. „Ja sam jestem materią mej książki: nie ma racji, abyś miał używać swego wczasu na tak letki i błahy przedmiot" – kokietuje czytelnika Montaigne („Próby"). „Chcę pokazać moim bliźnim człowieka w całej prawdzie jego natury; a tym człowiekiem będę ja" – zapowiada, Rousseau w „Wyznaniach". Pierwsze strony „Powrotu do Reims" obiecują podobne przedsięwzięcie: „Pojechałem do matki. To był początek pogodzenia się z nią. A ściślej, pogodzenia się z sobą, z całą tą częścią mnie, na którą nie chciałem przystać, którą odrzucałem, której się wyparłem". Czytając owe pierwsze strony, ustawiamy więc tryb lektury na „sobąpisanie" – by użyć spolszczenia francuskiego *écriture de soi*, jakie zaproponował w swoim przekładzie Foucaulta Michał Paweł Markowski – zadowoleni, że tak szybko rozpoznaliśmy ton tego pisarstwa, podyktowany niezliczonymi przecież, zwłaszcza w ostatnich latach, „próbami" i „wyznaniami".

Tyle tylko że do podstawowych strategii pisarskich Eribona należy gra z horyzontem oczekiwań czytelnika. Kiedy jesteśmy przekonani, że już-już przyłapaliśmy autora na jakiejś kliszy czy uproszczeniu, a nasze lekturowe pragnienie dominacji – kto zaprzeczy, że coś takiego istnieje? – już było w ogródku, Eribon, szast-prast, zrywa zasłonę, za którą spodziewaliśmy się wszystkiego, tylko nie lustra. Być może dlatego recepcja „Powrotu do Reims" we Francji ograniczyła się niemal wyłącznie do kręgów literackich, a świat naukowy właściwie zbył ją milczeniem. Akademia nie znosi, gdy mówi się do niej nowym językiem, gdy zbija się ją z tropu i wpuszcza w maliny. Na domiar złego Eribon pozwala sobie na daleko idącą introspekcję, niespotykaną w socjologii.

A przecież jego książka – czy można ją nazwać rozprawą? – to, powtórzmy, próba analizy mechanizmów klasowej przemocy. Próba przeprowadzona jednak – zdawać by się mogło: wbrew naukowym regułom – za pomocą „autoanalizy". Słowo to powraca zresztą na kartach książki jako część tytułu jednej z najważniejszych prac, do których odwołuje się autor, „Esquisse pour une auto-analyse" („Szkic do autoanalizy", 2004) Pierre'a Bourdieu. Jeden z ojców współczesnej socjologii, przyjaciel i nauczyciel Eribona, w pewnym sensie ustanowił swoją ostatnią książką – wydaną już po jego śmierci – precedens. Opowiedział o swoim życiu nie w celu autobiograficznym („*Ceci n'est pas une autobiographie*", „To nie jest autobiografia" – mówi na wstępie, parafrazując Magritte'a), lecz wyłącznie socjologicznym. Nie zmienia to faktu, że „Esquisse..." jest opowieścią o nim samym, podczas gdy „Powrót do Reims" to tyleż opowieść, co opis – warunków życia, które u(nie)możliwiły karierę naukową i zamianę tego, co niegodne i wyparte, w źródło wstydu, lecz także dumy.

↦

Pride

Co stoi u źródeł tych uczuć? „Przychodzimy na świat – pisze Eribon – w którym wyrok już został wydany, i w takim czy innym momencie naszego życia zajmujemy miejsce tych, którzy zostali skazani na publiczną wendetę, na życie z wymierzonym w nich oskarżycielskim palcem".

Zdanie to pojawia się w części poświęconej przemocy wobec homoseksualizmu – tematowi, który w „Powrocie do Reims" zajmuje stosunkowo niewiele miejsca, jeśli wziąć pod uwagę, że większość wcześniejszych prac Eribona dotyczy tej właśnie kwestii. Ale właśnie tutaj ten typ poniżenia staje w rzędzie obok innych: klasowego, rasowego i kolonialnego. Wnioski wysnute z analizy homofobii zostają przeniesione na inne obszary społecznej i politycznej przemocy. Kusi, by owe wcześniejsze książki przeczytać na nowo w świetle „Powrotu do Reims". By ze zdania Toni Morrison, zaczerpniętego z jej wykładu noblowskiego – „Opresyjny język jest czymś więcej niż ilustracją przemocy: on jest przemocą" – uczynić nie tylko motto do „Réflexions sur la question gay" („Rozważania o kwestii gejowskiej", 1999 – tytuł parafrazujący klasyczną rozprawę Sartre'a), lecz do całej twórczości Eribona. By do całej przestrzeni społecznej odnieść jego smutny wniosek z jednej z konferencji, gdy po obradach na temat możliwości karania homofobicznej mowy nienawiści na równi z nienawiścią rasową Eribon stwierdza, że trudno byłoby karać cały porządek społeczny. By wreszcie historię całego tego „porządku" zacząć od słów otwierających „Réflexions": „Na początku była zniewaga".

W „Powrocie do Reims" Didier Eribon starannie unika jednak powtarzania swoich wcześniejszych tez. Można powiedzieć, że w książce tej podnosi poprzeczkę – czytelnikowi i samemu sobie – skupiając się na kwestiach chyba trudniejszych, gdyż nie tak otwarcie związanych z przemocą i zniewagą. W pewnym sensie przenosi ciężar rozważań z czynów czy też performatywów – takich jak słowna i prawna agresja – na afekty: przede wszystkim wstyd. Ten zaś nie jest już tak bardzo związany z byciem gejem, lecz raczej z pochodzeniem społecznym. Jak to ujmuje Eribon, „wyjście z seksualnej szafy, pragnienie przyjęcia i afirmacji homoseksualności w moim przypadku zbiegło się z wejściem w to, co mógłbym określić jako szafę społeczną". Jego historia bowiem to historia cierpienia wynikającego z awansu społecznego i bycia osobą „transklasową", by użyć neologizmu zaproponowanego przez Chantal Jaquet w pracy „Les transclasses ou la non-reproduction" („Transklasowość albo nie-reprodukcja", 2014).

> Jedyną drogą do prawdziwego obiektywizmu jest skrajny subiektywizm. Innymi słowy: tylko pisząc szczerze o sobie samym, o swojej pozycji w świecie, jesteśmy w stanie powiedzieć coś wiarygodnego.

> Cudem, który pozwolił, a raczej kazał Eribonowi wyzwolić się od losu dziecka z robotniczej rodziny, na jaki był skazany, okazało się odkrycie własnej homoseksualności. Zbawienie przyszło ze strony pragnącego ciała.

Tytuł przywołanej książki jest, rzecz jasna, ironiczny. Podobnie jak Eribon i Bourdieu, francuska socjolożka nie ma złudzeń co do tego, że awans społeczny oparty na zasługach i umiejętnościach mieści się w granicach błędu statystycznego i jest czystym konstruktem politycznym, umacniającym porządek społeczny. Kiedy zaś już się wydarza, okazuje się – tak jak o tym opowiada Eribon – paradoksalnym cudem, opartym na kłamstwie i wyparciu. W jednym z wywiadów, udzielonych po ukazaniu się „Powrotu do Reims" i opublikowanych następnie w tomie „Retours sur »Retour à Reims«" („Powroty do »Powrotu do Reims«"), kładzie akcent właśnie na ową „zdradę klasową". Podobnie jak bohaterowie literaccy, Georges Duroy z klasycznej powieści Maupassanta „Bel-Ami" czy też Proustowski skrzypek Morel, bardziej obawiający się, że ludzie odkryją jego niskie pochodzenie niż homoseksualną relację z baronem de Charlusem, Eribon okupuje wejście w inne środowisko fałszem i wstydem.

„Powrót do Reims" to już zapis kolejnego etapu afektu: wstydu, że się wstydziłem. Przekucia wstydu w dumę, w *pride* (by raz jeszcze zestawić transklasowość z doświadczeniem bycia gejem). W tym momencie jednak pojawia się istotna różnica. O ile bowiem duma seksualna – a także rasowa – kontestuje dominujący porządek społeczny, o tyle duma społeczna go umacnia. Stosunek dominacji jest więc w tym wypadku bardziej złożony, gdyż – zwłaszcza we współczesnym społeczeństwie, w którym konsumpcja zastąpiła świadomość klasową – dominacja ta właściwie nie jest odczuwana, co na dobrą sprawę uniemożliwia jakikolwiek bunt (nie wspominając o rewolucji). Eribon dokonuje wprawdzie rehabilitacji tego, co nazywa tu „wartościami robotniczymi", ale nie towarzyszy temu nostalgia, a tym bardziej mitologizacja. No, może odrobinę. Populizm przesącza się dziś także, niestety, do tak dobrych książek.

Odcięcie

Trzeźwemu przeważnie spojrzeniu na warstwę ludową towarzyszy jeszcze trzeźwiejsze spojrzenie na własny stosunek do tej grupy społecznej. W recenzji napisanej dla „Le Nouvel Observateur" uwagę Annie Ernaux przykuło przede wszystkim obnażenie przez Eribona własnej hipokryzji, polegającej na zarzucaniu rodzicom, że nie są wykształceni, a zarazem – że nie odpowiadają robotniczemu ideałowi, o którym tyle się naczytał u Trockiego i Sartre'a. Francuska pisarka staje się zresztą w „Powrocie do Reims" swego rodzaju starszą transklasową siostrą autora.

PATRICE NORMAND / LEEMAGE / EAST NEWS

DIDER ERIBON (ur. 1953) – francuski socjolog i filozof. Absolwent uniwersytetu w Reims, uzyskał doktorat na Sorbonie. Pracuje na uniwersytecie w Amiens, wykładał na wielu uczelniach, m.in. w Berkeley, Princeton, Cambridge i Walencji. Napisał kilkanaście książek poświęconych socjologii, filozofii, historii idei oraz gender studies. Do najważniejszych należą: „Réflexions sur la question gay", „Une morale du minoritaire. Variations sur un thème de Jean Genet", „La société comme verdict. Classes, identités, trajectoires". Po polsku ukazały się: „Na tropie Indoeuropejczyków. Mity i epopeje" (rozmowa z Georges'em Dumézilem), „Z bliska i z oddali" (rozmowa z Claude'em Lévi-Straussem), „Michel Foucault. Biografia" oraz „Powrót do Reims" (2019).

↦

↦ To u niej bowiem znajduje on prefigurację własnej relacji z matką: „od rana do wieczora podawała klientom ziemniaki i mleko, żebym mogła siedzieć w auli uniwersyteckiej i słuchać wykładów o Platonie". Z kolei pierwowzór własnego stosunku do ojca znajduje Eribon w „Zapiskach nieodrodnego syna" Jamesa Baldwina, które pozwoliły mu zrozumieć, że „wszystko, czym był mój ojciec, to znaczy wszystko, co mu wyrzucałem, wszystko, za co go nienawidziłem, ukształtowała przemoc świata społecznego".

Na okładce kieszonkowego wydania „Powrotu do Reims" we Francji widnieje fotografia małego Didiera, z której ojciec został wycięty. To, rzecz jasna, symboliczne odcięcie się od rodzinnej przeszłości, które „Powrót do Reims" choć częściowo próbuje zrekompensować. Ale to także symboliczne i zarazem metodologiczne odcięcie się od Edypa, edypalności i wszystkiego, co proponuje psychoanaliza, łącznie z literacką tradycją wywnętrzania się, która zaprowadziła współczesną literaturę francuską w ślepy zaułek. Zarazem jednak przy lekturze książki Eribona trudno nie pomyśleć, że to odrzucenie psychoanalizy – a wraz z nią biologicznego materializmu jest trochę niekonsekwentne i że analiza nieco na tym traci. Kiedy filozof podkreśla, że obca jest mu „mistyka korzeni" i że rzucanie przez pijanego ojca butelkami nazywa „sceną pierwotną" nie w psychoanalitycznym sensie tego słowa, to – oczywiście, zgodnie z freudowską logiką – tym bardziej domyślamy się w tym psychoanalitycznego podłoża. Tak samo jak wtedy, gdy pisze o zagrożeniu dziedziczną chorobą Aalzheimera czy też o tym, że „ślady tego, kim byliśmy w dzieciństwie i jak przeszliśmy proces socjalizacji, trwają". Albo gdy bez pardonu atakuje Raymonda Arona.

„Wszystko jest z góry przesądzone! – wykrzykuje w pewnym momencie. – Werdykt został wydany, zanim to dotrze do naszej świadomości. Wyroki są wyryte rozpalonym żelazem na naszych ramionach, a miejsca, które będziemy zajmować, określa i ogranicza to, co nas poprzedza: przeszłość rodziny i środowisko, w którym przychodzimy na świat". Z naturalistycznej triady *race*, *moment*, *milieu* Eribon wykreśla więc tylko – choć też nie do końca – genetykę, niemal dogmatycznie ogłaszając – co potwierdzi w późniejszej książce „La société comme verdict" („Społeczeństwo jako werdykt"), 2013 – werdykt społeczny jako klucz do zrozumienia świata. A przecież werdykt społeczny nie jest na przykład tożsamy z tym, co można by nazwać werdyktem rodzinnym. Możliwości innej konfiguracji w dramacie awansu społecznego pokazuje choćby film Bernarda Canteta „Zasoby ludzkie". Wobec całkowitego odrzucenia biologizmu Eribonowi nie przemknie też przez myśl, że poszedł inną drogą niż jego bracia po prostu dlatego, że od urodzenia był od nich zdolniejszy.

Kto wie, czy książka Eribona – choć na wskroś francuska – nie jest też trafną analizą politycznych i społecznych mechanizmów ostatnich lat w Polsce: tego, jak przegapiliśmy moment wymazania części społeczeństwa z nowoczesnej historii.

Bycie gejem jako cud

Zakończenie książki łagodzi jednak antropologiczne tezy, które wcześniej brzmią momentami zbyt jednostronnie. Determinizm – tak, ale nie stuprocentowy. W pewnym stopniu możemy sami się stworzyć. Możemy przekroczyć parę granic. Co o tym decyduje? „W gruncie rzeczy – pisze Eribon – byłem naznaczony dwoma społecznymi werdyktami: klasowym i seksualnym. Nie da się przed nimi uciec. Noszę w sobie piętno jednego i drugiego. Ale ponieważ w pewnym momencie życia oba te werdykty weszły ze sobą w konflikt, musiałem sam siebie ukształtować, rozgrywając jeden przeciwko drugiemu". Cudem, który pozwolił, a raczej kazał mu wyzwolić się od losu dziecka z robotniczej rodziny, na jaki był skazany, okazało się odkrycie własnej homoseksualności. Zbawienie przyszło ze strony pragnącego ciała.

Ciała, które jest ulubionym obiektem polityki; różnych polityk. Eribon poświęca temu dużo miejsca we wcześniejszych pracach. W „Powrocie do Reims" na przykładzie własnej rodziny zastanawia się tylko, jak doszło do tego, że klasa robotnicza zaczęła głosować na skrajną prawicę. Obala mit organicznego związku tej klasy z lewicą. Opisuje kompromitację i degrengoladę tej ostatniej. Wspomina o władzy mediów. O przywracaniu godności przy pomocy kozła ofiarnego. Znów moglibyśmy powiedzieć: znamy to, znamy. Teraz już nie z literatury, lecz z własnego podwórka. Kto wie, czy książka Eribona – choć na wskroś francuska – nie jest też trafną analizą politycznych i społecznych mechanizmów ostatnich lat w Polsce: tego, jak przegapiliśmy moment wymazania części społeczeństwa z nowoczesnej historii.

Czy autor „Powrotu do Reims" daje jakieś recepty? Czy proponuje choćby zręby politycznego programu (politycznego w szerokim rozumieniu tego słowa)? „Nie wierzę w utopię – mówi w jednym z wywiadów. – Wierzę w opór". Być może to, co pisze o splątanych procesach budowania i odrzucania tożsamości na płaszczyźnie indywidualnej, moglibyśmy też odnieść do przestrzeni społecznej. Odejść od tożsamościowości i normatywności na rzecz wspólnot zdolnych do wyjścia poza siebie, do integracji swoich własnych marginesów. Najpierw jednak odnaleźć ten opór w sobie. Przeczytać „Powrót do Reims".

W Niemczech książka w półtora roku sprzedała się w 80 tysiącach egzemplarzy. Thomas Ostermeier stworzył na jej podstawie znakomity spektakl. Matka Eribona zaś po ukazaniu się publikacji uznała, że obraził w niej rodzinę, a bracia – że ich poniżył.

© TOMASZ SWOBODA

Spotkanie z **DIDIEREM ERIBONEM**, którego tematem będą źródła przemocy i wykluczenia, odbędzie się w sobotę, 26 października, a poprowadzi je Tomasz Swoboda.

JASON GROW / CONRAD FESTIVAL

Żywoty buntowniczek

CHARLOTTE GORDON

W najczarniejszych snach nie przewidywałam, że moje bohaterki – Mary Wollstonecraft i Mary Shelley – staną się tak ważnym punktem odniesienia w bieżącej debacie politycznej.

↦ **MICHAŁ SOWIŃSKI: Mary Wollstonecraft i jej córka, Mary Shelley, towarzyszą Ci już od dobrych kilku lat. Nie jesteś nimi zmęczona?**

CHARLOTTE GORDON: O wspaniałych kobietach mogę rozmawiać bez końca. Nigdy nie zawracałabym innym głowy sprawami, których nie uważam za ważne i interesujące. Tylko tak mogę być uczciwa wobec moich czytelników i słuchaczy. A przy okazji to doskonałe remedium na znużenie oraz wypalenie zawodowe.

Opowieści o silnych, niezależnych kobietach są dziś potrzebne bardziej niż jeszcze parę lat temu?

Och, zdecydowanie! Dlatego też napędza mnie silne poczucie misji. W ostatnich latach klimat polityczny w USA zrobił się wyjątkowo mroczny, dlatego potrzebujemy wzorców, a XIX-wieczne bojowniczki o wolność i równość nadają się do tego idealnie. Szczególnie jako inspiracja dla nastolatków, bo o nich martwię się najbardziej. Nie możemy sobie pozwolić na wychowywanie nowego pokolenia w poczuciu beznadziei i bezsilności.

Wcześniej pisałaś o XVII-wiecznej amerykańskiej pisarce Anne Bradstreet, a także o Hagar i Sarze – biblijnych żonach Abrahama, kluczowych postaciach dla wszystkich trzech monoteistycznych religii. Jak dobierasz bohaterki swoich książek?

Na wszystkie trafiałam nieco przypadkiem. Na przykład odkryłam, że Bradstreet mieszkała dosłownie naprzeciwko mojego domu, więc nie mogłam zignorować tej koincydencji. A co do moich buntowniczek – trochę wstyd się przyznać, ale długo nie wiedziałam, że Mary Wollstonecraft była matką Mary Shelley. To również odkryłam przypadkiem, gdy przygotowywałam się do prowadzenia kursu z literatury XIX-wiecznej. Weszłam wtedy na nowo w ich światy i uważnie przestudiowałam olbrzymią literaturę poświęconą jednej i drugiej. Po wielu miesiącach badań dotarło do mnie, że piszę o nich książkę.

Zapewne wiele osób podejmuje tego typu decyzje w przemyślany i racjonalny sposób. Ale w moim przypadku ta czy inna bohaterka po prostu łapała mnie za gardło i nie puszczała, dopóki nie skończyłam książki. Nie miałam wyboru, ale za każdym razem to była czysta przyjemność.

CHARLOTTE GORDON (ur. 1962) – amerykańska pisarka, profesorka nauk humanistycznych w Endicott College. Absolwentka Harvard College i Boston University. Otrzymała Massachusetts Book Award za biografię XVII-wiecznej poetki Anne Bradstreet Mistress „Bradstreet: The Untold Life of America's First Poet" (2005). Jest także autorką książki poświęconej biblijnym postaciom Sarze i Hagar „The Woman Who Named God" (2009). Po polsku ukazała się jej książka „Buntowniczki. Niezwykłe życie Mary Wollstonecraft i jej córki Mary Shelley" (2019, org. wyd. 2015).

Gdybyś pisała książki o mężczyznach, kwestie genderowe i feministyczne nie dominowałyby każdej rozmowy. To oczywiście ważny kontekst w biografiach Twoich bohaterek, ale przecież tylko jeden z wielu.

Pytasz, czy to bywa frustrujące? Tak, bywa, ale najwyżej przez chwilę.

Męskich biografii nikt tak łatwo nie redukuje do kwestii płci.

To prawda, dlatego zawsze opowiadam o całym życiu moich bohaterek. Wtedy trudniej zamknąć je w kilku hasłach. Z drugiej strony, niektóre z tych kobiet stały się kluczowe dla rozwoju feminizmu. A nigdy dość przypominania o bohaterkach. Poza tym różnie bywa z tymi oczywistościami. Na początku każdego semestru proszę moich studentów, żeby wymienili kilka wybitnych pisarek języka angielskiego – pojawia się Jane Austen, po dłuższej ciszy czasem ktoś nieśmiało dodaje J.K. Rowling i na tym koniec. Niestety, wciąż brakuje nam podstawowej wiedzy.

Męscy bohaterowie Twojej książki – Percy Shelley, Byron i reszta ówczesnej śmietanki intelektualnej – wychodzą na zarozumiałych narcyzów, do tego żerujących na swoich partnerkach.

Gdy zaczynałam pisać książkę, też tak myślałam, ale akurat w przypadku Percy'ego zmieniłam zdanie. On miał koszmarne dzieciństwo, był ofiarą brytyjskiego systemu edukacji, do tego najprawdopodobniej cierpiał na szereg zaburzeń psychicznych. Do tego był nieszczęśliwie zakochany w Byronie, choć chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Z pewnością był niesamowitym artystą, ale beznadziejnym mężem.

W biografii Wollstonecraft i Shelley jest tyle podobieństw i symetrii, że aż trudno uwierzyć, że tak długo ignorowano rolę, jaką matka odegrała w życiu córki.

Mary Wollstonecraft zmarła na gorączkę połogową 10 dni po jej urodzeniu. Najprawdopodobniej dlatego większość badaczy uznała, że ta relacja nie ma większego znaczenia. A to nieprawda. Z wielu powodów ich życiorysy były do siebie wręcz niewiarygodnie podobne. Stąd pomysł na przeplatające się rozdziały o jednej i drugiej. Nie zaplanowałam tego z góry, tak po prostu wyglądały ich życia.

To była bardzo nietypowa relacja.

Shelley jako nastolatka była bezgranicznie zakochana w swojej zmarłej matce – czytała w kółko jej książki, paliła świeczki pod jej portretem, przesiadywała przy jej grobie. Często zastanawiała się, co na jej miejscu zrobiłaby matka – kobieta o bardzo liberalnych i progresywnych poglądach, nie tylko w kwestii równouprawnienia płci. Przedwczesna śmierć Wollstonecraft zawsze bardzo mnie smuciła, dlatego opowiadając równolegle o życiu obu kobiet, chciałam, żeby choć w mojej książce mogły się na chwilę spotkać.

Uwielbienie Shelley dla matki jest poruszające, ale ciągłe życie w jej cieniu musiało odcisnąć swoje piętno.

Oczywiście, to była bardzo złożona relacja, czasem wręcz toksyczna. Gdyby było inaczej, zapewne świat nie doczekałby się „Frankensteina". Shelley musiała też czuć się winna śmierci matki. W jednej z jej powieści pojawia się nawet mroczny wątek kazirodztwa, gdzie córka wchodzi w erotyczną relację z ojcem, żeby zastąpić mu zmarłą żonę. Jeżeli zsumuje się te wszystkie niepokojące zachowania i fantazje, to z pewnością otrzymamy obraz osoby o bardzo skomplikowanej psychice. Ale może bez tego nie zostałaby genialną pisarką?

Istnieją wielowiekowe tradycje opisywania relacji ojca i syna – w przypadku matki i córki takie

wzorce, poza kilkoma wyjątkami, pojawiają się dopiero w kulturze nowoczesnej, a i tak nie ma ich za wiele.

W moich badaniach szczególnie zwracam uwagę na sposób, w jaki historia przekazywana jest kolejnym pokoleniom. Być może dlatego tak bardzo fascynują mnie opowieści o kobietach, które przecież przez wieki były wykluczone z tego procesu. Gdy zaczynałam karierę akademicką, profesorami byli niemalże wyłącznie mężczyźni, dlatego czuję silną odpowiedzialność – zarówno przed pokoleniami kobiet, które żyły przede mną, jak i tymi, które dopiero nadejdą – żeby z odpowiednią precyzją i pieczołowitością zadbać o tę spuściznę. A mamy przed sobą jeszcze bardzo wiele pracy.

Wiele historii o niezwykłych kobietach z przeszłości tylko przypadkiem dotarło do naszych czasów – synowa Shelley była bliska zniszczenia większości dokumentów o swojej teściowej. Trudno nawet szacować, ile podobnych postaci straciliśmy bezpowrotnie.

Jako historyczka nabieram z wiekiem coraz większej pokory wobec ogromu rzeczy, których jeszcze nie wiemy – i zapewne nigdy nie poznamy. Ale z drugiej strony, wciąż odkrywamy nowe dokumenty, zazwyczaj strzępki, a czasem całe manuskrypty. Najczęściej XIX-wieczne dzienniki, listy, niekiedy nawet teksty literackie, które nie miały szansy zaistnieć w szerszej świadomości swojej epoki. Lubię myśleć, że historie tych ludzi są ciągle z nami i wystarczy trochę wysiłku, aby je odnaleźć. Trzeba tylko zaufać intuicji i przestać przejmować się opiniami konserwatywnych ekspertów z góry zakładających, co jest wartościowe, a czym nie warto zaprzątać sobie głowy.

Ale nawet zakładając najlepszą wolę, wciąż istnieje ryzyko, że nie znajdziemy już wiele – bo przecież dopiero od kilku pokoleń kobiety mają szeroki dostęp do edukacji oraz innych narzędzi niezbędnych, żeby zaistnieć w kulturze.

Być może, ale nawet wtedy mamy przed sobą dużo pracy. Dorobek przeszłych pokoleń, który udało nam się ocalić, wciąż wymaga krytycznej analizy i reinterpretacji, aby udało się go włączyć do współczesnego kanonu kultury. O biblijnych postaciach – Sarze i Hagar, napisano bardzo niewiele, a przecież ciągle możemy się o nie spierać. To właśnie jest największe wyzwanie, jakie stoi przed współczesną humanistyką – zmiana hierarchii wartości i poszerzanie debaty publicznej o obszary, które tradycyjnie uważane były za nieistotne. Na przykład popularna literatura kobieca z XIX w., którą ciągle wiele osób uważa za bezwartościową. Ale właściwie dlaczego? Bo opowiadała o codziennym życiu? Bo pisały ją kobiety? Sama zmiana optyki pozwala odkrywać zupełnie nowe obszary rzeczywistości.

> W ostatnich latach klimat polityczny w USA zrobił się wyjątkowo mroczny, dlatego potrzebujemy wzorców, a XIX-wieczne bojowniczki o wolność i równość nadają się do tego idealnie.

A co z tymi, którzy nie mieli żadnych szans na pozostawienie po sobie śladu?

Jest ich zdecydowana większość! W szkole uczymy się o królach, arystokratach i innych przedstawicielach najbardziej uprzywilejowanych grup społecznych. Pozostałe 99 procent: chłopi, robotnicy, niewolnicy i wielu innych pozostaje bez głosu. Ważnym gestem jest już samo uznanie tego faktu, bo dla wielu to wciąż nie jest oczywiste. Oprócz tego z pomocą przychodzi kultura materialna – przedmioty, które były używane w codziennym życiu, ubrania, meble... Moja studentka pisze fascynującą pracę o przepisach kulinarnych – niewiarygodne, ile rzeczy można się z nich dowiedzieć! Z kolei moja doktorantka bada XIX-wieczne biblie białych plantatorów z Georgii. Pojawia się w nich zaskakująco dużo notatek na temat życia niewolników.

Przykłady można mnożyć, dlatego tak konieczne jest poszerzenie naszego pola widzenia, rozglądanie się po obrzeżach i miejscach nieoczywistych. Skoro tamtym ludziom nie udało się przekazać potomnym swoich historii, naszym obowiązkiem jest choćby częściowo je zrekonstruować.

W przypadku „Buntowniczek" miałaś raczej problem z nadmiarem informacji.

Obie moje bohaterki były świetnymi pisarkami, więc zostawiły po sobie tysiące stron dzienników i listów. Dzięki temu dostałam niesamowity wgląd w ich codzienne życie – wiedziałam, kiedy były chore, czym się martwiły i co w danym momencie czytały. Ale też jaka była pogoda danego dnia, w co były ubrane i czy smakował im obiad. Do tego obracały się w środowisku intelektualistów, w którym większość osób prowadziła podobne zapiski. Ale to tylko połowa pracy. Uważam, że obowiązkiem historyka jest maksymalne zanurzenie się w życie opisywanej postaci. Dlatego odwiedziłam wszystkie miejsca ważne dla Wollstonecraft i Shelley, szczególnie we Włoszech i Francji, próbując spojrzeć na nie ich oczami. Nie było to łatwe, bo co rusz w miejscu klimatycznego hotelu albo kawiarni trafiałam na pizzerie czy pralnie. Ale wiele rzeczy pozostało bez zmian – zapach morza, kolor nieba, układ ulic. Moim zadaniem było poskładać te wszystkie elementy, aby czytelnik też mógł poczuć klimat tamtej epoki. No i w przeciwieństwie do powieści tu nie można niczego zmyślać – podczas pisania miałam otwartych setki zakładek w przeglądarce, cały czas sprawdzając dane meteorologiczne z XIX-wiecznej Italii, stare mapy i przewodniki. Dlatego przypisy zajmują prawie 100 stron.

Twoje bohaterki w wielu kwestiach są niesamowicie współczesne – czasami aż trudno uwierzyć, że żyły 200 lat temu.

Szczególnie Mary Wollstonecraft, która miała poglądy bardziej progresywne niż wielu moich znajomych. Często upewniałam się po kilka razy, czy faktycznie napisała to czy inne zdanie, bo brzmiało mi podejrzanie zbyt współcześnie. W wielu kwestiach szła dużo dalej niż jej córka, a nawet kolejne pokolenia liberalnych myślicieli. To była prawdziwa wizjonerka, wyprzedzająca swoją epokę o stulecia.

To przygnębiające, że problemy, z którymi zmagała się ponad dwa stulecia temu, pojawiają się dziś na nowo, z kolei inne nigdy nie zostały rozwiązane.

↦

↦ „Buntowniczki" ukazały się w USA w 2015 roku, ale mam wrażenie, jakbym pracowała nad nimi w innej epoce. O ile wtedy przypominanie o takich postaciach jak Wollstonecraft i jej córka wydawało mi się potrzebne przede wszystkim z historycznej, nieco abstrakcyjnej perspektywy, to w ostatnich latach ta potrzeba stała się paląca i konkretna. W najczarniejszych snach nie przewidywałam, że moje bohaterki staną się tak ważnym punktem odniesienia w bieżącej debacie politycznej.

Myślisz, że to chwilowe wahnięcie czy raczej początek długotrwałego regresu?

Historia uczy nas, że stabilny, linearny rozwój nie występuje – szczególnie w przypadku progresywnych idei czy ruchów społecznych. To są zawsze skoki, zazwyczaj do przodu. „Buntowniczki" planowałam jako książkę popularnonaukową, ale skala sukcesu przerosła moje najśmielsze oczekiwania, co odczytuję jako promyk nadziei. Mój wydawca twierdził, że rynek biografii jest zdominowany przez książki o silnych mężczyznach: bohaterach wojny secesyjnej, dyktatorach i prezydentach. „Niestety, twoje dziewczyny nie mają szans przebić się na szczyt" – mówił ze smutkiem. A jednak!

A co najbardziej cenisz w Twoich bohaterkach?

Odwagę. I to różne jej rodzaje. Wollstonecraft miała odwagę otwarcie głosić swoje poglądy w czasach rewolucji: pisała książki i artykuły, brała czynny udział w życiu politycznym Anglii i Francji. Jej córka żyła w bardziej konserwatywnych czasach, więc jej odwaga polegała przede wszystkim na stawianiu na swoim, na życiu zgodnie z własnymi poglądami i sumieniem. Obie były poddawane olbrzymiej presji ze strony konserwatywnej rodziny i społeczeństwa, do tego musiały stawiać opór represjom i szyderstwom, które czasem były nawet bardziej dotkliwe. A mimo to nigdy się nie poddały! Nieustannie przypominam o tym wszystkim moim pogrążonym w depresji i beznadziei znajomym.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Spotkanie z **CHARLOTTE GORDON,** którego tematem będą biografie i poglądy Mary Wollstonecraft i jej córki Mary Shelley, autorki „Frankensteina", odbędzie się 25 października. Poprowadzi je Anna Dziewit-Meller.

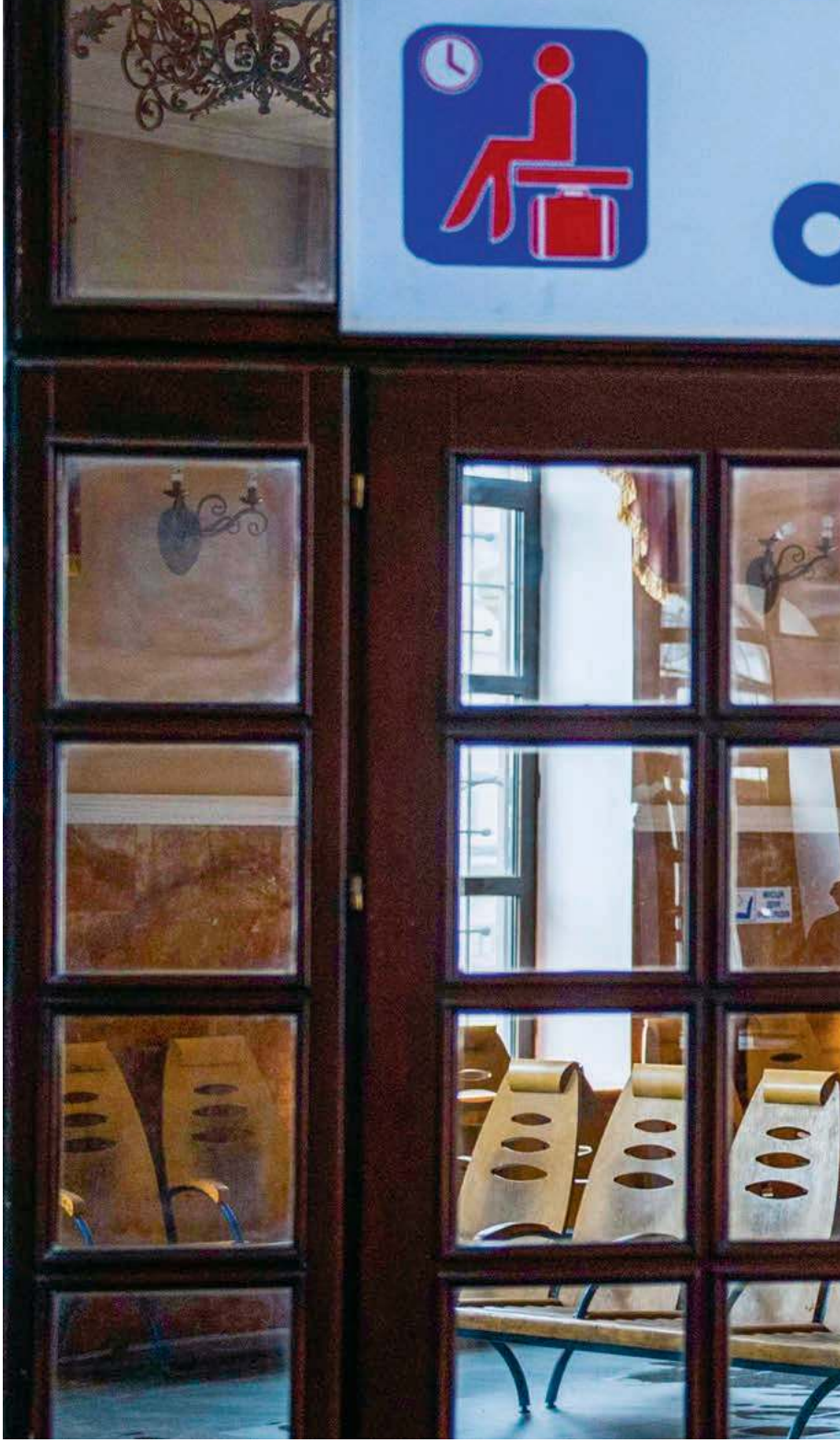

Rock, ale już bez punk

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Wojna to trudny czas dla anarchisty. Także dlatego Serhij Żadan jest dziś jednym z najbardziej interesujących ukraińskich intelektualistów. Wielu uznaje go za głos pokolenia wyrosłego w czasach niepodległości.

ODD ANDERSEN / AFP / EAST NEWS

Debalcewo, kwiecień 2015 r.

Pasza uczył w szkole języka ukraińskiego, w jednej z donbaskich szkół. Brał życie takie jakie jest, wiele od niego nie oczekiwał. Mieszkał z ojcem. Żyli razem, ale w sumie osobno. Ojciec ciągle oglądał telewizję, Paszy to nie interesowało.

Zresztą trudno stwierdzić, co zajmowało go naprawdę. W szkole uczył nie z przekonania ani z poczucia misji. Po ukraińsku nawet nie mówił na co dzień. Nie miał też zacięcia pedagogicznego. Nie rozmawiał z uczniami o niczym więcej, niż wymagał program szkolny.

Nawet wtedy, gdy wydarzenia w regionie, w którym mieszkał, nabrały szalonego tempa. Nie rozmawiali o wojnie ani wywołanych przez nią problemach. Pasza żył w skorupie, którą pielęgnował od lat. Ignorował wiadomości, by nie przysparzać sobie zbędnych zmartwień. Ale, jak to często bywa z takimi wydarzeniami, prędzej czy później dopadną każdego. Pewnego dnia Pasza wyszedł z domu i doświadczył wojny tak intensywnie, jak to było możliwe...

To, co napisano powyżej, to fragment literatury. Ale oparty na faktach. Fakty są takie, że w 2014 r. na Ukrainie wszystko działo się szybko. Ledwie skończył się ↦

SERHIJ ŻADAN (ur. 1974) – ukraiński pisarz, poeta i tłumacz z języka niemieckiego, z wykształcenia germanista. Jest laureatem wielu nagród, m.in. Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus 2015 za powieść „Mezopotamia", nagrody Mosty Berlina oraz Nagrody im. Josepha Conrada. Jego książki przetłumaczono na 16 języków. Po polsku ukazały się jego tomiki wierszy „Historia kultury początku stulecia", „Drohobycz" i „Etiopia" oraz sześć powieści: „Big Mac", „Depeche Mode", „Anarchy in the UKR", „Hymn demokratycznej młodzieży", „Woroszyłowgrad" i „Mezopotamia". Mieszka w Charkowie.

↦ Majdan, a już na Krymie rosyjskie „zielone ludziki" szykowały grunt pod aneksję. W Donbasie trwały prorosyjskie protesty, które szybko przeistoczyły się w wojnę.

Serhij Żadan zastanawiał się nad książką na jej temat, ale długo nie układała mu się w głowie. Dopiero z czasem pojawił się pomysł na bohatera: właśnie nauczyciela Paszę. Długo myślał nad tym, kim Pasza ma być. Wiosną 2017 r., po półtora roku pisania, Żadan skończył „Internat", który został okrzyknięty najlepszą książką o wojnie na Ukrainie.

Literacka ścieżka

Wojna dotknęła tego, co dla Żadana bliskie. Od lat związany jest z Charkowem, ale urodził się w 17-tysięcznym Starobielsku w obwodzie ługańskim. Nigdy z rodzinnym regionem nie zerwał. „Od zawsze traktowałem Donbas, Ługańszczyznę, jako swoją małą ojczyznę. Tam się urodziłem i dorastałem" – mówił.

Dzieciństwo 44-letniego dziś Żadana przypadło na ostatnie lata Związku Sowieckiego. Wspomina je jako spokojne, szczęśliwe i bez zmartwień. Miał warunki, by się samorealizować. Uwielbiał czytać, a rodzice kupowali mu książki. Jako jedno z najważniejszych przeżyć wspomina prezent od mamy: książkę przygodową dla dzieci „Torreadorzy z Wasiukiwki" ukraińskiego pisarza Wsewołoda Nestajki.

W trzeciej lub czwartej klasie napisał pierwsze wiersze: humorystyczny cykl o innych uczniach. Choć zawierały przekleństwa, wychowawczyni przekonywała go, by pisał dalej.

Żadan uważa, że miał szczęście do starszych, którzy wspierali go w rozwijaniu zainteresowań. Tak też było, gdy wstąpił na uniwersytet w Charkowie. Tam mieszkała jego ciotka Ołeksandra Kowalowa, poetka i tłumaczka, która wprowadziła go w literackie życie miasta.

Początkowo skupiał się na poezji. Zrobił też studia magisterskie i doktoranckie. Przez cztery lata był wykładowcą, ale nie odnalazł się w tym zawodzie. W tym okresie zaczął pracę nad pierwszymi książkami prozatorskimi. W 2003 r. ukazał się zbiór opowiadań „Big Mac", a w 2004 r. powieść „Depeche Mode". Od razu znalazł się w czołówce współczesnych ukraińskich pisarzy, a każdą kolejną książką umacniał swoją pozycję.

Człowiek pogranicza

Doświadczenie życia przy granicy – na Ługańszczyźnie czy w Charkowie – ode-

Choć jednoznacznie stanął po stronie swojego państwa, to dąży do dialogu z ludźmi znajdującymi się za linią frontu. Uważa, że próba zrozumienia jest ważniejsza niż oburzenie czy niechęć. Że tylko dzięki dialogowi można znowu zacząć żyć razem.

ZORIANA VLADYKA

grało ważną rolę w jego spojrzeniu na świat, co widać w twórczości. Z okazji stulecia Jedności Ukrainy, święta obchodzonego 22 stycznia, napisał w tekście dla radia Swoboda: „Dla ludzi, którzy całe życie mieszkają na granicy, ich pograniczność wydaje się normą i wydaje się, że ona określa system współrzędnych, jest centralnym punktem krajobrazu. My, wschodniacy, często patrzymy na naszą ukraińską geografię właśnie tak – łapiąc się peryferyjnym spojrzeniem za granicę, która cały czas ciąży na Wschodzie, o tutaj, zupełnie obok, w odległości jednego marszobiegu. Zachodnią granicę traktujemy raczej metafizycznie niż czysto geograficznie – kres kraju, bramy Europy, czas reżimu bezwizowego. To wszystko dzieje się tak daleko, że trudno traktować to jako osobiste doświadczenie".

Akcja książek Żadana rozgrywa się zwykle w Donbasie i w obwodzie charkowskim. Bohaterowie raczej zmagają się niż żyją swoim życiem na terenach, które odczuły rozpad Związku Sowieckiego mocniej niż centrum czy zachód kraju. W ich życiu jest wiele biedy, punk rocka, alkoholu, awantur i postapokalipsy.

„Miałem nikomu niepotrzebne wykształcenie. Pracowałem nie wiadomo z kim. Pieniędzy starczało mi dokładnie na to, do czego się przyzwyczaiłem. Na nowe przyzwyczajenia było już za późno. Wszystko mi pasowało. Z tego, co mi nie pasowało, nie korzystałem. Tydzień temu znikł mój brat. Znikł i nawet nie uprzedził. Według mnie miałem udane życie" – pisał Żadan w książce „Woroszyłowgrad".

Woroszyłowgrad to nazwa Ługańska z czasów sowieckich. „Wszyscy chcieliśmy być pilotami. Większość z nas została loserami".

Gdy wybuchła wojna, Żadan nie wykluczał, że część bohaterów jego książek stanęłaby w 2014 r. po stronie separatystów.

Trudne czasy na prowokację

Sympatyzował z anarchizmem i trudno było patrzeć mu na ukraińskie państwo z powagą.

To zresztą nie było charakterystyczne wyłącznie dla Żadana. Przykładem ługańska grupa literacka STAN, która na rok przed wybuchem wojny zajęła pomieszczenie lokalnego wydziału kultury przy radzie miejskiej. Celem akcji było zwrócenie uwagi władzy, by zaczęła brać kulturę na serio. Żadan był przyjacielem ludzi ze STAN-u.

Do wojny więcej było przestrzeni na tego typu inicjatywy – kontrkultura dawała sobie radę w tamtych czasach. Nawet jeśli środki finansowe były tak samo nędzne jak obecnie. Nieliczne grupy anarchistyczne i lewicowe często były powiązane ze środowiskiem artystycznym lub po prostu je tworzyły (jak właśnie STAN).

Łatwiej było ignorować państwo czy po prostu się z niego nabijać, gdy nie toczyła się wojna. Bo w trakcie wojen i kryzysów społeczeństwa zazwyczaj kostnieją, stają się bardziej wyczulone na punkcie własnej tożsamości, a także bardziej nieufne.

Dziś w Donbasie, na kontrolowanych przez państwo ukraińskie terytoriach, z tej atmosfery korzystają środowiska nacjonalistyczne, które próbują narzucać społeczeństwu co wolno, a czego nie. Natomiast w nieuznawanych „republikach" – *de facto* parapaństwach, kontrolowanych przez Moskwę – represyjna władza nie zostawiła w ogóle miejsca na kontrkulturę i środowiska wolnościowe. Powtórzenie wyczynów STAN-u w Ługańsku byłoby dziś nie do pomyślenia. ↦

OŁESIA JAREMCZUK (ur. 1991) – ukraińska dziennikarka, pisarka i redaktorka naczelna Choven Publishing House. Autorka reportażu na temat mniejszości na Ukrainie „Our Others. Stories of Ukrainian Diversity" (2018) i redaktorka zbiorów reportaży „Veni, Vidi, Scripsi: Live History" (2015) oraz „Challenged by Democracy: Turkey, Georgia, Romania, Moldova" (2017). Laureatka nagrody za reportaż literacki w konkursie „Samowydieć" (2015). Doktoryzowała się rozprawą na temat antropologii podróży w reportażach literackich Josepha Rotha. Studiowała we Lwowie, Wiedniu i Monachium.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Od anarchisty do państwowca

↦ W 2013-14 r. Żadan od początku angażował się w ukraińską rewolucję godności, przede wszystkim w charkowski Majdan.

1 marca 2014 r., gdy prorosyjskie demonstracje trwały także w tym mieście, został dotkliwie pobity. Jeździł do Ługańska i Doniecka, gdy były zajmowane budynki administracyjne, a miasta Donbasu wpadały w ręce grup prorosyjskich (i przysłanych z Rosji sił specjalnych). Potem zaczął jeździć na front, woził pomoc dla ukraińskich ochotników. Otworzył własną fundację, która się tym zajmuje.

Wojna odcisnęła ślad na jego pisarstwie. W prozie widać więcej powagi – choćby porównując „Woroszyłowgrad" z „Internatem" – podobnie jak w poezji.

„Nie sądzę, że dramatyczne wydarzenia, które rozgrywają się na Ukrainie od pięciu lat, są powodem, by mówić, co można, a czego nie można robić w sztuce – mówił. – Widziałem, jak załamuje się granica mojego kraju i zabijani są moi współobywatele. Traktuję te rzeczy ostrożniej i z większą powagą, nie tak beztrosko. Ale to mój osobisty wybór".

Według niego pisarz, który podejmuje takie tematy jak wojna, powinien uważniej dobierać słowa. „Są tematy, o których trudno pisać z lekkością czy jakąś ironią. To zapewne jednak jest charakterystyczne dla tego okresu i tematyki. Spodziewam się, że wojna się skończy, Ukraina przywróci kontrolę nad swoimi granicami i znowu będziemy mogli sobie pozwolić na lekkość i beztroskę" – mówił.

Nie przesadził jednak też w drugą stronę: w przeciwieństwie do wielu ukraińskich pisarzy, Żadan nie wpadł w patos i nie wybrał pogardy dla ludzi, którzy z różnych powodów znaleźli się po drugiej stronie barykady.

Jak dokonać zdrady?

Choć jednoznacznie stanął po stronie swojego państwa, to dąży do dialogu z ludźmi znajdującymi się za linią frontu. Uważa, że próba zrozumienia jest ważniejsza niż oburzenie czy niechęć. Że tylko dzięki dialogowi można znowu zacząć żyć razem.

Pisał w tekście dla radia Swoboda: „Obecnie wszyscy jesteśmy zmuszeni odtworzyć nasze granice. Przecież nie chodzi tu o kawałek terytorium, który znajduje się poza twoim polem widzenia. Chodzi o to, że granice dotyczą wszystkich, których określają".

W przeciwieństwie do wielu ukraińskich pisarzy, Żadan nie wpadł w patos i nie wybrał pogardy dla ludzi, którzy z różnych powodów znaleźli się po drugiej stronie barykady.

Najsłynniejszym przykładem wyższości dialogu nad oburzeniem w wykonaniu Żadana było zaproszenie poetki z Ługańska. W grudniu 2015 r. do Charkowa na konferencję przyjechała Ołena Zasławska. Była członkinią STAN-u, pisała wiersze o miłości i erotyce. Była popularna w środowisku literackim. Gdy Ługańsk zajęli prorosyjscy bojownicy, wielu członków STAN-u musiało go opuścić – rozjechali się po Ukrainie i Rosji. Ale część stanęła po stronie samozwańczej Ługańskiej Republiki Ludowej (ŁNR). Wśród nich Zasławska, czym zaskoczyła wielu znajomych. Na Ukrainie z przekąsem nazwano ją „głosem ŁNR".

Podczas dyskusji w Charkowie nie padły ważne deklaracje. Ale sam przyjazd poetki z ŁNR wzbudził kontrowersje po stronie ukraińskiej. Pisarza po raz kolejny okrzyczano zwolennikiem separatystów. On powtarzał potem, że ani przez chwilę nie żałował decyzji, by zaprosić Zasławską.

Wybory, gdy nie ma nic do wyboru

W „Internacie" Żadan stara się zrekonstruować wybory mieszkańców jednego z donbaskich miast, a właściwie ich iluzję. Nazwa nie pada w tekście, ale jasne, że chodzi o miasto Debalcewe w obwodzie donieckim. Na początku 2015 r. rozegrała się o nie bitwa: ukraińska armia została tam otoczona przez rosyjskie wojska i separatystów. Po ciężkich walkach została zmuszona do odwrotu. Była to ostatnia duża bitwa – od tego czasu trwa wojna pozycyjna.

Losy Paszy toczą się właśnie w tym momencie, gdy jedni znikają, drudzy się pojawiają, a linie frontu poruszają się niczym fale i nigdy nie wiadomo, kogo wyrzucą na brzeg. Nauczyciel wędruje przez miasto i okoliczne wsie, w których mija „coś niedobudowanego, porzuconego, a teraz jeszcze dobitego moździerzami". Zagląda do miejsc, w których nie był od dawna. „Pasza od razu zauważa, co się zmieniło przez trzydzieści lat, odkąd tu był po raz ostatni. Nic się nie zmieniło".

Zaczyna do niego docierać to, co przegapił przez cały ten czas, gdy siedział zamknięty w swej skorupie. Długo nie rozumie, kim są „nasi", gdy mówią o nich napotkani ludzie, ani gdy przypisują, że należy do „tamtych". On przecież nikogo nie popiera, nie chce się określać w sytuacji, gdy swoimi sympatiami łatwo napytać sobie biedy. Powoli dociera do niego, że nie jest niewinny. Dla innych został już określony i w żaden sposób tego nie odkręci. To wydarzenia postawiły go tam, gdzie nie chciał się znaleźć.

Pasza toczy ze sobą monolog: „Jak mogłem nie zauważyć, że moi uczniowie teraz walczą przeciwko mnie? Jak mogłem to przeoczyć? Chociaż, próbuje się uspokoić, dlaczego przeciwko mnie? Nie przeciwko mnie. Co ja mam tu do rzeczy? No dobrze, przecież to jasne, że przeciwko tobie, konkretnie – przeciwko tobie. Przeciwko wszystkiemu temu, co się z tobą wiąże. A co się ze mną wiąże? Pasza nie rozumie sam siebie. Wszystko, odpowiada sobie, i twój przedmiot, i twoja szkoła, i flaga, która nad nią wisi. Oni przecież o to walczą. Właściwie przeciwko temu".

Akcja książki toczy się przez trzy doby. Pasza nie ma czasu, by stać się innym człowiekiem, bo mimo dramatycznych przeżyć to za krótki czas, by dokonała się w nim kardynalna zmiana.

Może jednak te trzy dni zasiały w nim ziarno wątpliwości, z których kiedyś wykiełkuje coś dobrego. Przynajmniej taką nadzieję ma Żadan.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Dyskusja z udziałem **OŁESI JAREMCZUK** i **SERHIJA ŻADANA** na temat sposobu, w jaki można pokazać wojnę, odbędzie się 26 października. Poprowadzi ją Paweł Pieniążek.

ANNA REZULAK / KFP / REPORTER

Ruchome dekoracje

MICHAŁ SOWIŃSKI

U Zyty Rudzkiej w nierównej walce z życiem i światem z odsieczą przychodzi literatura, która w perwersyjny sposób potrafi gmatwać wydeptane ścieżki i rozpuszczać sztywne wzorce zachowań.

↦

Odbierając kilka tygodni temu Nagrodę Literacką Gdynia, Zyta Rudzka przeprosiła te bohaterki swoich książek, którym zgotowała ciężki los. Zaczynając od debiutanckich „Białych klisz", na „Krótkiej wymianie ognia" kończąc, w prozach i dramatach autorki pojawiają się dziesiątki kobiet, których życie z pewnością nie rozpieszczało. Najpierw wrzucane w niewdzięczne, uszyte od sztancy role, potem zmuszane do wyjścia z nich, nieustannie narażone na dotkliwe szyderstwa i społeczny ostracyzm. U Rudzkiej jedyna droga do wyzwolenia prowadzi przez literaturę eksperymentującą z własnymi możliwościami i ograniczeniami.

ZYTA RUDZKA (ur. 1964) – pisarka, dramatopisarka, scenarzystka filmowa, psycholożka. Absolwentka Wydziału Psychologii Akademii Teologii Katolickiej. Ma w swoim dorobku wiele powieści, m.in. „Białe klisze" (1993), „Pałac Cezarów" (1995), „Dziewczyny Bonda" (2004), „Ślicznotka doktora Josefa" (2006) czy „Krótka wymiana ognia" (2018), za którą otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia, a także dramatów: „Cukier Stanik" (2007), „Pęknięta, obwiązana nitką" (2010) czy „Zimny bufet" (2011), uhonorowany Gdyńską Nagrodą Dramaturgiczną. Jej twórczość była tłumaczona na niemiecki, rosyjski, francuski, czeski, włoski, angielski, chorwacki i japoński.

Żar leje się z nieba

„Wyczekiwali czereśni. Rozmyślali o czereśniach w sypialniach, świetlicy, zabiegowym, na tarasie i w korytarzach. Wspominali podczas obchodu, leżakowania, w kolejce do kąpieli. Nudząc się. Mierząc temperaturę. Wyglądając rodziny. Cierpiąc. Patrząc na róże i anemony w wazonach. Rozmawiali już tylko o czereśniach". Mowa o bohaterach „Ślicznotki doktora Josefa". Rzecz rozgrywa się w ośrodku dla osób dożywających swojej starości, dalekiej jednak od przymiotników typu „pogodna" czy „złota". Z bezwzględnością swojej krótkiej frazy autorka od początku wrzuca nas w zatęchłe od upału piekło schyłku i przemijania. Właśnie zaczyna się gorące lato, którego pacjenci boją się najbardziej.

Żar leje się z nieba, rozmywając kontury rzeczywistości i życiorysów, które już wcześniej mocno nadwyrężył ząb czasu. W lepsze dni pacjenci potrafią jeszcze przywołać garść nieistotnych anegdot z przeszłości, jak choćby Pan Henoch, który swoim wspomnieniem słodkiego mango z afrykańskiej wyprawy kontrapunktuje niekończące się dyskusje o czereśniach. Zazwyczaj jednak zostaje tylko licytowanie się na choroby i upokarzające dolegliwości. Ale to i tak lepsze niż wyprawa do „domku nad jeziorem", z którego nikt nie wraca.

Pozostaje mówienie, sprowadzone zazwyczaj do monologu, na który nikt lub prawie nikt nie reaguje. Mimo to wszystkie postaci u Rudzkiej – także te z pozostałych powieści i dramatów – wypowiadają swoje kwestie niestrudzenie, bo zdają sobie sprawę, że zamilknięcie grozi ostatecznym wymazaniem. Wynika to wprost z paradoksalnej natury praktykowanego u Rudzkiej języka: maksymalnie skondensowanego i zarazem rozrzutnie trwonionego, w którym kodowana jest maksymalna ilość znaczeń, jednak bez większej nadziei, że ktoś te parabole bez kluczy poprawnie odczyta. We wstępie do swojego debiutanckiego tomu poetyckiego „Ruchoma rzeczywistość" Rudzka pisała: „Poezja, jak każda sztuka, jest dla mnie totalną możnością. (...) Pisanie wierszy, jak każdy proces twórczy, wyrasta z tajemnicy. I nie próbuje jej rozwikłać". I choć – jak później przyznała – wiersze zebrane w tym tomie okazały się przedwczesne, to sam sposób myślenia o literaturze stał się konsekwentnie stosowaną regułą we wszystkich późniejszych książkach.

Nie ma sprawiedliwości

Dlatego też fabuła siłą rzeczy schodzi na dalszy plan, staje się jedynie pobieżnie nakreśloną sceną dla dramatu, w którym głównym bohaterem jest sam język z całym okrucieństwem płynących z tego konsekwencji. Wróćmy na chwilę do „Ślicznotki...". Tytułową bohaterką jest pani Czechna, starsza kobieta, którą wciąż nawiedzają upiory z przeszłości. Jako dziewczynka była bowiem obiektem eksperymentów Josefa Mengele w Auschwitz, a upiorny lekarz miał ją sobie szczególnie upodobać ze względu na piękne włosy. Budowany przez całe życie mur odgradzający traumatyczne wspomnienia na starość zaczyna kruszeć i przepuszczać coraz więcej niepokojących obrazów. Najprawdopodobniej pod ich wpływem dom starców zaczyna przypominać nazistowski obóz śmierci. Na przykład pacjenci ośrodka zmuszeni są nosić żółte opaski z uśmiechniętym słonecznikiem, żeby łatwo dało się ich zidentyfikować, gdyby zabłądzili poza bramy ośrodka. Z kolei mały domek nad jeziorem kojarzy się z krematoriami.

W tej ryzykownej paraleli nie chodzi jednak ani o wzbudzanie taniej kontrowersji, ani tym bardziej o banalizację samej traumy. Jeśli coś zostaje tu wyszydzone, to jedynie sam język pamięci, a raczej nadmierna ufność, jaką Czechna albo my sami pokładamy w stabilność naszych tożsamości. W przeciwieństwie bowiem do pozostałych pacjentów ośrodka – w tym również swojej siostry, rzekomo bliźniaczki (ten element biografii także okazuje się fałszywy), Czechna uparcie trzyma się swoich wspomnień, z pogardą patrząc na tych, którzy z radością zanurzają się w błogiej amnezji. Zamiast rozmawiać już tylko o czereśniach, ciągle wspomina, że była „miss Auschwitz", licząc ciągle na wyrównanie krzywd lub przynajmniej na rodzaj domknięcia.

Tymczasem powierzona kapryśnemu językowi tragedia stopniowo zamienia się w groteskową parodię samej siebie. Jeśli bowiem zgodzimy się na „totalną możność" języka i sztuki, musimy także zaakceptować mroczny rewers tej omnipotencji. Słabnący rygor pamięci sprawia, że oswojone (do pewnego stopnia) strzępki zdań i obrazów zaczynają coraz szybciej wirować i żyć własnym życiem, bezlitośnie zdradzają dotychczasowego właściciela. Dobrze tu widać, że dla Rudzkiej literatura nie służy ocaleniu, nie ma też w niej miejsca na sprawiedliwość.

Rozkoszny zaduch

Służyć może jednak innym, rozkoszniejszym celom. Weźmy choćby „Pałac Cezarów", trzecią powieść w dorobku pisarki. Jak zwykle – bez zbędnych wstępów i przygotowań – wrzuceni zostajemy w gęste i lepkie jądro ciemności. Conradowska metafora jest tu uzasadniona, jako że powieść zaczyna się na pokładzie statku płynącego w górę afrykańskiej rzeki. Rzecz dzieje się nie w Kongu, lecz Republice Południowej Afryki, gdzie rasistowski reżim chyli się ku upadkowi. Jednak nie o precyzję historyczną w tej pobieżnie nakreślonej scenerii chodzi, tylko o atmosferę dekadenckiego karnawału towarzyszącego końcowi pewnego świata. No i oczywiście o wilgotny, prze-

Praktykowany przez Rudzką język posiada paradoksalną naturę: jest maksymalnie skondensowany i zarazem rozrzutnie trwoniony. Zakodowana jest w nim maksymalna ilość znaczeń, jednak bez większej nadziei, że ktoś te parabole bez kluczy poprawnie odczyta.

nikający przez wszystkie warstwy rzeczywistości upał.

W roli Marlowe'a Rudzka obsadziła Józefinę de la Pologne, ekskluzywną kurtyzanę, która płynie na spotkanie kochanka. Na miejscu jednak szybko okazuje się, że ten bezimienny Kurtz zdążył już popełnić spektakularne samobójstwo, więc conradowska analogia zaczyna płynąć bocznym, być może jeszcze czarniejszym nurtem. Po śmierci białego mężczyzny, który trzymał lokalną rzeczywistość w ryzach, wszędzie dookoła daje się odczuć rozprężenie. Józefina musi zmierzyć się z Heleną, wdową po swoim kochanku. Zamiast jednak oczekiwanej przez konwencje społeczne niezręczności, między kobietami rodzi się coraz głębsza, podszyta erotyzmem relacja. Przygotowania do pogrzebu mężczyzny schodzą na dalszy plan, ustępując miejsca innym, nie tylko erotycznym rozkoszom.

Wtargnięcie Józefiny do tego rozgrzanego i rozchwianego świata nie odbywa się jednak bez konsekwencji. To, co początkowo było lekkie i wyzbyte zobowiązań, szybko zaczyna tężeć i nabierać nieprzyjemnego ciężaru. „Pamięta dokładnie, że kiedy przybyła do Kraju Przylądkowego, miała wrażenie, jakby dekoracjami jej życia były same rzeczy nietrwałe – kurz drogi, rachityczność rykszy, mleczny wapienny pył na nogach Zulusa-kłusaka. Teraz zaś wszystko, co ją otaczało, stało się ciężkie i nieprzemieszczalne".

Cudowny sok z kurare

U Rudzkiej rzeczywistość, aby dała się opisać, musi mieć formę ruchomych ↦

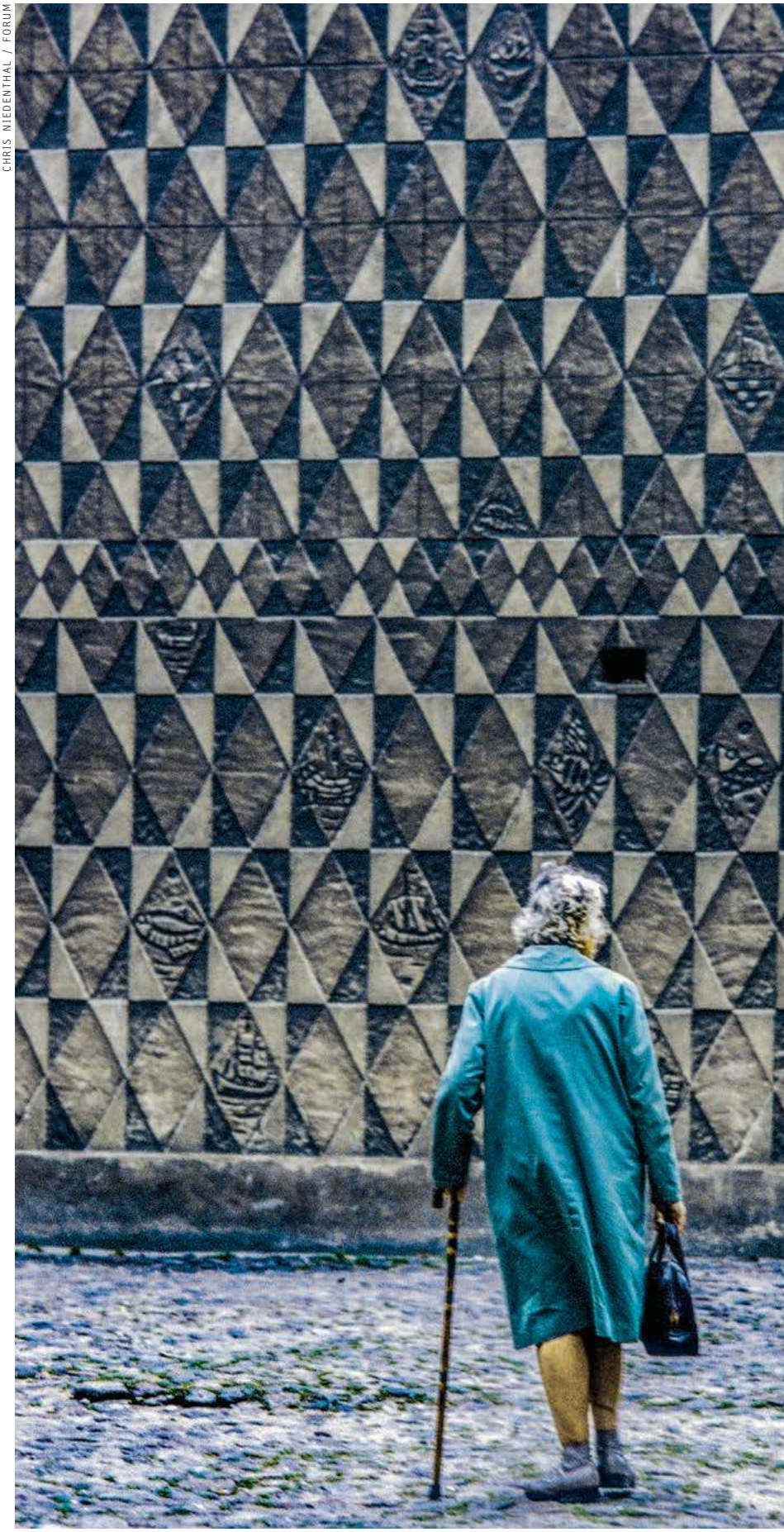

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

↦ dekoracji – składać się z elementów ostentacyjnie sztucznych, do tego zestawionych ze sobą w nienaturalny i niespójny sposób. W jednym z wywiadów autorka powiedziała, że opowieści ze świata jej nie interesują, bo wartość mają tylko te wypreparowane, wytworzone w skomplikowanym procesie literackim. Polega on na ciągłym przepisywaniu, skracaniu, ale też podążaniu za skojarzeniami, nierzadko bardzo idiomatycznym, nad którym czytelnicy (a może również autorka) nie są w stanie zapanować.

W ten sposób powstają zdania, akapity i całe powieści na tyle autonomiczne, że nie potrzebują już żadnej zewnętrznej legitymizacji. Istnieje jednak ryzyko zasklepienia się w formie doskonale obłej, pozbawionej punktów zaczepienia, a przez to wymykającej się komunikacji. Mówiąc inaczej, pojawia się tu klasyczny paradoks literatury nowoczesnej, badającej własne granice i możliwości: jak opisać rzeczywistość, jednocześnie nie przyszpilając trwale jej sensu?

Józefinie o dziwacznym nazwisku z pomocą przychodzi ekscentryczna Zizi Melani Rudzky (jeszcze nie było okazji, żeby wspomnieć o poczuciu humoru autorki), współpasażerka ze statku płynącego do Afryki. Choć pojawia się jedynie epizodycznie, jest postacią kluczową. Tajemnicza przedsiębiorczyni wiezie ze sobą pokaźny zapas „cudownej trzciny kurare", która ma zrewolucjonizować transport dziczyzny. Sok pozyskiwany z rośliny ma bowiem niezwykłe właściwości: wstrzyknięty powoduje u zwierząt natychmiastową drętwotę, unieruchomienie bliskie śmierci, które jednak trwa jedynie kilkanaście godzin. Po tym czasie zwierzę budzi się zdrowe i rześkie, jak gdyby nigdy nic. Prawda, że to wdzięczna metafora pisania?

Józefina wie, że musi się wycofać, bo świat, który został na chwilę uśpiony, za chwilę ożyje i rozpełznie się na wszystkie strony. Alternatywą byłoby jego uśmiercenie i zatopienie w formalinie, aby kurzył się w kolonialnych gabinetach kolekcjonerów. Ale wtedy nie byłoby już miejsca na tajemnicę.

Krótkie wymiany ognia

Bez niedopowiedzeń nie ma literatury. Dzięki nim możliwa jest nie tylko swobodna praca wyobraźni i gra skojarzeń, ale też poluźnienie ciasnego gorsetu społecznych konwencji i tożsamości narzucanych jednostkom przez zbiorowość. A w przypadku bohaterek Rudzkiej – starszych kobiet – ma to szczególne znaczenie. Dla nich bowiem konserwatywno-patriarchalna kultura zarezerwowała niemal wyłącznie role niemych statystek.

Jeśli wypadnie się z kanonów estetycznych kształtowanych przez mariaż kapitalizmu i pornografii, zostaje co najwyżej ciepły sweter, lepienie pierogów i opieka nad kolejnymi pokoleniami dzieci. W najlepszym razie funkcja strażniczki indywidualnych i zbiorowych traum. A na to bohaterki Rudzkiej zgodzić się nie chcą. Wątek ten przewija się we wszystkich książkach autorki, choćby w „Dziewczynach Bonda", gdzie ukazana jest cała galeria kobiet zmagających się ze swoimi frustracjami, samotnością, ale też pożądaniem, dla którego nie mogą znaleźć właściwego języka. Z pomocą przychodzi im Vipeczka, pozbawiona kompleksów celebrytka, pisząca o życiu (pozornie tylko seksualnym) w energetyzująco bezpośredni i niestabuizowany sposób.

Bez niedopowiedzeń nie ma literatury. Dzięki nim możliwa jest nie tylko swobodna praca wyobraźni i gra skojarzeń, ale też poluźnienie ciasnego gorsetu społecznych konwencji i tożsamości narzucanych jednostkom przez zbiorowość.

Tą samą ścieżką podąża poetka Roma, bohaterka i narratorka „Krótkiej wymiany ognia". Mamy tu splecione w ciasny warkocz wszystkie dobrze znane z wcześniejszych książek elementy: starzenie się, konfrontacje z trudną pamięcią, a także seksualność, która dalej żyje własnym życiem, a tylko metryka osób zaangażowanych budzi oburzenie co bardziej bogobojnych mieszczan. Do tego krótkie, poddane rygorystycznemu rytmowi zdania, akapity i rozdziały, których dynamikę jeszcze podbija ostry, eliptyczny montaż.

W ten sposób opowiadane są biografie dwóch kobiet – matki i córki, w których jednak więcej znaków zapytania niż przekonujących odpowiedzi. Rudzka, chowając się zręcznie za swoją narratorką, strzela do nas ze wszystkich stron: pojawiają się traumatyczne historie wojenne (śląskie kobiety popełniające zbiorowe samobójstwa ze strachu przed Armią Czerwoną), ale też indywidualne dramaty (córka narratorki, która zrywa kontakt z rodziną) i życiowe niepowodzenia (wypalenie artystyczne, nieudane małżeństwa). Za dużo tego, aby powstała zgrabna i spójna całość. Książka roi się też od pułapek, które tylko czekają na tych, co lubią chadzać na skróty. Międzypokoleniowe dziedziczenie traumy? To dla Romy łatwa wymówka używana w obliczu życiowych niepowodzeń. Zbiorowa pamięć? Jej patos i znaczenie słabną w konfrontacji z bełkotliwymi i niespójnymi opowieściami sędziwej matki. A może geografia i metafizyka „małych ojczyzn"? Ze śląskości Romie zostało jedynie słówko „jo". Role bohaterek „Krótkiej wymiany ognia" wydają się już od dawna rozpisane, wystarczy je tylko uruchomić, a całość rozwinie się sama. A co, jeżeli one nie chcą się na to zgodzić? W tej nierównej walce z odsieczą przychodzi właśnie literatura, która w perwersyjny sposób potrafi gmatwać wydeptane ścieżki i rozpuszczać sztywne wzorce zachowań.

Rzeczywistość u Rudzkiej każdorazowo jest czymś wypreparowanym, a relacje międzyludzkie skrajnie udramatycznione i wrzucone na scenę, gdzie wszystko – na czele z samym językiem – ostentacyjnie manifestuje swoją sztuczność. To obnażenie mechanizmów, nierzadko bezlitosne, ma przede wszystkim funkcję emancypacyjną. Nie odtwarzanie, a właśnie przetwarzanie świata – oto stawka prozy Rudzkiej. Bo dopiero z tak rozpulchnionej masy możemy próbować na nowo ulepić role, w których wreszcie poczujemy się dobrze.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

Spotkanie z **ZYTĄ RUDZKĄ**, którego tematem będzie prowadzona za pomocą literatury walka o widzialność, o pozycję, o własne miejsce, o prawo do bycia sobą, odbędzie się 22 października. Poprowadzi je Michał Sowiński.

REKLAMA

MANTA
Polska firma rodzinna

Polecamy niezawodne telewizory polskiej firmy. Kibicuj naszym!

TELEWIZORY z fabryki W POLSCE

www.manta.com.pl

BETTMANN / GETTY IMAGES

Burleska w berlińskim kabarecie, późne lata 20. XX w.

Berlin jako Babilon

IWONA LUBA

**Berlin lat 20. XX w. był miastem sprzeczności.
Dla jednych – ziemia obiecana dająca szansę szybkiej kariery.
Dla drugich – piekielna czeluść, przed którą nie sposób umknąć.**

Zastawili na ciebie sidła i zostałeś
w nie schwytany, Babilonie:
ty zaś nie zauważyłeś tego. (Jr 50, 24)

Takie miasto jak Berlin to niewychowany, bezczelny, inteligentny łajdak.
(Robert Walser, „Berlin i artysta")

Berlin – pruskie miasto, stolica nowo powołanej do życia w listopadzie 1918 r. Republiki Weimarskiej (następczyni wilhelmińskich Niemiec, wielkich przegranych I wojny światowej) – był z jednej strony na wskroś niemiecki, z drugiej kosmopolityczny. Określenie „Berlin złotych lat dwudziestych", za pomocą którego zaczęto określać miasto okresu międzywojennego, brzmi niemal jak oksymoron, jeśli wziąć pod uwagę jego sytuację społeczno-polityczno-ekonomiczną. Złożyły się na nią: haniebna klęska militarna Niemiec, upadek cesarstwa, olbrzymie reparacje wojenne, tysiące ofiar, wdów, sierot, kalek i prostytutek. Na ulicach żebrali niedawni bohaterowie frontu Wielkiej Wojny – przedstawiciele straconego pokolenia Ericha Marii Remarque'a, opisanego w jego głośnych powieściach. Berlińczycy uciekali przed wspomnieniami wojennymi i przed przyszłością, mierzyli się ze skutkami kryzysu ekonomicznego. Narastająca frustracja i resentymenty wilhelmińskie stawały się coraz bardziej odczuwalne. Nowoczesność i zawrotne tempo przemian cywilizacyjnych tylko nielicznym przynosiły ukojenie. W większości budziły lęk.

Mieszkania dla wszystkich

Berlin, jakby na przekór temu wszystkiemu, zapisał się w historii jako magnetyzująca, otwarta na Europę i tętniąca intensywnym życiem światowa metropolia, wabiąca nieodpartym wdziękiem przybyszów z innych miast niemieckich, całej Europy i Stanów Zjednoczonych. Przybywali do niej najróżniejsi ludzie: karierowicze, przemysłowcy i inwestorzy żądni szybkiego zysku, zamożni hedoniści i utracjusze, twórcy wysokiej kultury i popularnej rozrywki, bywalcy szemranych nocnych lokali i wielbiciele zakazanych uciech, cudzoziemcy korzystający z hiperinflacji (w 1923 r. za dolara można było oficjalnie otrzymać 4,2 biliona marek, a na czarnym rynku – jeszcze więcej)... Dla nich Berlin był śmiesznie tani, a do zaoferowania miał wiele rozrywek, także takich, które gdzie indziej były zakazane.

W Berlinie nie brakowało także imigrantów politycznych: białych Rosjan, tworzących osobne miasto w mieście, niejako zesłanych tu przymusowo (jak do Paryża, Pragi i Warszawy) i ich wrogów – czerwonych agitatorów, propagandzistów i szpiegów, lecz także ideowych komunistów z państw ościennych. Przybywali artyści i naukowcy, radiowcy, filmowcy i sportowcy. Przez chwilę miasto wydawało się przyjazne dla zasymilowanej inteligencji żydowskiej. Było ekscytującą stolicą nauki, sztuki i rozrywki.

Berlin rozrastał się, powiększał swoje granice terytorialne i liczbę mieszkańców, szybko stał się miastem nowoczesnych osiedli mieszkaniowych. Tylko w latach 1924-29 powstało tam 135 tys. nowych mieszkań. Ponad 10 proc. z nich zaprojektowali i wznieśli awangardowi architekci. Walter Gropius, rodowity berlińczyk, znający uwarunkowania kulturowe i społeczne rozwoju budownictwa miejskiego, miał szczytną wizję mieszkań dla każdego w ramach założeń nowego budownictwa dla nowych Niemiec. W Berlinie zbudował m.in. zespół bloków mieszkalnych na osiedlu Siemensstadt (1929-30) oraz stworzył projekt zabudowy na brzegu jeziora Wannsee (1930-31). Idee urbanistyczno-architektoniczne wpajał wcześniej młodemu pokoleniu w stworzonym przez siebie Bauhausie. Zapotrzebowanie na nowe budownictwo mieszkaniowe było ogromne, oczywiście nie tylko z powodu przybywających do miasta ludzi, lecz głównie dlatego, że duża liczba rodzin robotniczych mieszkała w warunkach urągających ludzkiej godności: w starych, budowanych niegdyś najtańszym kosztem, rozpadających się, ponurych, ciemnych, zawilgoconych, przeżartych zgnilizną, przeludnionych czynszówkach, z zaśmieconymi wewnętrznymi podwórzami-studniami, do których nie docierało słońce.

Bardzo sugestywny opis takiej kamienicy pozostawił w opowiadaniu „Nowakowie" brytyjski pisarz Christopher Isherwood. Opisał „zabłocone podwórko", „typowy dla tych czynszówek wilgotny smród zgnilizny", jedną na cztery rodziny toaletę, która znajdowała się piętro niżej niż zajmowany lokal. Na „przeciekającym dusznym poddaszu cuchnęło gotowaniem i kanalizacją. Kiedy paliło się w piecu w bawialni, dosłownie się dusiliśmy; kiedy się nie paliło, zamarzaliśmy". Pisał w pierwszej osobie, gdyż sam przez pewien czas wynajmował pokój w takiej czynszówce. Do Berlina przywiodły go – podobnie jak sporą liczbę innych pisarzy, żądnych homoerotycznych wrażeń lub poszukujących tematów do swoich powieści – ciekawość, pragnienie zarobku oraz liberalizm obyczajowy. Do kanonu obowiązkowych berlińskich lektur weszły jego autobiograficzne w dużym stopniu książki „Pożegnanie z Berlinem" i „Pan Norris się przesiada" – nie tylko jako kanwa dla scenariusza teatralnego „Kabaretu" i filmowego arcydzieła Boba Fosse'a o tym samym tytule.

Berlin pisarzy

Berlin wrył się w pamięć węgierskiego pisarza i dziennikarza Sándora Máraiego, który w „Wyznaniach patrycjusza" przedstawia opis doświadczeń młodości nierozerwalnie związanych z tym miastem. Każdego dnia budził się z przeczuciem, że wydarzy się coś ważnego. „W Berlinie ani przez chwilę nie było nudno być młodym. Nigdy i nigdzie nie spotkałem później tylu życzliwych ludzi, co wśród berlińskich Niemców tamtego roku. Byli tacy zagubieni, dusze mieli pełne konfuzji, strachu i żądzy zemsty. A miasto było tak głodne, głodne radości życia, stylu, nowych form wyrazu". ↦

CZĘŚCIĄ PROGRAMU TEGOROCZNEJ EDYCJI FESTIWALU CONRADA jest pasmo berlińskie, w ramach którego odbędą się trzy dyskusje: „Żydowscy uciekinierzy" z udziałem Kerstin Decker oraz Holgera Teschke (jej tematem będą losy i twórczość Waltera Benjamina, Ulricha Alexandra Boschwitza i Else Lasker-Schüler), którą poprowadzi Aleksandra Bednarowska; „Lolita w Berlinie" z udziałem Michaela Maara (na temat berlińskiego okresu w życiu i twórczości Vladimira Nabokova), którą poprowadzi Jan Balbierz; „Berlin/Babilon" z udziałem Arne Jyscha i Anny Kierejewskiej (o komiksowej adaptacji powieści Volkera Kutschera, na podstawie której nakręcony został serial kryminalny „Babylon Berlin"), którą poprowadzi Iwona Luba.

OTTO DIX, VEGAP // EAST NEWS

Otto Dix, „Inwalidzi wojenni grają w skata", 1920 r.

Sándor Márai pisał o Berlinie: „Nigdy i nigdzie nie spotkałem później tylu życzliwych ludzi, co wśród berlińskich Niemców tamtego roku. Byli tacy zagubieni, dusze mieli pełne konfuzji, strachu i żądzy zemsty. A miasto było tak głodne, głodne radości życia, stylu, nowych form wyrazu".

↦ Dla niektórych miał być on etapem, przystankiem w podróży do Paryża. Inni właśnie stamtąd do Berlina przybywali. Z prowincjonalnych miast niemieckich ciągnęły do stolicy tłumy. Wśród nich młody Franz Bubendorf, bohater powieści Vladimira Nabokova „Król, dama, walet". Sam Nabokov znalazł się w stolicy Republiki Weimarskiej w podobnym czasie co Bubendorf, czyli w 1922 r., zaraz po ukończeniu studiów w Cambridge. Mimo że zadebiutował w Berlinie, mimo że właśnie tam napisał i opublikował swoje rosyjskojęzyczne powieści, mimo że spędził tam 15 lat, nigdy się nie zadomowił. Pobyt w Berlinie traktował jako tymczasowy.

W 1928 r. pisał, „że w ciągu następnego dziesięciolecia wszyscy [rosyjscy emigranci znajdą] się z powrotem w gościnnej, skruszonej, pełnej kiści rozkwitłych kwiatów Rosji". Nie znał niemieckiego, nie przyjaźnił się z Niemcami. Obawiał się, że język niemiecki zaburzy mu wyczucie ojczystego języka. Nie znał zbyt dobrze niemieckiej literatury. A jednak wybrał Berlin na miejsce akcji swojej powieści.

Klimat Berlina z tamtych lat najpełniej oddał pochodzący ze Szczecina berlińczyk z wyboru Alfred Döblin w powieści „Berlin Alexander Platz". Opis miasta przypomina u niego kolaż obrazów, obserwacji, informacji. Wszystko to układa się w niezwykle plastyczny portret metropolii. „Berlin, 52 stopnie 31 minut szerokości północnej, 131 stopni 25 minut długości wschodniej, 20 dworców dalekobieżnych, 121 dworców podmiejskich, 27 przystanków na linii obwodowej, 14 na linii śródmiejskiej, 7 stacji rozrządowych, tramwaje, kolej naziemna". Powieść ukazała się w 1929 r. niedługo po „Królu, damie, walecie", z rozbudowanym przez wydawcę tytułem „Berlin Alexander Platz. Die Geschichte von Franz Biberkopf" (Berlin Alexander Platz. Historia Franza Biberkopfa). Podobieństwo z postacią Nabokova jest zauważalne na pierwszy rzut oka. Powieść o Franzu Biberkopfie uchodzi dziś za modelowy portret miasta. Jej pozycję w historii literatury zapowiadał już nakład – 40 tys. egzemplarzy – wyczerpany w ciągu zaledwie ośmiu miesięcy. Sam Döblin ujawniał: „wewnętrzny temat powieści brzmi: należy się ofiarować, siebie samego należy złożyć w ofierze". Motyw ofiary nieustannie powraca w tym utworze. Jedynego syna ma ofiarować Bogu biblijny Abraham; wraz z bohaterami udajemy się do rzeźni we wschodniej dzielnicy, by asystować przy śmierci zwierząt etc.

„Franz Biberkopf chciał »dobra« – pisał Döblin – lecz czyż było to czymś więcej niż słowem? Wiodę go drogą pełną cierni, zsyłam nań jedno nieszczęście za drugim: Biberkopf ściga »dobro«. Ściga je z zamkniętymi oczami, przy czym konia ma narowistego, kiedyż więc obaj – koń i jeździec – skręcą sobie kark? W końcu wydaje się, że to już nastąpiło. Ale gdy Franz ląduje w zakładzie dla obłąkanych, coś się w nim jednak odmienia. Spełnia się Ofiara".

Döblin napisał – jako *pendant* do „Berlin Alexander Platz" – autobiograficzną

KBF

KERSTIN DECKER (ur. 1962) – dziennikarka i filozofka. Pochodzi z Lipska. Na tamtejszym uniwersytecie studiowała dziennikarstwo, a później w Berlinie, na Uniwersytecie Humbolta, filozofię. Jako reporterka, felietonistka i krytyczka współpracuje z dziennikami „Der Tagesspiegel" i „taz". Obok biografii Lou Andreas-Salomé jest autorką książek poświęconych m.in. Pauli Modersohn-Becker, Else Lasker-Schüler, Richardowi Wagnerowi czy Heinrichowi Heinemu.

KBF

ARNE JYSCH (ur. 1973) – reżyser filmowy, grafik i storyboardzista. Studiował w Hamburgu i Poczdamie. Autor komiksu „Wave and smile" – fikcyjnej, choć opartej na informacjach z wielu źródeł historii o misji niemieckiej armii w Afganistanie. Pracuje na Filmuniversität Babelsberg.

HOLGER HERSCHEL / KBF

ANNA KIEREJEWSKA (ur. 1985) – tłumaczka, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu w Bonn. Z języka niemieckiego przełożyła m.in. książki Ferdinanda von Schiracha: „Winę", „Sprawę Colliniego", „Tabu". W wolnych chwilach podróżuje, czyta literaturę austriacką i ćwiczy zumbę. Pochodzi z Milanówka, ale mieszka w Warszawie.

ARCH. PRYW. / KBF

MICHAEL MAAR (ur. 1960) – niemiecki badacz literatury, germanista i pisarz. Członek Niemieckiej Akademii Języka i Literatury (Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung). Doktoryzował się rozprawą o Tomaszu Mannie pt. „Geister und Kunst". Był profesorem wizytującym m.in. na Stanford University. Autor wielu książek, z których po angielsku ukazały się „The Two Lolitas", „Speak", „Nabokov" i „Bluebeard's Chamber: Guilt and Confession in Thomas Mann".

„małą powieść berlińską" pt. „Nie ma pardonu" (1935). Od dwóch lat przebywał już wtedy na przymusowej emigracji. Miłość do Berlina okazała się nieodwzajemniona, a jeśli nawet – to tylko na chwilę. W 1956 r. pisarz powrócił do miasta, by w nim umrzeć, złożyć siebie w ofierze.

Uchodzący duch

Berlin pojawiał się często w literackiej twórczości rodowitego berlińczyka – Waltera Benjamina. W swojej „Ulicy jednokierunkowej" filozof przedstawił diagnozę codziennego życia berlińczyków brzmiącą zatrważająco aktualnie i uniwersalnie: „Motłoch opętała frenetyczna nienawiść do życia duchowego, która za gwarancję unicestwienia go uznała odliczanie ciał. Gdziekolwiek im zezwolić, ustawiają się w szereg i marszowym krokiem prą w ogień zaporowy i do domów towarowych. Nikt nie widzi dalej niż plecy idącego przed nim, a każdy jest dumny, że w ten sposób stanowi wzór dla idącego za nim". Benjamin po kilkuletnim pobycie w Szwajcarii powrócił do Berlina, jak wielu berlińskich Żydów. W 1932 r. wyjechał, by głównie na Ibizie napisać wspomnienia o swoim berlińskim dzieciństwie. Kiedy próbował w 1940 r. wydostać się z Europy opanowanej przez hitlerowskie wojska, w niewyjaśnionych okolicznościach dopełniła się jego osobista ofiara. Przypuszcza się, że popełnił samobójstwo.

Życie duchowe przestało interesować berlińczyków wkrótce po Wielkiej Wojnie. Wcześniej literaturą i sztuką władał niepodzielnie ekspresjonizm. Dość szybko okazało się jednak, że jego istota – przywiązanie do wartości duchowych, metafizycznych – przestała przemawiać do odbiorców uciekających przed rzeczywistością. Ekspresjonistyczna estetyka okazała się anachroniczna, o czym opowiada w „Hymnie do Róży Luxemburg", ułożonym po jej zabójstwie, Johannes Robert Becher. Autor żałobnych strof już wówczas przeczuwał upadek Berlina jako nowego Babilonu, w „ekstatycznym wstępie" pisząc o „jęku Jeremiasza wzywającym pomocy".

Ekspresjonizm został wyparty z przestrzeni publicznej przez berliński dadaizm, który niestrudzenie realizował jeden z głównych celów wskazanych ↦

HOLGER HERSCHEL / KBF

HOLGER TESCHKE (ur. 1958) – niemiecki prozaik, poeta i dramatopisarz. Studiował aktorstwo w Berlinie. Pracował jako dramaturg i autor w Berliner Ensemble. Odbywał rezydencje artystyczne w Ameryce Północnej, Australii i Azji Południowo-Wschodniej. Jest członkiem PEN-Zentrums Deutschland. Mieszka w Berlinie i Bostonie.

W opisie Waltera Benjamina Berlin wyglądał odstręczająco: „Motłoch opętała frenetyczna nienawiść do życia duchowego, która za gwarancję unicestwienia go uznała odliczanie ciał. Gdziekolwiek im zezwolić, ustawiają się w szereg i marszowym krokiem prą w ogień zaporowy i do domów towarowych. Nikt nie widzi dalej niż plecy idącego przed nim, a każdy jest dumny, że w ten sposób stanowi wzór dla idącego za nim”.

↦ przez Hugona Balla w liście do Richarda Hülsenbecka z 26 listopada 1916 r.: „dada, to (...) egzekucja zakłamanej moralności”.

Dadaiści przestrzegali przed jej niebezpieczeństwami konsekwentnie, lecz bezskutecznie. Zawadiacki Johannes Baader, architekt, poeta i twórca fotomontaży, samozwańczo przypisał sobie tytuł Oberdada. Stosował radykalne środki: w 1917 r. założył – wraz z Raoulem Hausmannem – Christus GmbH, aby bronić przed karą śmierci i więzieniem dezerterów wojennych, których przyrównał do pierwszych chrześcijańskich męczenników.

Otto Dix wniósł do sztuki Republiki Weimarskiej obraz przerażającego miasta i jego społecznej znieczulicy. Portretował kalekich weteranów wojennych (żebrzących na ulicach, sprzedających zapałki) oraz wynędzniałe prostytutki. W jego dziełach wykluczeni znajdują się na przeciwległym biegunie niż goście nocnych lokali zatracający się w tańcu i cielesnych uciechach. Szczególnie mocne wrażenie robi do dziś tryptyk „Miasto” z 1928 r. Nawiązując do tryptyków i poliptyków umieszczanych w nastawach ołtarzowych gotyckich świątyń, Dix nadał mu niemal sakralny wydźwięk. Jego sztuka była głosem „uwierającym” niemieckie sumienie, on sam bywał postrzegany jako pornograf oraz skandalista.

Kabaret

W kręgu berlińskich dadaistów dość nieoczekiwanie znalazł się na kilka letnich tygodni 1928 r. Elias Canetti, austriacko-szwajcarski pisarz pochodzenia żydowskiego, przyszły laureat Literackiej Nagrody Nobla.

W słynnej autobiograficznej powieści „Pochodnia w uchu” część poświęconą Berlinowi zatytułował „Natłok imion”, oddając fascynację metropolią i spotkanymi w niej osobami, a równocześnie osobliwe osaczenie ich perwersją. Zatrudnił się w berlińskim wydawnictwie Malik, którego stałym współpracownikiem został najsłynniejszy dadaistyczny skandalista, czyli George Grosz. Opublikował tam m.in. teki swoich szokujących obscenicznych rysunków „Oblicze klasy panującej” oraz „Ecce Homo” z 1923 r., zarekwirowane i zabronione przez cenzurę, kolportowane nielegalnie. Canetti oglądał je z odrazą: „Można było zobaczyć ohydne kreatury berlińskiego nocnego życia (...). Zwierzęcość i intelekt, obnażone i spotęgowane do maksimum, prześcigały się nawzajem, jakby na zasadzie prądu zmiennego. (...) Jednak tym, co wywarło na mnie największe wrażenie i zdecydowało o całym moim późniejszym życiu aż po dzień dzisiejszy, była niemożność pogodzenia tego wszystkiego, co na mnie napierało”.

Canettiego, wówczas 23-latka, ocalił przed berlińską dekadencją inny pisarz – przybysz, rosyjski Żyd – Izaak Babel: „Cynizm był mu obcy, tak poważnie i z takim natężeniem traktował literaturę. (...) Wiem, że Berlin przeżarłby mnie jak ług, gdybym go tam nie spotkał”.

Canetti, jak każdy inny, „pożarty” mógł zostać w Berlinie niemal wszędzie, choć były miejsca do tego przeznaczone, jak choćby *Amüsierkabarett*, szemrane nocne lokale, kluby striptizowe, taneczne spelunki i zakamuflowane burdele, dostarczające erotycznej rozrywki gościom. Z ambitnymi literackimi i artystycznymi kabaretami Berlina łączyła je tylko nazwa. Pisma kabaretowe publikowały niemal wyłącznie treści pornograficzne: teksty, fotografie i rysunki.

Ambitny kabaret to kabaret literacki, którego twórcy usiłowali „powstrzymać katastrofę... maszyną do pisania” – w ten sposób Erich Kästner pisał o publicystycznych tekstach Kurta Tucholsky'ego. Celem tego ostatniego było powstrzymanie Republiki Weimarskiej, która zmierzała ku nieuchronnej katastrofie. Kästner był najczęściej cytowanym poetą dwudziestolecia. Stosowaną przez siebie formę poetycką w 1928 r. nazwał *Gebrauchslyrik* (liryka użytkowa), nawiązując do terminu *Gebrauchsgraphik* (grafika użytkowa). Swój talent Kästner objawił najpełniej w tekstach kabaretowych, które na stałe zagościły w najważniejszych salach kabaretowych Berlina. Były wykonywane aż do 1934 r., choć już rok wcześniej utwory jego i innych satyrycznych autorów zostały w III Rzeszy potępione.

Populizm nazistów zwyciężył. Jako jeden z niewielu twórców uznanych za „zdegenerowanych” Kästner pozostał w Niemczech jako naoczny świadek nazistowskich niegodziwości. Katastrofie nie udało się zapobiec.

© IWONA LUBA

GOŚCIE CONRAD FESTIVAL 2019 JUŻ WYBRALI NASZE WNĘTRZA

- 24/7 RECEPCJA
- KAMIENICA XIX/XX w.
- SAUNA
- PATIO
- STARE MIASTO
- ŚNIADANIA
- MINI FITNESS
- OCENA: 5,0

Zarezerwuj na: www.belleepoquekrakow.pl

+48 12 638 02 12, biuro@apartart.pl

ul. H. Siemiradzkiego 2, Kraków

ApartamentywPolsceApartArt apartamenty_w_polsce

REKLAMA

Pierwsze Radio Informacyjne

TOK FM

USŁYSZ
SWOJEGO
POSŁA

DEBATY

WAŻNE
PYTANIA

KANDYDACI

12.09.2019
Rzeszów

08.10.2019
Legionowo

Sprawdź, czy będziemy w Twoim mieście: tokfm.pl/wybory